WOJNA ROSYJSKO-UKRAIŃSKA

Co się kryje za awanturą o polskie myśliwce MiG-29

Semka o przyszłości ukraińskich uchodźców w Polsce

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT) NR 11/467 14–20 MARCA 2022

DODATEK SPECJALNY: IZRAELSKA LEKCJA OBRONY DOBREGO IMIENIA PAŃSTWA

Jak Rosjanie mordowali swoich carów

ZACHÓD KONTRA PUTIN

Rosja pod ścianą. A ile nas kosztuje ta wojna ekonomiczna?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 11

Nakład: 54 000 egzemplarzy

eprasa.pl c8db3f1bd8

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI

2022

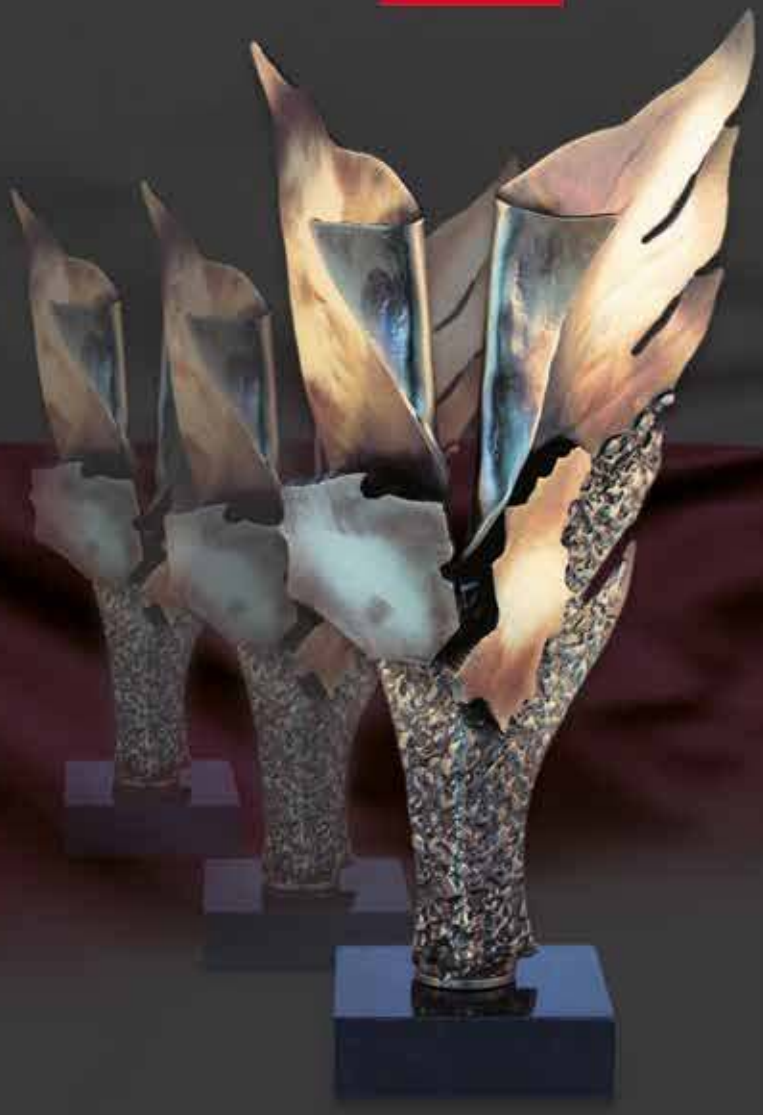

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

ORLEN

PARTNER STRATEGICZNY

eprasa.pl c8db3f1bd8

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Oblany egzamin ze szczerości

Historia z przekazaniem przez Polskę Ukrainie 28 migów-29 od początku wyglądała dość osobliwie. Przede wszystkim nie bardzo wiadomo, czy taka propozycja w ogóle padła, a jeśli tak, to kto był jej autorem. Owszem, o takiej możliwości, a ściślej mówiąc – o takiej potrzebie, wspomniał prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski, choć też trudno stwierdzić, czy sam był pomysłodawcą. Później informacja przez chwilę krążyła po polskich mediach, by po kilkunastu godzinach przekształcić się w pogłoskę. Nie zamierzam tu przytaczać wszystkich komunikatów i wypowiedzi – nie mam jednak wątpliwości co do dwóch faktów. Po pierwsze, to Stanom zależało na tym, by migi Ukraińcom przekazali Polacy. Po drugie, nie zgadzając się na to, polski rząd zachował się trzeźwo i roztropnie.

We wtorek w zeszłym tygodniu polski rząd, zgodnie z oświadczeniem MSZ, zaproponował oddanie wszystkich myśliwców MiG-29 do bazy lotniczej USA Ramstein w Niemczech. W ten sposób odpowiedział na sugestie USA, które to wcześniej, za sprawą Anthony'ego Blinkena, ogłosiły, że Polska ma „zielone światło" i może przekazać samoloty Ukrainie. Dzięki posunięciu Warszawy to rząd USA, a nie rząd Polski mógłby przekazać samoloty Ukrainie. Dodatkowo Polska poprosiła – znowu bardzo dobre posunięcie – o dostarczenie innych myśliwców (może F-16, może F-35) do zastąpienia MiG-29. Można uznać, że to, co zrobił polski rząd, było formą zbadania szczerości intencji amerykańskich. Skoro tyle mówią o gotowości do pomocy Ukrainie i obiecują przekazanie samolotów, to otrzymując migi, mogli to wreszcie pokazać.

Test szczerości Amerykanie oblali. Ledwo padła polska propozycja, Pentagon od razu ogłosił, że nie zgadza się na przekazanie polskich myśliwców do amerykańskiej bazy wojskowej. Amerykańscy urzędnicy określili propozycję polskiego rządu jako „nierozsądną" i „ryzykowną". Jest dokładnie przeciwnie. Nie wiem, kto z kręgów władzy był autorem koncepcji – czy premier, czy prezydent, czy jeszcze ktoś inny – ale była ona jak najbardziej „rozsądna" i „nieryzykowna". Polska pokazała, nie zawsze wcześniej było to widać, że kieruje się własnym interesem narodowym i nie da się podpuścić. W sensie militarnym wydaje się zatem, że pomysł ostatecznie upadł. Co cała historia pokazuje?

Po pierwsze, i na to zwracali uwagę niektórzy publicyści, jak Łukasz Warzecha czy Piotr Zychowicz, Amerykanie bardzo chętnie przerzucają odpowiedzialność za ryzyko na innych, na swoich sojuszników. To powinno być dla Polski poważnym ostrzeżeniem: nawet przyjaźń i wspólna walka przeciw Putinowi nie mogą oznaczać zapomnienia o polskich interesach.

Po drugie, zadaję sobie pytanie, dlaczego Waszyngtonowi tak zależało na tym, by polskie migi dotarły z Polski na Ukrainę. Wiadomo było, że Moskwa już wcześniej ogłosiła, że takie posunięcie będzie traktowane jako udział w wojnie. Skąd zatem to „zielone światło" i skąd swoista presja medialna, która miała popchnąć Warszawę do działania?

Być może chodziło o to, by w ten sposób sprawdzić Rosję. Gdyby migi wystartowały z bazy USA w Niemczech, ewentualną odpowiedzią Rosji mogłoby być uderzenie militarne w Niemcy lub bezpośrednio w Amerykanów. Jeśli jednak migi startowałyby z Warszawy, to sytuacja – można sądzić, że tak rozumowali niektórzy stratedzy USA – byłaby inna. Wielu z nich uważa, że Rosja leży już na łopatkach i lada moment dojdzie do kapitulacji. Wysłanie samolotów z Polski, a nie z Niemiec pozwoliłoby tę tezę przetestować. Jeśli faktycznie Rosjanie są tak słabi, jak wynika to z doniesień wywiadu, to żadnej reakcji by nie było. Rosjanie mogliby zawsze powiedzieć, że nie odpowiedzą na zaczepki, bo nie jest to działanie całego NATO, a jednego, niesfornego państwa członkowskiego. W ten sposób Amerykanie upiekliby dwie pieczenie na jednym ogniu: wzmocniliby militarnie Ukrainę i zdobyli pewność co do słabości Putina. Wówczas łatwiej byłoby podjąć decyzję na przykład o zamknięciu przestrzeni powietrznej nad Ukrainą.

Oczywiście to, co opisałem, to scenariusz pozytywny, w którym to Rosja nie reaguje, bo jest za słaba. A scenariusz czarny? Polskie migi wlatują do Ukrainy i w ramach retorsji na Polskę zaczynają spadać rosyjskie rakiety. Wtedy szybko można powiedzieć, że NATO z całą operacją nie miało nic wspólnego, bo Polacy sami się prosili. Część amerykańskich strategów mogła uznać, że warto podjąć takie ryzyko.

Dobrze, że dzięki decyzji polskiego rządu nie musimy się na razie przekonywać, czy było ono wydumane czy realne. ©℗

eprasa.pl c8db3f1bd8

TEMAT TYGODNIA

16 JAKUB WOZINSKI
GOSPODARCZA ZIMNA WOJNA
Jak stracić jak najmniej na konflikcie

20 TOMASZ CUKIERNIK
ZŁOTY OSŁABŁ, CENY POSZYBUJĄ

KRAJ

24 PIOTR SEMKA
KRÓTKI TRAKTAT O UCHODŹCACH
Trudna przeszłość. Jaka przyszłość?

28 ROZMOWA Z WOJCIECHEM BAKUNEM
JEDZIEMY NA ADRENALINIE

30 WOJCIECH GOLONKA
ODLOT Z MYŚLIWCAMI

32 KAMILA BARANOWSKA
SZPAGATY PLATFORMY

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
WSZYSTKIE NASZE STRACHY

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
MARZYLI O ZANZIBARZE, ZOSTALI NA LODZIE

KULTURA

38 ROZMOWA Z AŁBENĄ GRABOWSKĄ
HISTORIA I MEDYCYNA
Trudno pisać mi o ludziach, którzy żyją

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

47 PRAWNA OBRONA PRZED POLONOFOBIĄ
KONFLIKT WOKÓŁ USTAWY O IPN. WNIOSKI, REFLEKSJE, KONSEKWENCJE

OPINIE

64 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POLSKA WIELKA ALBO PODBITA
Bądźmy bohaterami

67 MAREK JUREK
O SZANSE POKOJU

68 TOMASZ ROWIŃSKI
RATZINGER POD PRĘGIERZEM

HISTORIA

70 MACIEJ ROSALAK
JAKIE PIĘKNE CAROBÓJSTWO
Czego może się bać Putin?

ŚWIAT

76 MACIEJ PIECZYŃSKI
PROPAGANDOWA KLĘSKA PUTINA
Jak Kijów pokonał Moskwę

80 ROZMOWA Z PŁK. DR. LIAMEM COLLINSEM
NIE LEKCEWAŻMY ROSJI

82 JAN BOGATKO
NIEMIECKI WYWIAD WE MGLE?

84 OLIVIER BAULT
TO JUŻ NIE TEN SAM WŁADIMIR?

EKONOMIA

86 ROZMOWA Z ANNĄ MOSKWĄ
ZIELONY ŁAD PRZYSPIESZY
Transformacja energetyczna „za wszelką cenę"

STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK
DRESS FOR SUCCESS
Kiedyś obciach, a dziś w modzie

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (11), GMYZ, GOCIEK (14), ZYCHOWICZ, KOPER (74), PRZYBYLSKI (79), GABRYEL, WARZECHA (89), KOMUDA (94), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (96), NOWAK (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl c8db3f1bd8

Już za tydzień

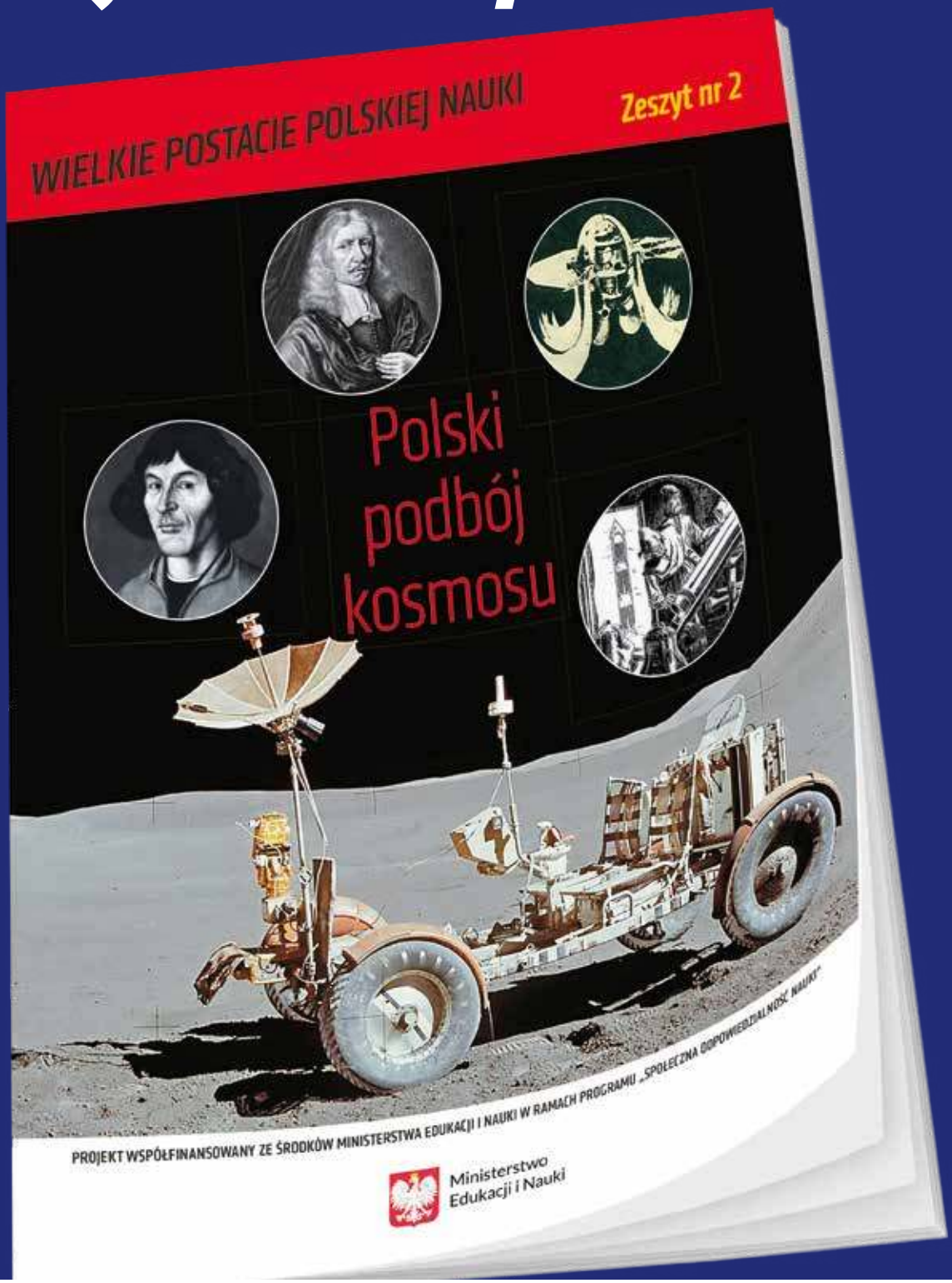

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI"

Ministerstwo Edukacji i Nauki

eprasa.pl c8db3f1bd8

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Maciej Strug, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczyk-Stefaniak**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock, oprac. graf. Sunday/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 54 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Jezus Maria, wszystko nieaktualne!", Krzysztof Masłoń, „DRz" 10/2022

Szanowni Państwo,
proszę łaskawie podziękować panu redaktorowi Masłoniowi za tekst „Jezus Maria, wszystko nieaktualne". Wycelowany „w punkt", jak mówi młodzież. Cały ostatni numer „Do Rzeczy" znakomity, gęsty w ważne analizy, ale ta jedna strona – sam sok słowa.

Raz jeszcze uprzejme wyrazy
Małgorzata Dąbrowska

„Sfinansowano przy udziale środków z UE" jest po prostu majstersztykiem.

Z poważaniem
Antoni Górski, Białystok

„Ostatnia krucjata Zawiszy Czarnego", Jacek Komuda, „DRz" 10/2022

Szanowna Redakcjo,
od razu przechodząc do rzeczy, upominam się o sprostowanie pomyłki w tekście pana Jacka Komudy, który ostatnie lata Zawiszy Czarnego (1427–1428) przypisał panowaniu Mehmeda II.
Chodzi o Murada II (1421–1451). Nie sposób też dla tego okresu używać pojęcia „Turcja". Turcy osmańscy dopiero podporządkowywali sobie inne emiraty w Azji Mniejszej, spektakularne zwycięstwa odnosząc w Europie.

Łączę uprzejme wyrazy
Małgorzata Dąbrowska, Łódź

Majstersztyk

Szanowni Państwo,
w rubryce Listy publikowane są m.in. wypowiedzi pozytywnie oceniające teksty redakcyjnych autorów. Podzielając te opinie, chciałbym dodać, że prawdziwą okrasą tych tekstów są rysunki pana Cezarego Krysztopy. Jego rysunek z numeru 9/2022 z 28 lutego br., przedstawiający czołg z sowiecką gwiazdą z napisem:

Od autora

Rzeczywiście, pomyliłem się, chodziło o Murada II, a nie jego syna, Mehmeda II Zdobywcę. Jeśli chodzi Turcję, to proszę pamiętać, że mój artykuł nie jest pracą naukową, a ta dopuszcza pewne kolokwializmy, lepiej zrozumiałe dla dzisiejszego Czytelnika.

Pozdrawiam
Jacek L. Komuda

eprasa.pl c8db3f1bd8

Dobry rok dla Banku Pekao

Bank Pekao S.A. może się pochwalić świetnymi wynikami finansowymi za 2021 r. Zysk netto był niemal dwa razy wyższy niż rok wcześniej i przebił rezultat z 2019 r., czyli sprzed pandemii. Lepsze wyniki bank odnotował we wszystkich strategicznych segmentach

Spółka efektywnie wykorzystała ożywienie gospodarcze i większą aktywność klientów do wyraźnej poprawy wyników finansowych w 2021 r. Trzymane w ryzach koszty, skuteczna sprzedaż produktów bankowych przy rosnących stopach procentowych dają nadzieję na dobre wyniki również w 2022 r., jednak wiele zależy od nieznanych jeszcze konsekwencji gospodarczych wojny na Ukrainie.

– Rok 2021 był dla Banku Pekao bardzo dobry pod wieloma względami. Suchą stopą wyszliśmy z okresu pandemii, dobrze przygotowaliśmy się na czas po pandemii i potrafiliśmy wykorzystać dynamiczne ożywienie gospodarki do skokowej poprawy wyników. Lepsze rezultaty odnotowaliśmy we wszystkich strategicznych segmentach. Na szczególną uwagę zasługują doskonałe wyniki bankowości przedsiębiorstw i wyraźniejsze ożywienie w segmencie dużych korporacji. Teraz staje przed nami nowe wyzwanie związane z gospodarczymi reperkusjami agresji Rosji i wojny na Ukrainie – mówi Leszek Skiba, prezes Banku Pekao.

SKOKOWY WZROST ZYSKÓW

Skonsolidowany zysk netto Banku Pekao w 2021 r. wyniósł 2,175 mld zł wobec 1,102 mld zł rok wcześniej, a więc prawie się podwoił. Był również wyższy niż w 2019 r., kiedy wynik netto zamknął się kwotą 2,165 mld zł. W samym czwartym kwartale 2021 r. zysk netto Pekao urósł do 694 mln zł z 185 mln zł rok wcześniej, a kwartał do kwartału zwiększył się o 10 proc. pomimo zawiązania dodatkowych rezerw na kredyty w CHF.

Pekao podkreśla, że wzrost zysków udało się osiągnąć dzięki progresowi we wszystkich strategicznych segmentach. Bankowość przedsiębiorstw notowała dynamiczne wzrosty w każdym kolejnym kwartale 2021 r. Wolumen kredytów w segmencie przedsiębiorstw zwiększył się na koniec 2021 r. o ponad 24 proc. w ujęciu rocznym. Z kolei sprzedaż kredytów gotówkowych wzrosła w ostatnim kwartale zeszłego roku o 62 proc. rok do roku.

Znacząco zwiększył się także wynik odsetkowy i prowizyjny. Wynik z opłat i prowizji urósł w zeszłym roku o 10 proc. w porównaniu z rokiem 2020. Wynik odsetkowy zwiększył się o 9 proc. do 5,66 mld zł.

CYFROWE USŁUGI DLA KLIENTÓW

W ostatnich miesiącach Bank Pekao kładł duży nacisk na rozwój bankowości cyfrowej, co przełożyło się w wymierny sposób na wygodę klientów, efektywność i wyniki sprzedaży. Na koniec 2021 r. z bankowości mobilnej Pekao aktywnie korzystało 2,4 mln klientów w porównaniu z 2 mln na koniec 2020 r. Cel strategiczny na 2024 r. to 3,2 mln aktywnych klientów bankowości mobilnej.

Sukcesywnie poszerzana jest także paleta usług oferowanych w aplikacji PeoPay, która staje się dla klientów banków centrum zarządzania finansami i inwestycjami, a także usług dodanych, takich jak zakup biletów czy opłaty za parking.

W efekcie rośnie wskaźnik digitalizacji. Pekao zakłada, że w 2024 r. zbliży się on do 100 proc. To oznacza, że niemal każda usługa bankowa będzie dostępna poprzez kanały zdalne.

Klienci banku stawiają na usługi na odległość. W zeszłym roku bank cyfrowo sprzedał 61 proc. pożyczek gotówkowych, podczas gdy rok wcześniej było to 50 proc.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ W DZIAŁANIU

Odpowiedzialne podejście do zarządzania bilansem, zdywersyfikowany i bezpieczny portfel kredytów oraz konserwatywne podejście do ryzyka pozwalają bankowi utrzymywać koszty ryzyka na niskim poziomie. Pomimo dodatkowych rezerw ostrożnościowych na portfel kredytów we frankach szwajcarskich w 2021 r. wyniosły one 45 pb., czyli lepiej niż założony w strategii na 2024 r. poziom 50–60 pb.

Tradycyjnie już Pekao utrzymuje wysoką bazę kapitałową. Na koniec grudnia łączny współczynnik kapitałowy (TCR) wyniósł 16,9 proc., a Tier1 – 15,1 proc. Przekłada się to na wysoką zdolność bilansową Pekao do wypłaty dywidend, na zgodnym ze strategią poziomie od 50 do 75 proc. zysku netto.

Warto odnotować, że zgodnie z planem przebiega realizacja strategii ESG Banku Pekao. W 2021 r. bank wsparł emisje obligacji ESG klientów na kwotę 5,9 mld zł wobec 22 mld zł zapisanych w strategii na okres 2021–2024.

POMOC DLA OBYWATELI UKRAINY

Spółka aktywnie włączyła się w pomoc Ukrainie. Fundacja Banku Pekao przekaże 0,5 mln zł na dedykowane konto Polskiego Czerwonego Krzyża. Środki będą przeznaczone m.in. na zakup apteczek, łóżek polowych, żywności i sprzętu do przygotowania tymczasowego pobytu uchodźców w Polsce.

Dodatkowo zostały udostępnione darmowe konta dla klientów indywidualnych i firmowych z Ukrainy. Aplikacja mobilna, bankowość elektroniczna oraz infolinia banku są dostępne w języku ukraińskim. Ponadto Bank Pekao zniósł opłaty za przelewy do banków na Ukrainie.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl c8db3f1bd8

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Niemiecki ból głowy

Niemcy zachowują się jak ktoś, kogo gwałtownie wybudzono z długiego snu. Berlin musi się gwałtownie rozstać z bardzo lubianą przez siebie pozycją europejskiego prymusa z pacyfistycznym zacięciem. Prezydent Wołodymyr Zełenski zwierzył się, że rozmowy z kanclerzem Olafem Scholzem w sprawie rezygnacji Berlina z rosyjskiego gazu i ropy przypominały mówienie do ściany.

Niemcy rugani publicznie przez prezydenta Ukrainy to coś nowego. Berlińskich polityków nie zachwyca też wizja wystąpienia Ukrainy o członkostwo w Unii Europejskiej. Na to wszystko nakłada się coraz silniejsze przekonanie Europy Środkowej, że Niemcy chcą tylko przeczekać aktualną wojnę. Że przy lada okazji będą ratować, co się da, ze swoich licznych kontaktów biznesowych z Rosją. Po gromkim ogłoszeniu „przewrotu kopernikańskiego" w niemieckiej polityce polegającym na zwiększeniu nakładów na obronę i przyłączeniu się do szerokiego pakietu sankcji wobec Rosji kanclerz Scholz znów prowadzi politykę uników. Niemcy też z nieprzyjemnym zdziwieniem obserwują polskie zmaganie się z wyzwaniem ponadmilionowej imigracji ukraińskiej do Polski. Nasz przykład pokazuje, że emigracja z 2015 r., którą Niemcy tak bardzo się szczycili, nie była wyjątkowym osiągnięciem.

Niemieckie dzienniki z niepokojem obserwują tę nagłą zapaść pozycji Berlina. „Die Welt" pisze: „Niemcy jadą na szczyt unijny w Wersalu jak niegdyś cesarz Niemiec w pokutnej pielgrzymce do Canossy". Źle znoszą, że tak wielu polityków w Europie surowo ocenia politykę ostatnich 20 lat Niemiec, która pozwoliła Putinowi sfinansować jego brutalną wojnę.

Wszystko to uruchamia dodatkowe mechanizmy wewnątrz Unii Europejskiej, które Polski nie muszą zachwycać. Oto Włochy i Francja w związku z kryzysem na Ukrainie zaproponowały stworzenie tzw. funduszu odporności. Dla Niemców brzmi to jak realizacja koszmaru niemieckich finansistów, tzw. unii wspólnego zadłużenia. Już pod wpływem szoku pierwszego kryzysu koronawirusowego Emmanuel Macron nakłonił Angelę Merkel do przełamania tabu i zaciągnięcia po raz pierwszy wspólnego unijnego długu na 750-miliardowy fundusz odbudowy. Teraz na horyzoncie widać kolejny fundusz, który będzie obciążać wszystkie kraje UE jako całość.

Problem w tym, że w tak krytycznym momencie Niemcy mają słabe przywództwo. Lider koalicji SPD-Zieloni-FDP jest politykiem mało doświadczonym w polityce zagranicznej. Unika wypowiedzi, czeka na rozwój wydarzeń, a jednocześnie wydaje się w ogromnym stopniu uzależniony od niemieckiego biznesu, który jest wciąż zakochany w Rosji. Coraz jaśniej widać, że polityka uzależnienia się od rosyjskiego gazu była wyborem geopolitycznym, a nie ekologicznym. Niemcy stają wobec nagłego egzaminu z politycznej dojrzałości. Jeśli nie wycofają się rakiem z pozycji państwa, które jawi się Europie Wschodniej jako cichy sojusznik Rosji, to mogą w tej pozycji zastygnąć na lata. Lepszej okazji do zmiany kursu niż moment, gdy płoną Charków i Melitopol, już nie będzie.

No cóż, kanclerz Scholz ma wszelkie powody, aby narzekać na ból głowy. ©℗

FOT. ALEXEI DRUZHININ / TASS / FORUM

SCHRÖDER W TARAPATACH?

Były kanclerz Niemiec przybył do Moskwy, by zaoferować Putinowi swe usługi jako mediator w wojnie z Ukrainą. Gerhard Schröder nawet po agresji Rosji nie zerwał bliskich związków z Putinem (zdjęcie z 14.06.2018). Nadal piastuje też stanowiska w rosyjskich spółkach. Liderzy SPD zażądali, aby Schröder z nich zrezygnował. Na razie z jego biura odeszło kilkoro pracowników. W ubiegłym tygodniu prokuratura w Hanowerze złożyła wniosek o postawienie Schrödera w stan oskarżenia. ©℗

eprasa.pl c8db3f1bd8

KOSZULKA MARKI RED IS BAD HOŁD RUSKI JUŻ DOSTĘPNA!

W PEŁNI POLSKA PRODUKCJA

DARMOWA DOSTAWA PRZY ZAMÓWIENIACH POWYŻEJ 350 ZŁ

ZAMÓWIENIA INTERNETOWE
www.redisbad.pl

ZAMÓWIENIA TELEFONICZNE
506 184 306

RED IS BAD™

eprasa.pl c8db3f1bd8

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wstyd?

Dawno tak nie było, że Parlament Europejski przyjmuje rezolucję przeciwko Polsce, a TVN24 wcale tego tematu nie grzeje, tylko upycha gdzieś w kącikach serwisów, podobnie zresztą jak flagowy, wieczorny program informacyjny macierzystej stacji. W ogóle nie znajduje miejsca na antenie wiekopomna wypowiedź europoseł Ochojskiej, przestrzegającej Europę, by nie dała się zwieść pozorom polskiej życzliwości dla uchodźców, bo w istocie właśnie ta demonstracyjna życzliwość, ograniczona do elementów „bliskich kulturowo", dowodzi jaskrawo polskiego rasizmu. Nie cytowały media Discovery/Warnera zachwytów pań Spurek czy Adamowicz, że Europa nie uznała agresji żywiciela jej gospodarek, Putina, za powód do odpuszczenia zbuntowanemu krajowi, który uparcie nie chce podporządkować się kaprysom jakiejś pani Lapuerty czy podobnych jej brukselskich mianowańców. Nie przepuszczono przez studia korowodu „autorytetów", grzmiących jednym głosem na „putinizację Polski" i „wyprowadzanie nas z Europy". Jak nie w TVN.

Cóż się stało? Chyba to samo, co wtedy, gdy swego czasu Lech Wałęsa, po początkowym krygowaniu się, ile to milionów czy, no niechby, setek tysięcy musi go o to błagać, łaskawie zgodził się w końcu stanąć na czele i przybył na „obywatelski" protest pod Sądem Najwyższym. TVP Info transmitowała jego wystąpienie na żywo, TVN24 zignorowało je zupełnie, a „Fakty" coś tam wspomniały następnego dnia. Przyczyna była dla każdego, kto oglądał transmisję w TVP, oczywista: Wałęsa nastrzelał opozycji takiego obciachu, że gorliwie kibicujące jej „wolne" media mogły tylko udawać, że sprawy nie było.

Fakt, że w momencie, kiedy Polacy robią wszystko, by pomóc uchodźcom wojennym, a państwo stoi w obliczu ogromnych nieprzewidzianych wydatków i wysiłku organizacyjnego, wiszące u europejskiej klamki PO, PSL i Lewica intensywnie namawiają eurokratów, by nie zmarnowali takiej okazji do „zagłodzenia" Polski i rzucenia jej wreszcie na kolana, jest tak symboliczny, tak wymowny, że jedyne, co z nim mogły zrobić tefałeny, to udawać, że nic nie wiedzą. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Propagatorzy nazizmu

Guy Verhofstadt, Katarina Barley, Władimir Putin – wszyscy walczą z nazizmem. Verhofstadt w Polsce, Barley również na Węgrzech, Putin na Ukrainie. Putin chce Ukrainę wziąć żelazem, chłodem i głodem, o „finansowym zagłodzeniu" Polski i Węgier mówiła minister Barley. O niedopuszczalności takich zestawień wiem od czasu, gdy nas w szkole pouczano, że nie można łączyć Hitlera ze Stalinem. Bo przecież ich tzw. współpraca w latach 1939–1941 była całkowicie przypadkowa, a to, co antykomunistyczna historiografia obsesyjnie nazywa „najazdem na Polskę", było tylko szukaniem głębi strategicznej do wojny z III Rzeszą. Jak wiadomo – kraj o rozmiarach Rosji głębi potrzebuje, można nawet powiedzieć, że od pogłębiania tej głębi jest najzwyczajniej uzależniony.

Zresztą przypadków w życiu jest więcej. Na przypadkowych zbieżnościach opiera się sam konstrukt „komunizmu", łączący – opierając się na nazwie – zjawiska całkowicie różne. Jak na przykład kontrkulturową Frakcję Czerwonej Armii z ponurymi biurokratami ze Stasi. Bo można nazywać to, że ludzie muszą gdzieś mieszkać, „logistycznym wsparciem". Ale czy każdy najemca odpowiada za lokatora? Komunizm to nie tylko pojęcie puste, lecz także anachroniczne, nie to, co nazizm wiecznie żywy.

Skoro jednak żywy, to ja przy swoim zestawieniu pozostanę. Tym bardziej że nazistowska metaforyka Verhofstadta i Barley była całkowicie świadoma i – co więcej – miała właściwą dla takiej propagandy funkcję: odczłowieczanie ofiary. Skoro – jak twierdzi pani Barley – w Polsce szerzy się nazizm, to można Polskę zagłodzić.

Jest jeszcze jeden powód, by o tym pisać. Najazd na Ukrainę budzi powszechne oburzenie, „denazyfikacyjne" perory Putina raczej się przemilcza. Tymczasem w nich właśnie najjaskrawiej objawia się neobolszewicka istota jego rządów. Świat na tę propagandę prawie nie reaguje, a nawet jej nie zauważa, bo komunizm – jak wiadomo – nigdy nie istniał. ©℗

eprasa.pl c8db3f1bd8

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

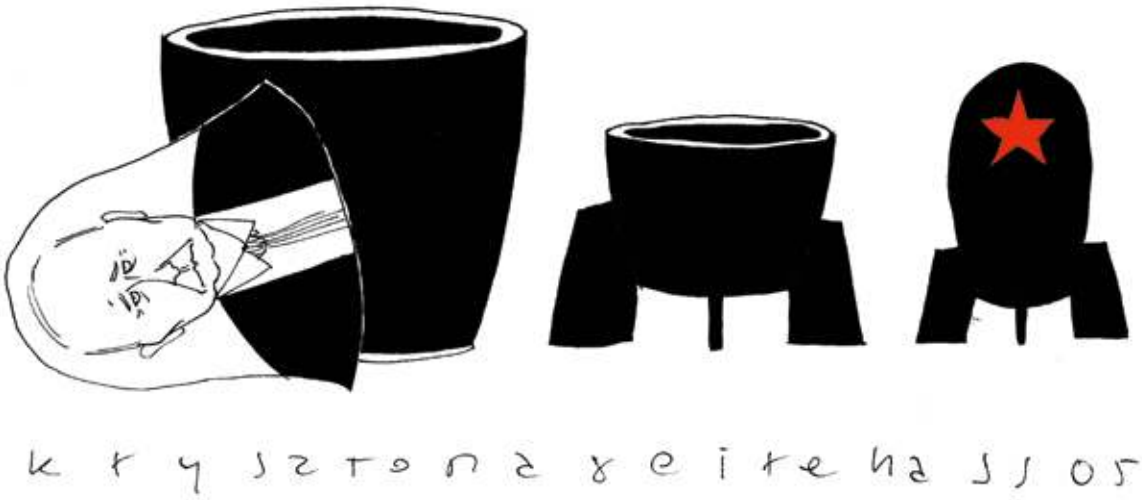

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O kapłanach

2 marca abp Stanisław Gądecki, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, wystosował list do patriarchy moskiewskiego i całej Rusi Cyryla. „Proszę cię, Bracie, abyś zaapelował do Władimira Putina [...], proszę cię najpokorniej, byś zaapelował o wycofanie wojsk z suwerennej Ukrainy. Jeden człowiek jednym słowem może zatrzymać cierpienia tysięcy ludzi”.

Cztery dni później brat Cyryl niejako odpowiedział na ten apel, sprawując liturgię w Niedzielę Przebaczenia. Podkreślił, że „przebaczenie bez sprawiedliwości jest kapitulacją i słabością”. I usprawiedliwił rosyjską agresję konceptem, dla którego w nauczaniu Pana Jezusa miejsca nie ma: prawem do zemsty (za rosyjską krew przelaną przez Ukraińców w Donbasie). Następnie wyjaśnił: „Rozpoczęliśmy walkę, która ma znaczenie nie fizyczne, a metafizyczne”. Przedstawił brutalny i bezwzględny atak, mordowanie kobiet i dzieci jako krucjatę w obronie praw Bożych i czystości moralnej. Sugerował, że „w Donbasie [w domyśle element prorosyjski] nie chce przyjąć tak zwanych wartości proponowanych dzisiaj przez tych, którzy roszczą sobie prawo do władzy nad światem”. Co zupełnie nie do wiary, chodziło mu o grzeszne parady gejów, które narzuca jakaś „władza światowa”, a także o „nadmierne spożycie”. Można odnieść wrażenie, że to patriarcha Cyryl, religijny autorytet Rosji, przed wygłoszeniem kazania coś spożył w nadmiarze.

Ksiądz Jozef Tiso w latach 1939–1945 stał na czele nazistowskiego reżimu Słowacji. Za zdradę, udział w zbrodniach wojennych i w wywózce słowackich Żydów do obozów śmierci po procesie zawisł na szubienicy.

8 października 1940 r., po wprowadzeniu ustaw wymierzonych w Żydów, tłumaczył w Żylinie 20 tys. pielgrzymów (jako ksiądz, a nie jako prezydent), że Żydzi niesłusznie się skarżą, powołując się na wartości chrześcijańskie, na odbieranie im sklepów i prawa do handlu, bo zobowiązano ich tylko do oddania tego, co zabrali chrześcijanom”.

Patriarcha Cyryl, podobnie jak ks. Tiso, podpisał pakt z diabłem. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl c8db3f1bd8

PRACOWITOŚĆ CZY TALENT

Paulina Krupińska to była Miss Polonia, obecnie celebrytka i od niedawna prowadząca poranny program śniadaniowy „Dzień dobry TVN". Nie wszystkim Krupińska przypadła do gustu w roli prowadzącej, bo zaliczyła już kilka wpadek i widzowie zarzucają jej, że bywa słabo przygotowana do programów. Teraz Krupińska zdradziła, że wbrew pozorom bardzo skrupulatnie przygotowuje się do każdego programu.

– Ten program daje mi możliwość wiecznej nauki. Jestem na studiach „Dzień dobry TVN". Do każdej rozmowy mamy po cztery strony A4. Przed każdym programem czytam książkę! Materiały czasem przychodzą ok. 21. W międzyczasie odbierasz dzieci z przedszkola, gotujesz. Jestem na bieżąco ze wszystkimi tematami, które są aktualne – opowiada Krupińska. Może nie powinna się przyznawać, że tyle czasu poświęca na przygotowanie, a mimo to efekty są, jakie są, czyli mizerne. Bo ktoś mógłby się zacząć zastanawiać, że może to nie kwestia pracowitości, lecz talentu. I co wtedy?

SMUTNA PRAWDA?

Aktorka i celebrytka Katarzyna Skrzynecka ubolewa, że w związku z wojną na Ukrainie coraz gorszy jest los polskich aktorów. – Zawsze powiadałam, że smutną, lecz prawdziwą stroną zawodu artysty (muzyka, aktora, artysty plastyka, poety) jest fakt, że nasza praca to zawód na pokojowe i dobre czasy... Gdy ludzie mają spokój ducha, poczucie bezpieczeństwa życiowego i finansowego, by móc pozwolić sobie na kupienie biletu i radość posłuchania pięknego koncertu, obejrzenia spektaklu w teatrze czy wizytę w galerii sztuki... Nie daj Boże wojna, epidemia czy inne katastrofy żywiołowe i... Nie w głowie wówczas ludziom i nie czas na sztukę, rozrywkę czy „coś dla ducha" – stwierdziła. – Nasz zawód wówczas nie jest na świecie potrzebny... Smutna to prawda – dodała. Na szczęście aktorzy mają jeszcze Instagram. A tam są potrzebni zawsze. I to dopiero jest smutna prawda.

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

FOT. PAWEŁ GROMADA

KANAPA WAŻNA RZECZ!

Małgorzata Rozenek jakiś czas temu ujawniła, że wraz z mężem Radosławem Majdanem planują budowę nowego domu. Od tamtej pory chętnie w wywiadach opowiada o tym, jak wyobraża sobie swoje nowe gniazdko i kiedy ruszą prace budowlane. – Jeżeli nic się nie wydarzy, to te pierwsze prace, początkowe, mamy nadzieję rozpocząć na wiosnę – zdradziła niedawno Rozenek, ubolewając nad tym, że przerastają ich nieco sprawy urzędowe. Choć budowa jeszcze nie ruszyła, to Małgorzata wie już, jak będą wyglądały wnętrza. – Ja lubię dokładnie te same rzeczy, które lubiłam 20 lat temu. Sztukateria, konkretne kolory. Zamieniłabym tylko storczyki z lat poprzednich na hortensje albo peonie i dodałabym elementy Azji. Długo marzyłam o tym domu. To jest dzieło mojego życia – mówi podekscytowana tabloidowi. Dalej opowiada, że najdroższym przedmiotem w jej nowym domu będzie ręcznie robione łóżko. A poza tym jeszcze stół z czereśniowego drewna. Dodała też, że Radzio niespecjalnie podziela jej entuzjazm. – Radosław w ogóle nie jest typem, dla którego to są rzeczy istotne. Czy on będzie siedział na szarej kanapie, na białej czy na czarnej, nie ma dla niego żadnego znaczenia – zdradziła celebrytka.

– Radosław ma to kompletnie gdzieś. Serio – dodała. Współczujemy Małgosi bardzo. Nielekko jej musi być z takim Radziem, któremu nawet na luksusowej kanapie nie zależy!

PATRIARCHAT W SHOW-BIZNESIE

Aktorka Katarzyna Warnke w rozmowie z Magdą Mołek wyznała, że od jakiegoś już czasu spełnia się w macierzyństwie i coraz rzadziej występuje w filmach. Dodała, że aktualnie to jej mąż, też aktor, Piotr Stramowski, zarabia więcej. – Sama jestem bardzo kobiecą kobietą. To ja się wycofałam zawodowo, zostając w domu z dzieckiem. To Piotrek więcej zarabia. Ja częściej gotuję, ja ogarniam dom, wiesz, jestem westalką ogniska domowego, kupuję kwiaty do wazonu, chodzę w szpilkach, można powiedzieć, że ogarniam mojego męża emocjonalnie, a on dba zewnętrznie. Wchodzę w te wszystkie role, ale to jest możliwe dopóty, dopóki ja o tym decyduję – powiedziała Warnke. Ludzie, toż to patriarchat w najbardziej radykalnym wydaniu! Niech ktoś wezwie Magdalenę Środę na ratunek. Byle szybko! ©℗

eprasa.pl c8db3f1bd8

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, w przestrzeni publicznej coraz więcej mówi się o tzw. cyberbezpieczeństwie, a więc zachowaniu się w sposób odpowiedzialny w Internecie. Nie chodzi jednak, jak mogłoby się wydawać, o odstawienie Twittera, co zresztą wielu polskich opinion makerów i opinion leaderów mogłoby przypłacić zdrowiem psychicznym, ale o to, aby w necie nie klikać byle głupot i mieć silne hasła do różnych kont.

Otósh my znaleźliśmy jeden prosty sposób na to, jak sobie ułatwić życie. Otósh wbrew temu, co powtarzają te wszystkie kuce z IT, ustawiliśmy sobie jedno proste hasło do wszystkich kont, dzięki czemu możemy spokojnie się logować z każdego miejsca na mejla, do insta czy fejsbunia. I nie mamy kłopotu, iż zapomnimy czy coś nam się pomyli. Przeciesh my nie musimy tego pamiętać, no nie?

Druga sprawa to wrażliwość społeczna. Co chwilę otrzymujemy e-maile od książąt z Nigerii, byłych amerykańskich wojskowych czy też np. bankowców z Londynu, którzy chcą się z nami dzielić swoją fortuną. Podejrzewamy, iż dla wielu z nich kontakt z kimś z Polski nie musi być łatwy, iż zapewne już wiele razy zostali zignorowani przez ksenofobiczne polskie społeczeństwo, które się boi osób pigmentalnie uposażonych czy też bankierów.

Dlatego w miarę możliwości staramy się odpowiadać na wszystkie takie e-maile, iż nie chcemy być niegrzeczni, a dodatkowo bardzo też nie chcemy wyjść na ksenofobów.

Iż jest coraz drożej, postanowiliśmy pójść do Nowego z Tarnowa, iżby przedyskutować temat podwyżek wynikających z inflacji.

Nowy jednak okazał się być szczerze zaskoczony tym, o czym do niego mówimy. Najpierw uparcie twierdził, że przecież nie ma żadnej inflacji, a nawet jeśli jest, to pewnie w Niemczech jest wyższa, a jak coś, to pewnie i tak wina Tuska i że jak mamy jakieś roszczenia, to najlepiej z nimi pójść prosto do niego.

Kiedy nie dawaliśmy za wygraną, Nowy rozłożył bezradnie ręce, powiedział, że on to żadnej inflacji nie widzi, nawet otworzył okno i poprosił nas, iżbyśmy podeszli i pokazali mu, gdzie ta inflacja. Pokazaliśmy więc ceny z pobliskiej stacji paliw, a Nowy z politowaniem spojrzał na nas i powiedział, iż to przecież tylko ceny rosną, to normalne w gospodarce rynkowej, a nie żadna inflacja i żebyśmy go więcej nie niepokoili, bo on nie ma czasu na takie plotki.

Zastanawialiście się kiedyś, kochani, skąd się wzięło to arcypolskie przysłowie: „W marcu jak w garncu", które jednocześnie mówi wszystko i nic o tym, jaki klimat panuje w tym miesiącu?

Co waszym zdaniem składa się na marzec? Jest zimno, ponuro, nic się nie chce. Dokładnie tak jak w podkarpackim garncu. Znacie śródziemnomorskie tradycje kulinarne – ekskluzywne pizze, focaccie. A podkarpacki garniec to nic innego jak woda i ziemniaki, czasem trochę soli. I to jeszcze na zimno, bo drewno na opał skończyło się pod koniec lutego.

A więc taki podkarpacki garniec to nuda i szarzyzna, patrzysz na to i ci się nie chce. Dokładnie tak jak w marcu w polskich miastach, a o wsiach to nie wspominamy. Tam nawet nie patrzysz, bo nie ma na co, latarnie nie świecą i strach za okno wyjrzeć. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Źle będzie

Adam, to jak będzie w końcu z tą inflacją? Bo mam trochę oszczędności i nie wiem, co zrobić.
No będzie, Jacek, będzie inflacja, będzie.

To ja wiem. Ale jaka? Większa, niż mówiłeś na konferencji?
Większa albo i mniejsza, jakaś tam będzie, raczej powyżej celu. Ale wiesz, my, jastrzębie...

Dobra, ale ile? Dolary kupować czy franki?
Kupuj, co chcesz, złoto, platynę, srebro, pallad, franki, dolary. Źle będzie.

Na litość... Ale jak źle?!
No... ...aście procent.

Ile? Głośniej mów, bo nie słyszę.
...aście procent, przecież mówię?

Nie słyszę. Ile powiedziałeś? Piętnaście? Osiemnaście?
Poczekaj, nowe dane mi właśnie przysłali, chwileczkę. A, okej, już widzę.

No to ile? Bo muszę się szybko decydować.
...eścia pięć. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„[...] pomoc, wsparcie, ciepło i dawanie nadziei są zarezerwowane tylko dla niektórych uchodźców. Tych bliższych kulturowo, mówiących podobnym językiem".

JANINA OCHOJSKA, *europosłanka KO, w Parlamencie Europejskim o pomocy, której Polacy udzielają uchodźcom z Ukrainy*

eprasa.pl c8db3f1bd8

dwaj panowie g

Cała Polska dowiedziała się dzięki wywiadowi Mazurka z ambasadorem Bartoszem Cichockim w Kijowie, że sytuacja prowiantowa nie jest aż tak zła: cebula się skończyła, ale jest wino. Mamy dobre wieści. Sytuacja się nawet poprawiła. Jak powiedział nam polski ambasador, wino jest nadal, a w dodatku pojawiło się sporo cebuli. Ważna uwaga dla amatorów: „Staramy się nie łączyć tych smaków" – poinformował Cichocki panów G.

Skoro już o Cichockim. W wielkiej konfidencji możemy ujawnić, że jeszcze miesiąc temu minister spraw zagranicznych Zbigniew Rau rozważał wymianę Bartosza Cichockiego na jakiegoś innego ambasadora na Ukrainie. Na szczęście to już melodia przeszłości, a Cichocki wraz z nuncjuszem apostolskim i ambasadorem Turcji są ostatnimi dyplomatami tej rangi pozostającymi w Kijowie.

Niejaka Lempart Marta, kobieta od prenatalnych drucianych wieszaków, wezwała Unię Europejską, żeby ta nie dawała rządowi PiS pieniędzy na uchodźców, bo PiS je ukradnie. Nie żeby to miało jakiekolwiek znaczenie (tak jak miejsce apelu: niezawodna „Gaze…", wróć: „Priedwybornaja Gazieta"). Chcemy tylko uświadomić Ukraińców, że Putin chce ich ukarać za Zełenskiego, a Lempart chce ich ukarać za Kaczyńskiego. Chcemy, żebyście wiedzieli, z kim my tu musimy żyć, nawet kiedy nie ma wojny.

Apropos Zełenskiego. Satelitarne oko Pentagonu widzi wszystko, ale nie wszystko rozumie. Jak nam opowiedziały amerykańskie wiewiórki, na przykład nie rozumie, dlaczego tuż przed inwazją (albo i po) prezydent Zełenski nie ogłosił powszechnej mobilizacji. Udało nam się to pytanie zadać ważnej ukraińskiej wiewiórce. „Nie po to od jesieni się szykowaliśmy na atak, żeby w ostatniej chwili to popsuć jakimś burdelem" – odparła wiewiórka.

Jak wiecie, Putin ma już nowego prezydenta Ukrainy. To stary prezydent – Wiktor Janukowycz. Ten bandzior od strzelania do ludzi na Majdanie. Czeka w Mińsku. Przypominamy więc, jak przed laty Radek Sikorski się chwalił: „Byłem jednym z nielicznych ministrów spraw zagranicznych Europy, którzy dostali oficjalne zaproszenie na zaprzysiężenie nowego prezydenta". Tak. Chodziło o Janukowycza. Tak, Radek, by odróżnić się od złych kaczystów wspierających ludzi pomarańczowej rewolucji, stawiał na Janukowycza. Jak to szczery demokrata.

Tymczasem Zizou Ziobro wezwał Parlament Europejski do nałożenia sankcji na sojuszników Putina. Bylibyśmy ostrożni. Biorąc pod uwagę tamtejsze nastroje, zaczęliby od Węgier. Inna sprawa, że biorąc pod uwagę rozmaite decyzje Budapesztu, to nawet nie chciałoby się nam protestować.

Z powyższych powodów chcieliśmy też wytrącić z samozadowolenia tych, którzy ucieszyli się nagle, że Zły Donald z Sopotu wzywa na forum europejskim do „deputinizacji Europy". Wiecie, że on ma na myśli Kaczyńskiego?

Tymczasem stał się cud. W Grażdanskiej Kołalicji masowe nawrócenia. Nie wiemy, czy wiecie, ale oni tam wszyscy byli od zawsze za Wojskami Obrony Terytorialnej. Jeszcze trochę, a dowiemy się od Mroczków i Siemoniaków, że oni właściwie zawsze głosowali tak jak PiS. Trzeba więc poprawić stenogramy sejmowe, by odnotować, że rząd Morawieckiego od lat wygrywał wszystkie głosowania większością 380 głosów czy coś koło tego.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Odnotowujemy z kronikarskiego obowiązku. Decyzja o nominacji Dariusza Barskiego ostatecznie zapadła. Nareszcie. Uznano bowiem, że w sytuacji wojenno-kryzysowej byłoby jednak dobrze, gdyby ktoś kierował Prokuraturą Krajową. I dobrze. Bo Barry to w aktualnych okolicznościach najlepszy kandydat.

Izraelczycy odpuścili sobie zupełnie temat pt. „Zwalczanie polskiego KPA". Jak wiecie, przysłali nawet blokowanego miesiącami ambasadora. Cóż, jeśli chce się zasilić swój kraj nowymi obywatelami, to Polski lekceważyć się dalej już nie da. A ok. 100 tys. Żydów z Ukrainy to przecież potężny zastrzyk demograficzny. Co ciekawe, sojusznicy z Izraela już wcale nie chcą Polsce odbierać Pegasusa. Lepiej: nawet chcą nam pilnie sprzedać inne fajne zabawki.

W związku z powyższym musimy oskarżyć Parlament Europejski o antysemityzm. Przyjęto tam ostatnio dwie antypolskie rezolucje. Jedna to wiecie: kasa za sądy i przywrócenie Tuska do władzy. Tę szeroko komentowano. Ale była i druga, rugająca Polskę za posiadanie Pegasusa. Chcecie rugać, to sobie rugajcie Tel Awiw, drodzy potomkowie Hitlera, Quislinga i Pétaina.

Tymczasem w Berlinie armagedon. Przypominamy, że już po przyjeździe 11 tys. uchodźców z Ukrainy władze miasta się poddały i oświadczyły, że są u kresu sił. Teraz Deutsche Welle kolportuje wezwania wolontariuszy z Berlina, by uchodźcy omijali miasto, gdyż władze zdają egzamin mniej więcej tak, jak kiedyś Peło ze wszystkiego. Odnotujmy, że sama Warszawa przyjęła już grubo ponad 100 tys. uchodźców z Ukrainy, a drugie tyle tranzytem powędrowało przez nią dalej. No, ale tu jest Polska, a nie jakaś deutsche Wirtschaft.

W warszawskiej beczce jest jednak łyżka dziegciu. Rafcio Trzaskowski uparł się bowiem, by pomoc dla uchodźców w stolicy koordynowała wiceprezydent Aldona Machnowska-Góra. Pani od programów rozwoju kultury i od teatru. My generalnie bardzo lubimy ludzi teatru, ale w tym przypadku potwierdzamy doniesienia mediów. Jeśli chodzi o teatr Aldony i Rafcia, to, owszem, jest. Ale tylko dramat. ©℗

eprasa.pl c8db3f1bd8

ZACZNIJ DZIEŃ Z TV REPUBLIKA

Polska
NA DZIEŃ DOBRY

REPUBLIKA

od poniedziałku
do soboty
7:30

#włączprawdę
Oglądaj również na www.tvrepublika.pl

eprasa.pl c8db3f1bd8

Gospodarcza zimna wojna

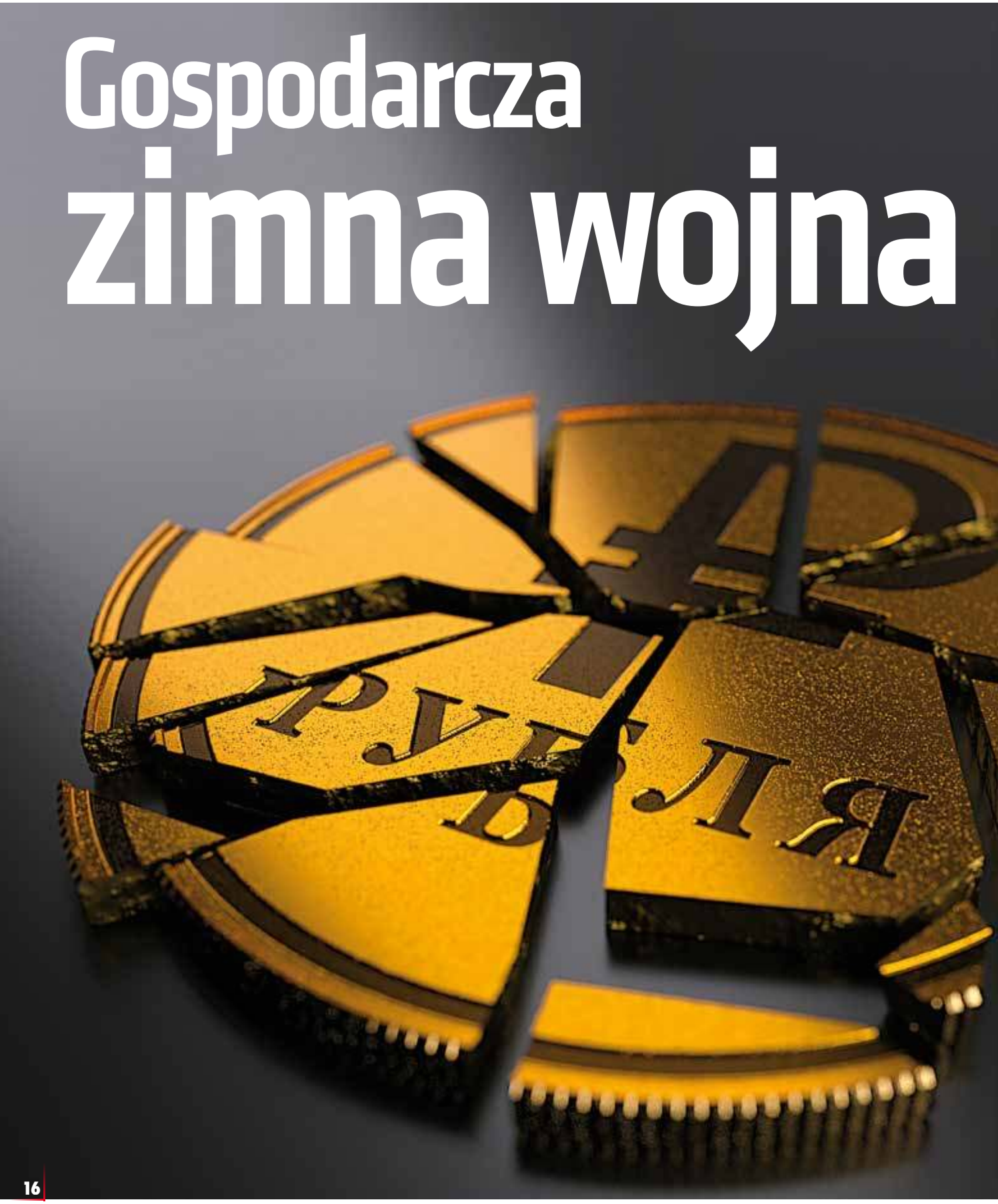

eprasa.pl c8db3f1bd8

FOT. ADOBE STOCK

Jakub Wozinski

Zachód chciałby pokonać Rosję ekonomicznie, tak jak uczynił to z ZSRS. Nowej żelaznej kurtyny nie da się jednak łatwo nasunąć, gdyż musiałyby się za nią znaleźć również Chiny

Niewykluczone, że za jakiś czas historycy będą opisywać wypowiedź francuskiego ministra gospodarki i finansów Bruno Le Maire'a jako symboliczny początek nowej zimnej wojny. W reakcji na rosyjską agresję przeciwko Ukrainie stwierdził on, że kraje Unii Europejskiej będą prowadziły totalną ekonomiczną i finansową wojnę przeciw Rosji. „Sprawimy, że rosyjska gospodarka upadnie" – przekonywał Le Maire. Błyskawicznie odpowiedział mu były prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew, który ostrzegł, że „w historii ludzkości wojny gospodarcze dość często przeradzały się w realne wojny". Po tych słowach francuski minister pospiesznie wycofał się, wyrażając żal z powodu wyrażonych przez siebie „niewłaściwych uwag".

SANKCJE JAK WOJNA

Zachowanie francuskiego ministra można interpretować z jednej strony jako rejteradę, lecz z drugiej konflikt gospodarczy z Rosją jest już faktem. Począwszy od pierwszych dni wojny, Zachód nałożył na kraj rządzony przez Putina jedne z najbardziej dotkliwych sankcji w najnowszej historii. Sam rosyjski przywódca przyznał zresztą, że ich skala przypomina wręcz wypowiedzenie wojny. Największe rosyjskie banki zostały odłączone od systemu transakcyjnego SWIFT, wstrzymano certyfikację gazociągu Nord Stream 2, rezerwy Banku Centralnego Rosji zostały zamrożone, europejskim inwestorom wstrzymano możliwość obrotu rosyjskim długiem, a oprócz tego nastąpiła masowa wyprzedaż rosyjskich aktywów na europejskich rynkach. Własny zestaw sankcji przygotowały praktycznie wszystkie kraje zachodnie, które sprawiły, że rubel błyskawicznie stracił ponad 30 proc. wartości w stosunku do zachodnich walut, a nad Rosją zawisło widmo poważnego kryzysu gospodarczego. Jeśli dodatkowo uwzględnimy fakt, że rosyjska ropa naftowa przestała być kupowana przez większość zachodnich odbiorców, to wschodni agresor rzeczywiście znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Szacuje się, że w obecnym roku PKB Rosji spadnie o 7–9 proc., a jeśli uda się w pełni zablokować jej eksport gazu i ropy, to spadek wyniesie nawet 14 proc.

Rosja nie leży jeszcze jednak na łopatkach. Tonując swoją wcześniejszą wypowiedź o wojnie totalnej, Bruno Le Maire być może nie tyle przestraszył się riposty Miedwiediewa, ile raczej uzmysłowił sobie to, że lata 80. już dawno minęły, a po stronie Rosji stoją tym razem potężne Chiny. Pospiesznie likwidując swoje gospodarcze przyczółki w rosyjskiej gospodarce, Zachód ryzykuje, że przejmie je po prostu ktoś inny. Od początku agresji na Ukrainie nie brakowało głosów, że Władimir Putin to szaleniec, który zatrzymał się w swoim myśleniu na czasach sowieckich. W istocie okazuje się, że wedle starych, zimnowojennych kategorii myśli większość świata Zachodu, która jest przekonana, że wystarczy znów podzielić świat na dwie gospodarcze strefy i tym samym zdusić Rosję sankcjami. Władca Kremla doskonale rozumie to, że na świecie istnieje wiele państw, które łatwo nie podporządkują się presji Zachodu.

Na gospodarczy upadek Związku Sowieckiego, który dopełnił się w latach 80. XX w. złożyło się kilka czynników. Stany Zjednoczone we współpracy z krajami arabskimi zdołały zbić cenę ropy naftowej, a stosowana przez Ronalda Reagana polityka gospodarcza jeszcze bardziej uwyraźniła bankructwo sowieckiego systemu gospodarki nakazowo-rozdzielczej.

NIE BĘDZIE POWTÓRKI

Na początku drugiej dekady XXI w. sytuacja jest już diametralnie inna i choć spore uzależnienie rosyjskiego budżetu od ropy naftowej i gazu (nawet 40 proc.) może wywoływać pewne skojarzenia, rosyjskie państwo ma już dziś przed sobą zupełnie inne perspektywy. W czasach Związku Sowieckiego ponad 60 proc. handlu Imperium Zła dotyczyło krajów Układu Warszawskiego. Po aneksji Krymu i nałożonych wówczas sankcjach głównym partnerem handlowym Rosji są już Chiny, a w ubiegłym roku poziom obrotów między obu krajami

eprasa.pl c8db3f1bd8

sięgnął rekordowych 146,9 mld dol. (dla porównania: wartość obrotów z Niemcami to 56,9 mld dol., a z Polską 22,5 mld dol.). Według obustronnych deklaracji wymiana między obiema potęgami ma wzrosnąć w 2024 r. do 200 mld dol., a docelowo nawet do 250 mld dol. Nie zrekompensuje to w pełni utraty znacznej części zachodnich rynków, lecz w dłuższej perspektywie rynek chiński jest zdecydowanie bardziej atrakcyjny. Nie wiadomo również, czy Chiny nie staną się jeszcze bardziej chłonne i bogate w sytuacji, gdy Zachód będzie się wyniszczał w konfrontacji z Rosją.

Pomimo tego, że nałożone przez kraje zachodnie sankcje należy ocenić jako surowe, nadal można sobie wyobrazić dużo dalej idące kroki. Gdy w 2018 r. amerykański Departament Stanu opublikował listę blisko powiązanych z Putinem oligarchów, znalazło się na niej 96 nazwisk. Do tej pory sankcjami objęto zaledwie skromną część z nich, a wymiana handlowa między Rosją i światem zachodnim bynajmniej nie ustała, przede wszystkim w zakresie gazu ziemnego. Kraje Unii Europejskiej nie tylko nieustannie importują błękitne paliwo od samego początku konfliktu, lecz także w związku z sankcjami i nasilającym się kryzysem energetycznym płacą Rosji coraz większe stawki (3 marca kraje unijne zapłaciły aż 660 mln euro, czyli trzykrotnie więcej niż jeszcze na początku roku). Z tego właśnie powodu tym razem Zachód nie może sobie pozwolić na błyskawiczne i prawdziwie dewastujące uderzenie w podstawy rosyjskich finansów. Europa jeszcze przez wiele miesięcy będzie zdana na dostawy z Rosji, a odcinając się nagle od dostaw ze Wschodu, wywołałaby tym samym poważny kryzys, który zagroziłby praktycznie całemu Zachodowi. Kanclerz Olaf Scholz stwierdził zresztą wyraźnie, że w sposób całkowicie świadomy Niemcy nie zrezygnują z importu rosyjskich surowców. Cztery dni po inwazji niemiecki rząd zadeklarował jedynie, że zamierza przyspieszyć pełne przejście na energię ze źródeł odnawialnych z 2040 na 2035 rok.

Problemem Europy nie są zresztą tylko rosyjski gaz ziemny czy ropa naftowa. Zaledwie w drugim tygodniu trwania wojny na Ukrainie przedstawiciele Komisji Europejskiej oraz Europejskiego Banku Centralnego stwierdzili, że wprowadzanie kolejnych sankcji będzie musiało być poprzedzone pogłębioną analizą oraz że rozważają uruchomienie dodatkowej pomocy publicznej dla najbardziej dotkniętych sankcjami i wojną sektorów. Świadczy to wyraźnie o tym, że arsenał gospodarczy Unii Europejskiej jest dużo bardziej ubogi, niż się mogło wydawać.

Nie dziwi więc, że znalazłszy się w tak ekstremalnie trudnej sytuacji, Zachód wręcz chwyta się brzytwy. Stany Zjednoczone podjęły właśnie rozmowy z Wenezuelą, która miałaby odtąd znów mieć możliwość sprzedaży ropy na światowych rynkach. Rosjanie wyeksportowali w ubiegłym roku 540 tys. baryłek ropy do USA i szacuje się, że wenezuelski eksport mógłby w całości uzupełnić powstałą w wyniku nałożonego embarga lukę. Ocieplenie stosunków z Caracas pokazuje tym samym skalę determinacji amerykańskiego państwa. W ciągu ostatnich dwóch lat cała światowa gospodarka znalazła się pod wielką presją, czego najlepszym wyrazem jest to, że inflacja nawet w Stanach Zjednoczonych osiągnęła poziom 7,6 proc. Lekkomyślna pandemiczna polityka monetarna i budżetowa połączona z wcielaniem w życie zielonej agendy uczyniły kraje sprzeciwiające się rosyjskiej agresji wyjątkowo kruchymi i mniej odpornymi na kolejne wstrząsy.

Zadłużony po uszy i mający wyraźne problemy z powrotem na ścieżkę gospodarczego wzrostu Zachód nałożył jak do tej pory sankcje w obszarach, które są stosunkowo bezpieczne dla niego samego. Notowane w Londynie Sbierbank, Gazprom czy Łukoil mogą stracić na wartości bez szkody dla reszty giełdy, a wielka dewaluacja rubla nie wyrządzi szkody nikomu poza samymi Rosjanami. Jedynie w razie nagłej utraty dostępu do gazu Europa mogłaby doznać szoku w postaci m.in. zapaści w produkcji przemysłowej, ogromnych spadków na giełdzie i jeszcze większego wzrostu inflacji. Kolejny po pandemicznym i ekologicznym szok inflacyjny mógłby tym samym przybliżyć niebezpieczeństwo wystąpienia galopującej inflacji, jeśli nie wręcz hiperinflacji.

PŁATNOŚCIOWA ALTERNATYWA

Na taki scenariusz co najmniej od czasu aneksji Krymu przygotowuje się Rosja wraz z Chinami. Rosyjski bank centralny od 2014 r. rozwija własny system transakcyjny o nazwie SPFS (System Transferu Wiadomości Finansowych), z którego korzysta już kilkaset instytucji finansowych w całej Rosji. Powstał on po to, aby zabezpieczyć się przed spodziewanym odcięciem od kontrolowanego przez Amerykanów systemu SWIFT. Od 2015 r. swój własny system o nazwie CIPS (Cross-Border Interbank Payment System) rozwijają również Chiny. Obecnie odpowiada on jedynie za skromny wycinek wszystkich transakcji chińskiego systemu finansowego, lecz epokowe zmiany towarzyszące wojnie na Ukrainie mogą szybko to zmienić. Rosja i Chiny koordynują prace nad SPFS i CIPS i niewykluczone, że w sprzyjających im okolicznościach będą się starały przenieść do swoich systemów transakcyjnych możliwie jak największą część światowych płatności. Nagły kryzys zaufania do zachodnich walut i zachodniego systemu finansowego może sprawić, że chętnych do rozliczania się w innych walutach może przybyć w dużych ilościach. Już teraz do chińskich banków zlokalizowanych w Moskwie masowo zgłaszają się rosyjskie przedsiębiorstwa pragnące otworzyć rachunki w juanie. Z kolei największa w Rosji firma transportowa Fresco oznajmiła niedawno, że jej klienci mogą płacić w chińskiej walucie.

146,9 mld dol.

POZIOM OBROTÓW HANDLOWYCH W 2021 R. MIĘDZY ROSJĄ A CHINAMI

Chiny kuszą Rosję i wiele innych państw nie tylko ogromnym rynkiem i alternatywnym wobec zachodniego finansowaniem, lecz także obietnicą wprowadzenia nowej światowej waluty rezerwowej. Pekin urządził wielki i starannie zaplanowany pokaz możliwości swojego cyfrowego juana w trakcie niedawnych igrzysk olimpijskich, w czasie których z eksperymentalnego pieniądza mogli korzystać wszyscy mieszkańcy futurystycznie urządzonej wioski olimpijskiej. Cyfrowa waluta Banku Ludowego Chin jest złudnie reklamowana jako pieniądz przyszłości, który w przeciwieństwie do dolara będzie oparty na złocie i zarządzany w dużo bardziej konserwatywny sposób. I choć obecnie w juanie rozlicza się zaledwie 2,4 proc. całego światowego handlu, to nagła demonstracja siły Rosji i Chin, a jednocześnie słabości Zachodu w konfrontacji z nimi może w warunkach przyspieszającej inflacji błyskawicznie zmienić reguły gry. Stawka wojny na Ukrainie wydaje się więc w rzeczywistości dużo większa, niż wszyscy mogliby się spodziewać.

Od początku konfliktu na Ukrainie w zakresie finansowym dokonują się naprawdę epokowe zmiany. Zachodnie

eprasa.pl c8db3f1bd8

56,9 mld dol.

POZIOM OBROTÓW HANDLOWYCH W 2021 R. MIĘDZY ROSJĄ A NIEMCAMI

22,5 mld dol.

POZIOM OBROTÓW HANDLOWYCH W 2021 R. MIĘDZY ROSJĄ A POLSKĄ

firmy obsługujące płatności elektroniczne, m.in. PayPal, MasterCard, Visa, a także Apple i Google (oferujące własne portfele elektroniczne) zawiesiły swoje usługi w całej Rosji. Na reakcję nie trzeba było długo czekać, gdyż państwowy Sbierbank ogłosił niezwłocznie, że zastąpi je własnymi kartami płatniczymi o nazwie Mir. Prace nad tym projektem rozpoczęto pod koniec 2014 r. i już w ubiegłym roku wykonywano przy ich pomocy 25 proc. płatności w całej Rosji, a liczba użytkowników wzrosła do ponad 100 mln. Jeszcze przed rosyjską agresją na Ukrainę z Miru można już było korzystać w 11 państwach.

Wzięte z osobna rosyjski system transakcyjny SPFS czy też karty płatnicze Mir wydają się wręcz skazane na porażkę w konfrontacji z zachodnim SWIFT czy też całym potężnym sektorem płatności elektronicznych i kart płatniczych zdominowanych przez podmioty z USA. Jeśli jednak cały świat będzie widział, że Rosję wspierają Chiny, a bezprecedensowe w swojej skali sankcje nie przynoszą wcale śmierci ekonomicznej, to wiele państw zacznie kalkulować. Stopniowa utrata zaufania do Zachodu i jego systemu finansowego w warunkach galopującej inflacji może doprowadzić do epokowych zmian. Przykład pierwszych dni agresji przeciwko Ukrainie pokazuje, że czasami wystarczy ledwie tydzień, aby sytuacja zmieniła się diametralnie.

Rosjanie i ich azjatyccy sojusznicy mają w tym kontekście również dodatkowy atut w postaci ogromnych rezerw złota. Od czasów aneksji Krymu państwo rządzone przez Putina wzbogaciło się o ok. 1,1 tys. ton kruszcu. W przypadku Chin eksperci od dawna zauważają, że dane przekazywane przez Pekin nie odwzorowują faktycznego stanu rzeczy. Gdyby wierzyć oficjalnym rachunkom, Chiny miałyby 1,9 tys. ton, lecz biorąc pod uwagę rosnące stale wydobycie wewnętrzne i dokonywane przez rozmaite chińskie podmioty zakupy na całym świecie, Państwo Środka może posiadać nawet kilka razy więcej złota.

Rosja nie zdecydowałaby się również nigdy na tego rodzaju konflikt, gdyby nie wiedziała, że światowa gospodarka jest uzależniona od kilku innych posiadanych przez nią zasobów. Dotyczy to choćby niklu, w którego całej światowej produkcji Rosja ma 5 proc. udziału, czy też palladu, który w 40 proc. pochodzi ze złóż na Syberii. Bez wystarczających dostaw niklu świat nigdy nie przestawi się na elektryczne pojazdy, a bez rosyjskiego palladu rynkowi półprzewodników i katalizatorów grozi paraliż. Nie dziwi więc, że 8 marca Putin podpisał specjalny dekret ograniczający eksport wybranych surowców i towarów z terytorium Rosji. Dzięki temu ruchowi nie tylko uderzy w gospodarki Zachodu, ale jeszcze bardziej podbije cenę swoich kluczowych zasobów.

OSTROŻNIE ZE ZRYWANIEM WIĘZÓW

Agresja na Ukrainę wywołała w Polsce wielką i całkowicie zrozumiałą falę niechęci wobec Rosji i rosyjskiego biznesu. Brutalnym dla nas faktem pozostaje jednak to, że zachodni kapitał nie zerwie nigdy z Rosją wszystkich związków. Wielkie międzynarodowe korporacje takie jak BP, Shell, Volkswagen, Toyota, Ford, Airbus, Netflix czy Dell ogłosiły wstrzymanie dostaw, produkcji czy też wręcz zawieszenie świadczenia swoich usług na terenie Rosji. Tego rodzaju gesty nie są jednak równoznaczne z całkowitym zerwaniem relacji gospodarczych. Wielki kapitał nałożył tym samym swoje własne sankcje, lecz nie spalił za sobą mostów. Wręcz przeciwnie, jak donosiła agencja Bloomberg, gdy tylko na rosyjskim rynku miał miejsce krach, banki JP Morgan i Goldman Sachs pospiesznie zakupiły znaczne ilości obligacji rosyjskich firm (m.in. Gazpromu i Evrazu).

Polska powinna za wszelką cenę uniknąć realizacji scenariusza, w ramach którego wzięłaby na siebie nieproporcjonalnie wysokie koszty wojny gospodarczej z Rosją. Jako kraj graniczący bezpośrednio z Federacją Rosyjską mamy z nią wciąż dość rozbudowane relacje handlowe. Pod względem importu to nasz trzeci najważniejszy partner, a wartość polskiego eksportu do Rosji w 2021 r. wyniosła 36,6 mld zł – to ok. 10 razy mniej niż w przypadku Niemiec, lecz nadal kwota, której nie można lekceważyć. Jako kraj, który wziął na siebie ogromny ciężar przyjęcia setek tysięcy uchodźców z Ukrainy, Polska powinna naciskać na inne kraje zachodnie, aby partycypowały w zaistniałej gospodarczej zimnej wojnie w dużo większym stopniu niż do tej pory. W efekcie może się bowiem okazać, że zrywająca totalnie z Rosją Polska będzie borykała się ze znacznymi trudnościami, podczas gdy w Londynie posiadający udziały w rosyjskim przemyśle wydobywczym i metalurgicznym Roman Abramowicz będzie nadal brylował na finansowych salonach.

Dla Polski skutki nowej zimnej wojny mogą być niestety bardzo dotkliwe. Nasi rodacy w godny podziwu sposób masowo rzucili się na pomoc uciekającym przed wojną Ukraińcom i dlatego nie dociera jeszcze do nich w pełni waga sytuacji. Jako potencjalny cel kolejnej rosyjskiej agresji już w tej chwili obserwujemy ucieczkę kapitału z naszego kraju i narastające osłabienie złotówki, nawet pomimo kolejnych interwencji NBP. W stosunku do dolara złoty nie był tak słaby od blisko 20 lat. Stawia to Polskę przed niezwykle ponurą perspektywą, choćby w kontekście obsługi zadłużenia.

Po 33 latach od upadku komunizmu Polska znalazła się niemal w samym centrum bardzo dynamicznych wydarzeń, które mogą przesądzić o kształcie polityki międzynarodowej w kolejnych dekadach. Tym razem wydaje się, że jesteśmy w dużo lepszej sytuacji, ponieważ jesteśmy członkami NATO i Unii Europejskiej. Uwolniwszy6 się spod wpływów Rosji, zgłosiliśmy swój akces do struktur Zachodu, lecz Zachód przez ostatnie lata wyraźnie osłabł i dziś jego dominację kontestuje coraz więcej regionalnych potęg. W opublikowanym omyłkowo przedwcześnie artykule, w którym rosyjskie władze zamierzały pochwalić się błyskawicznym sukcesem na Ukrainie, była mowa o nastaniu nowego, wielobiegunowego ładu światowego. Rosyjski blitzkrieg mocno się opóźnił, ale dotychczasowy przebieg nowej zimnej wojny pokazuje, że wielobiegunowość w sensie gospodarczym powoli staje się faktem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

CZYTAJ TAKŻE ROZMOWĘ Z MINISTER KLIMATU I ŚRODOWISKA O ZIELONYM ŁADZIE PO NAPAŚCI ROSJI NA UKRAINĘ NA STR. 86

eprasa.pl c8db3f1bd8

Złoty osłabł, ceny poszybują

Tomasz Cukiernik

Polska gospodarka, finanse publiczne i przeciętni Polacy już mocno odczuwają negatywny wpływ wojny na Ukrainie

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl c8db3f1bd8

Jedną z pierwszych ofiar tej wojny został polski złoty. W bardzo krótkim czasie dolar umocnił się o ponad 10 proc. i jest najdroższy wobec polskiej waluty od ponad dwóch dekad, a euro – w całej historii tej waluty. – To przecena bez precedensu. To efekt uciekającego kapitału z naszego kraju z powodu obaw o rozprzestrzenienie się wojny na inne kraje – ocenia Łukasz Zembik, analityk TMS Brokers.

Niektórzy komentatorzy nazywają tę sytuację paniką. Niewiele pomogły trzy interwencje NBP, który skupował złotówki, aby umocnić naszą walutę. „Obserwowana w ostatnich dniach deprecjacja złotego nie jest spójna z fundamentami polskiej gospodarki ani też z kierunkiem prowadzonej polityki pieniężnej NBP" – podkreślił NBP w jednym ze swoich komunikatów. Z kolei Rada Polityki Pieniężnej podwyższyła stopy procentowe NBP o 0,75 punktu procentowego, uzasadniając to m.in. wojną na Ukrainie.

Zaskakiwać może natomiast to, że nawet ukraińska hrywna w ciągu 10 dni wojny umocniła się do złotówki aż o ponad 10 proc. – Fundamenty są dobre, dlatego w długim terminie o złotego się nie obawiam. Po okresie osłabienia kurs powinien się umocnić, tak jak to było podczas pandemii – uważa Paweł Borys, prezes Polskiego Funduszu Rozwoju.

Konsekwencją utraty wartości przez złotówkę w stosunku do walut zagranicznych będą wyższe ceny towarów importowanych. Poza surowcami Polska przywozi głównie towary konsumpcyjne, w tym samochody czy elektronikę. Oznacza to nie tylko, że Polacy będą wydawali coraz więcej na bieżącą konsumpcję, lecz także szybko stopnieją ich oszczędności. Z drugiej strony osłabienie złotówki bardzo korzystne jest dla eksporterów, którzy mogą taniej sprzedawać za granicą polskie towary lub generować wyższe zyski.

WZROSTY CEN SUROWCÓW I ENERGII

Rosja jest znaczącym na świecie eksporterem ropy naftowej i gazu ziemnego, więc wojna wywołała gwałtowny wzrost cen obu surowców. Gaz w krótkim czasie podrożał o kilkadziesiąt procent. Ropa naftowa jest najdroższa od 2008 r. W efekcie tak drogiej benzyny (ponad 7 zł/l) i oleju napędowego (ok. 8 zł/l) nie widzieliśmy jeszcze nigdy. Zachód zastanawia się nad rezygnacją z importu z tego kierunku. Jednak w sytuacji wprowadzenia zakazu importu ropy i gazu z Rosji mniejsza światowa podaż tych surowców spowoduje jeszcze większe wzrosty ich cen, chyba że te wszystkie rosyjskie nadwyżki wykupią Chińczycy, rezygnując z innych rynków, co ustabilizuje ceny.

Wysokie ceny notują także inne surowce, jak aluminium (unijna polityka energetyczno-klimatyczna wypchnęła produkcję m.in. aluminium poza granice UE, w tym do Rosji i na Białoruś), stal (w rezultacie objęcia sankcjami rosyjskiego oligarchy Aleksieja Mordaszowa, który jest właścicielem Sievierstalu, stalowy koncern zaprzestał eksportu swoich wyrobów do krajów Unii), nikiel (pod względem wydobycia Rosja plasuje się na drugim miejscu na świecie) czy pallad (Rosja odpowiada za ok. 40 proc. jego światowego wydobycia). To wszystko będzie miało negatywny wpływ na wzrost gospodarczy w Europie i w Polsce.

Czy w tej sytuacji jest szansa, by Unia Europejska odeszła od swojej szkodliwej polityki energetyczno-klimatycznej? Pojawiły się pewne sygnały. Frans Timmermans, unijny komisarz do spraw Europejskiego Zielonego Ładu, przyznał, że w obliczu ataku Rosji na Ukrainę dopuszczalne jest palenie węglem w celu zmniejszenia zależności od gazu

REKLAMA

POPOŁUDNIOWA
ROZMOWA
w RMF FM

18:02

NAJCIEKAWSZE WYWIADY
NAJMOCNIEJSZE TEMATY

eprasa.pl c8db3f1bd8

z Rosji. Cała Unia chce uniezależnić się od rosyjskiego gazu, który przecież wykorzystuje do wsparcia kluczowego dla UE przestawiania energetyki na źródła odnawialne. Niemcy zastanawiają się nad porzuceniem planu likwidacji wszystkich elektrowni atomowych w kraju.

Polskę szczególnie cieszyć może natomiast to, że cena uprawnień do emisji dwutlenku węgla spadła z niemal 100 euro/t do poniżej 60 euro/t (choć potem znowu nastąpił spory wzrost). Oznacza to, że elektrownie węglowe będą traciły mniej pieniędzy na ich kupno. Powinniśmy zaprzestać likwidacji energetyki węglowej pomimo tego, że Timmermans zamierza nadal na siłę forsować jak najszybsze przestawienie się UE na energię wiatrową i słoneczną oraz na biogaz. W obecnym położeniu to polska energetyka oparta na węglu znajduje się w znacznie lepszej sytuacji niż energetyka państw bardziej uzależnione od gazu ziemnego. Ale wzrosty cen gazu i tak przełożą się m.in. na wzrosty cen nawozów sztucznych. A te wraz ze wzrastającymi cenami zbóż (Ukraina jest istotnym producentem zboża, a np. cena pszenicy już jest najwyższa od początku XXI w.) doprowadzą do wzrostów cen żywności.

SANKCJE

Wprowadzone przez Unię Europejską sankcje na Rosję (m.in. zamrożenie rosyjskich aktywów w zagranicznych bankach i walutach, wyłączenie części rosyjskich banków z systemu transferowego SWIFT, zakaz handlu z Rosją z wyjątkiem surowców energetycznych) już są mocno odczuwane przez rosyjską gospodarkę, a kurs rubla się załamał. Jednak należy zdać sobie sprawę z tego, że sankcje uderzają także w tego, kto je wprowadza. – Nasze sankcje działają i Rosja wyraźnie to odczuwa, ale gospodarka UE też mocno ucierpi. Na tym etapie trudno jest rzetelnie przewidywać, jak będzie wyglądać sytuacja w Europie. Gdy wprowadzimy głębsze sankcje, wtedy będziemy mogli rozważyć wiele różnych scenariuszy. I chociaż wzrost gospodarczy wyraźnie spowolni, to jest to cena, którą warto zapłacić za obronę demokracji i prawa narodów europejskich do decydowania o własnym losie – mówi wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej Valdis Dombrovskis.

Dotychczasowe sankcje w ograniczony sposób wpłyną na polską gospodarkę. Polska Agencja Inwestycji i Handlu oświadczyła, że w związku z agresją Rosji na Ukrainę wstrzymuje obsługę rosyjskich inwestycji i inwestorów działających na terenie Polski. Problemy dotkną także polskich inwestorów w Rosji i na Białorusi czy też importerów i eksporterów w tamtym kierunku. Niektóre polskie firmy już rezygnują z eksportu do Rosji, na Białoruś i na Ukrainę, ograniczają tam działalność lub zamykają swoje zakłady. Jednak – jak wyjaśnia NBP – „niewielki udział eksportu towarów do Rosji i na Ukrainę w polskim eksporcie jest czynnikiem, który będzie ograniczał negatywny wpływ tej sytuacji na polską gospodarkę", a „wzrost gospodarczy w Polsce pozostanie wysoki". Analitycy Banku Pekao obniżyli jednak prognozę tegorocznego wzrostu z 4 proc. do 3,1 proc. – Polska jako kraj frontowy i przyjmujący setki tysięcy, a być może miliony uchodźców musi się liczyć z pogorszeniem się sytuacji ekonomicznej – stwierdza z kolei w Radiu Plus Michał Dworczyk, szef KPRM. A może polskie firmy będą w stanie wykorzystać sankcje w ten sposób, że zaczną eksportować własne wyroby (przynajmniej niektóre) na zachodnie rynki zamiast zakazanych produktów z Rosji i Białorusi?

Polska jako kraj frontowy i przyjmujący setki tysięcy, a być może miliony uchodźców musi się liczyć z pogorszeniem się sytuacji ekonomicznej

FINANSE PUBLICZNE

Olbrzymim obciążeniem, jeśli nie dla gospodarki, to na pewno dla polskich finansów publicznych, jest koszt pomocy humanitarnej dla uciekających przed wojną Ukraińców, czego konsekwencją będzie niebezpieczeństwo dalszego wzrostu zadłużenia publicznego. W ciągu dwóch tygodni do naszego kraju przybyło ponad 1,3 mln uchodźców. Polski rząd przyjął projekt specustawy o pomocy dla obywateli Ukrainy, zgodnie z którą uchodźcy dostaną świadczenia rodzinne, świadczenia wychowawcze („500+"), świadczenia „Dobry Start" („300+"), rodzinny kapitał opiekuńczy (12 tys. zł przez rok dla dziecka od pierwszego roku życia do ukończenia trzech lat) oraz dofinansowanie obniżenia opłaty rodzica za pobyt w żłobku, klubie dziecięcym lub u dziennego opiekuna. Zdaniem polityków Konfederacji, którzy sprzeciwiają się specustawie, to UE i USA powinny sfinansować pomoc dla ukraińskich uchodźców, przypominając, że kilka lat temu Turcja, zatrzymując u siebie imigrantów, dostała od UE 6 mld euro.

Co więcej, specustawa przewiduje, że 40 zł dziennie na osobę na wyżywienie, ciepło itd. mają dostać Polacy, którzy przyjmą uchodźców z Ukrainy. Polskie państwo ma też finansować opiekę zdrowotną czy edukację Ukraińców (do szkół w całej Polsce już zostało zapisanych ponad 3 tys. ukraińskich dzieci), a nawet zaspokajać ich potrzeby mieszkaniowe. Ten ostatni pomysł nie wszystkim się podoba. W Krakowie, gdzie w ramach rządowego programu „Mieszkanie Plus" powstało osiem bloków, mieszkania mają dostać nie czekający na nie Polacy, a właśnie uciekający przed wojną Ukraińcy. Zresztą efektem napływu tych ostatnich będzie rosnący popyt na rynku mieszkaniowym, w rezultacie czego ceny zarówno mieszkań, jak i najmu poszybują w górę.

Sytuacja finansów publicznych będzie jeszcze bardziej napięta w związku z planami wzrostu wydatków na powiększenie polskiej armii do 300 tys. żołnierzy i jej dozbrojenie. Nakłady na obronność mają wzrosnąć z obecnych 2,2 proc. do 3 proc. PKB w 2023 r. W obecnej sytuacji jest to oczywiście konieczne, ale trzeba by to robić z głową. Należałoby ograniczyć wydatki w innych sektorach: przede wszystkim znacznie zredukować politykę socjalną oraz biurokrację. Gdyby rządzący rozegrali sensownie tę szansę, można by upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: ograniczyć marnotrawne wydatki, zmniejszając rozmiary państwa i jego ingerencję w gospodarkę, a równocześnie wzmocnić za te pieniądze polskie wojsko.

RYNEK PRACY

Mamy niskie bezrobocie, więc napływ uchodźców z Ukrainy to bardzo dobra wiadomość dla polskich firm, które cierpią z powodu braku pracowników. Związek Przedsiębiorców i Pracodawców zaapelował do rządu o wprowadzenie ułatwień w zatrudnianiu Ukraińców: „Polski biznes jest otwarty na uchodźców z Ukrainy, lecz niezbędne jest stworzenie uproszczonych procedur zatrudnienia takich osób. Potrzebujemy prostych

eprasa.pl c8db3f1bd8

przepisów, które będą przejrzyste zarówno dla nowych pracowników, jak i rodzimych pracodawców. ZPP rekomenduje zatem, by każdy obywatel Ukrainy przekraczający polską granicę natychmiast (automatycznie) nabywał prawo do stałego pobytu na terenie Polski, wraz z pełnym dostępem do rynku pracy". Uproszczenie procedury zatrudnienia pracowników ukraińskich już zapowiedziała Marlena Maląg, minister rodziny i polityki społecznej.

Problem w tym, że na razie przyjeżdżają głównie kobiety i dzieci, bo mężczyźni zostają, by walczyć. – Z jednej strony wiemy, że część obywateli Ukrainy, którzy pracowali w Polsce, zdecydowała się wrócić do swojej ojczyzny, aby walczyć z wrogiem [szacuje się, że było to ok. 60 tys. osób – przyp. T.C.]. Patrząc na strukturę ich zatrudnienia, już w tej chwili odczuwamy braki w takich branżach jak transportowa, budowlana [tylko w ciągu jednego tygodnia polskie budowy opuściło ok. 30 proc. ukraińskich pracowników – przyp. T.C.] czy związana z administrowaniem nieruchomościami. Z drugiej strony liczba osób, które dotarły do Polski, a ostatecznie po zakończeniu konfliktu w Ukrainie zdecydują się zostać, może okazać się zbawienna dla tragicznej sytuacji demograficznej naszego kraju i dla długofalowych niedoborów pracowników – prognozuje Mariusz Zielonka, ekspert ekonomiczny Konfederacji Lewiatan.

Rzeczywiście, patrząc z punktu widzenia demografii, wielki i gwałtowny napływ Ukraińców to duża szansa dla Polski. Skoro Polki nie chcą rodzić dzieci, to zastąpią je imigranci z Ukrainy. „Rosnący wolumen przybywających do kraju uchodźców wiąże się jednak z potrzebą stworzenia sprawnego i funkcjonalnego systemu ich obsługi – ułatwiającego aklimatyzację i odnalezienie się w nowych realiach. Odpowiednia polityka państwa może sprawić, że przybywający do nas Ukraińcy nie tylko znajdą tymczasowe schronienie, lecz także docelowo dla wielu z nich Polska stanie się miejscem do życia, pracy, nauki i rozwoju" – czytamy w stanowisku ZPP. „W naszej opinii właściwym kierunkiem powinna być jak największa aktywizacja zawodowa i dążenie do jak największej asymilacji uchodźców w Polsce" – dodają eksperci Warsaw Enterprise Institute. Jednak ta szansa rodzi też niebezpieczeństwo w sytuacji niepowodzenia pełnej asymilacji. Powstanie spora mniejszość narodowa, która w przyszłości będzie chciała uzyskać także prawa obywatelskie.

Należy zwrócić uwagę, że już przed napaścią rosyjskiej armii na Ukrainę pogarszała się sytuacja finansów publicznych, państwo było coraz bardziej zadłużone, a inflacja notowała nowe rekordy. Wybuch wojny tylko pogłębi ten stan. Przyczyną tej sytuacji było z jednej strony podnoszenie podatków i wdrażanie przez rządzących coraz większego interwencjonizmu państwowego, także w związku z wdrażaniem unijnych regulacji, a z drugiej – pompowanie wydatków publicznych na politykę socjalną i na rosnącą biurokrację. Tymczasem sytuacja na Ukrainie rodzi obawy, że rządzący wskażą tę wojnę jako przyczynę fatalnego stanu finansów publicznych, rosnących cen i inflacji. Po części to racja, ale PiS będzie głosił, że jest to jedyna przyczyna, zapominając o niewłaściwej polityce rządu sprzed wojny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl c8db3f1bd8

Krótki traktat o uchodźcach

Piotr Semka

Żadna spontaniczna akcja nie może trwać w nieskończoność, a po każdym zrywie następuje pogorszenie nastrojów. Przyjrzymy się obawom, które pojawiają się po lewej i prawej stronie polskiej sceny ideowej

Gdy piszę ten tekst, do Polski przybyło z Ukrainy 1,3 mln uchodźców. Gdy dotrze on do rąk czytelnika, licznik może osiągnąć 2 mln. Ten pierwszy milion znalazł oparcie w Ukraińcach, którzy już jakoś urządzili się w Polsce. Ale kolejny milion to będą ludzie, którzy nie znają u nas nikogo. Iluś z nich pojedzie dalej. Ale większość zostanie. Bo blisko do ojczyzny, bo język łatwiejszy, bo już nie ma siły gnać dalej.

Ledwie parę dni mogliśmy się nacieszyć ogólnonarodowym wzmożeniem pomocy dla ukraińskich ofiar wojny, a już ruszyli do akcji strażnicy pilnujący tego, aby Polacy nie wpadli w grzech pychy. „Patrzcie, jesteśmy mistrzami w pomocy innym, prawda?" – pisze pół serio, pół szyderczo „Galopujący Major", komentator Krytyki Politycznej. Jest w felietonie troszeczkę miłego zaskoczenia, że Polacy bywają empatyczni, ale jest też pouczenie, że tym bardziej winniśmy przygarnąć imigrantów przedzierających się przez podlaskie lasy. I na końcu życzenie: „Obyśmy przestali obdarowywać ludzi pomocą pod warunkiem odpowiedniego koloru skóry".

W Parlamencie Europejskim trwa praca nad rezolucją, która wzywa, aby pieniądze podatników nie trafiały „do kieszeni tych, którzy podważają wspólne wartości Unii Europejskiej". Czyli do Polski, w której odbywa się „atak na wolność mediów i dziennikarzy, migrantów, prawa kobiet, prawa osób LGBTQI oraz wolność zrzeszania się i zgromadzeń". W ten sam ton weszła europosłanka Janina Ochojska.

Ale w Polsce nawet wśród tych, którzy w mądry sposób potrafią zdobyć się na satysfakcję z bardzo ofiarnej akcji pomocy dla Ukrainy, pojawia się refleksja nad tym, co będzie dalej. Żadna spontaniczna akcja nie może trwać w nieskończoność, a po każdym zrywie następuje „klapnięcie" nastrojów. Przyjrzymy się tym obawom, które pojawiają się po lewej i prawej stronie polskiej sceny ideowej.

OBAWY LEWICY

Zacznijmy od lewicy. Tutaj panuje przekonanie, że uchodźcy poddani są

eprasa.pl c8db3f1bd8

Dorohusk, granica polsko-ukraińska, 26 lutego
FOT. JERZY DĄBROWSKI/ONS

administracyjnym ograniczeniom. Były rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar i lewicowy publicysta Jacek Żakowski zaapelowali na łamach mediów: „Nie czekajmy na Unię Europejską, już przyznajmy obywatelom Ukrainy w Polsce równe prawa". I dalej: „Nie możemy przyjąć Ukrainy do Unii Europejskiej, przyjmijmy do niej Ukraińców. [...] Prognozy mówią, że wkrótce możemy gościć od 1 do 5 mln ofiar tej wojny Putina. Powinniśmy zapewnić im nie tylko schronienie i pomoc materialną, lecz także maksimum normalności i poczucia bezpieczeństwa. Tymczasem rozwiązania prawne, którymi dziś dysponujemy, pchają ich w tryby uporczywych procedur, z którymi urzędy ds. cudzoziemców już wcześniej słabo sobie radziły. [...] Polski parlament powinien przyjąć w kilka dni ustawę przyznającą im status, którym cieszą się w Polsce obywatele Unii Europejskiej, a także takich państw jak Norwegia czy Szwajcaria".

Ci dwaj autorzy ogłaszają tak daleko idący postulat bez jakiejkolwiek choćby pobieżnej próby zastanowienia się, jakie konsekwencje prawne i finansowe mogą się wiązać z takim krokiem. A dzieje się to, przypomnijmy, w kraju, który – co prawda – wychodzi z pandemii, ale za cenę rosnącego zadłużenia służby zdrowia. Kraju, który w ciągu dwuletniego trwania pandemii był świadkiem sporów, czy chorzy na COVID nie ograniczyli dostępu do służby zdrowia osobom cierpiącym na poważne i długotrwałe schorzenia.

Kolejny typ obaw prezentuje Kaja Puto na łamach lewicowej „Krytyki Politycznej". Tytuł: „Nowa przyjaźń polsko-ukraińska. Jak by tego nie spieprzyć?". Publicystka pyta, czy nadal będą to relacje tak nierówne jak dotąd. „Bo że nierówne – to na pewno, tak działa kapitalizm. Migranci są potrzebni, bo są tańszą siłą roboczą, to wywołuje w sile roboczej społeczeństw przyjmujących poczucie bycia ofiarą nieuczciwej konkurencji. Jedno jest pewne. Polsko-ukraińska relacja ulegnie jakiemuś przeformułowaniu".

Autorka nie mówi, na czym ma polegać to przeformułowanie, i nie wyjaśnia, w jaki sposób wzajemne relacje mają nie być oparte na systemie dopasowywania się do polskiego rynku pracy przybyszów. Jeżeli ma być to objęcie Ukraińców jakimś specjalnym statusem socjalnym, to na pewno jest to gotowa recepta na poczucie zazdrości ze strony tych Polaków, którzy muszą ciężko pracować, aby utrzymać swoje rodziny.

Bardziej interesująca jest refleksja Kai Puto, że zbliżenie Polski i Ukrainy mogłoby zmienić proporcje sił w Unii Europejskiej. „Mam raczej na myśli Europę, która jest bardziej – w Brukseli kochają to słowo – sustainable, czyli zrównoważona. Innymi słowy, nie dzielić się na decydujących hegemonów i oferujące tanią siłę roboczą montażownie. Żeby móc w ogóle do tego dążyć, Ukraina musiałaby jednak wygrać tę wojnę – wygrać, a nie ukisić się w jakimś zgniłym kompromisie. Z wielu powodów trudno sobie to obiecywać, choć dobrze dla nas wszystkich, że robią to ukraińscy żołnierze".

Doświadczenie niemieckie przedstawił na łamach „Gazety Wyborczej" Klaus Bachmann, liberalny niemiecki publicysta, który wykłada w Polsce. Podjął się on przypomnienia o niemieckim doświadczeniu historycznym, w którym w latach 60. i 70. ściągano do Niemiec gastarbeiterów z Turcji, początkowo naiwnie zakładając, że wszyscy po jakimś czasie wrócą do kraju. Tymczasem, jak prorokuje Bachmann: „Uchodźców będzie 5 mln, oni w przeciwieństwie do Irakijczyków nie wyjadą do Niemiec". I zadaje z typowo niemiecką precyzją pytania: Skąd wziąć mieszkania dla 5 mln ludzi? Kto zapewni im te mieszkania i na jakich zasadach? Co nastąpi, kiedy metoda pospolitego ruszenia się wyczerpie i Polacy nie będą w stanie co drugi dzień jechać do supermarketu i wozić dary do punktów zbiórki? Nawet przy założeniu, że spora część Ukraińców potraktuje Polskę jako punkt przesiadkowy i wyjedzie do Niemiec, USA czy Kanady, można spodziewać się znacznego zwiększenia się liczby Ukraińców, którzy zechcą żyć w Polsce. I od tego momentu Bachmann wskakuje już na ulubionego konika obozu postępu, czyli przechodzi do mściwego wypominania, że każdy polski rząd dotąd unikał jak ognia przyznania, że Polska jest krajem imigracyjnym, i zaniechał opracowania polityki integracyjnej. I wieszczy: „Po kilku latach polski rząd będzie się dziwić, że mamy w Polsce partie ukraińskie, ukraińskie związki zawodowe, ukraińskie kluby sportowe, dzielnice ukraińskie, a nauczycieli, urzędników, policjantów mówiących po ukraińsku nie ma". Pyta też, czy rządowi nadal multi-kulti jawić się będzie jako mrzonka liberalnych elit i czy integracja Ukraińców ma polegać na ich asymilacji.

Wszystko to, o czym pisze Bachmann w tonacji cierpliwego tutora, który chce Polakom uświadomić to, co nieuniknione, w przedziwny sposób znajduje swoje lustrzane odzwierciedlenie w opiniach, które znaleźć można na forach internetowych zachowujących wobec Ukraińców głęboką nieufność. Oczywiście są po tej stronie refleksje o różnej jakości. Od dość małodusznego irytowania się, że Ukraińcy nie muszą płacić za bilet, a Polacy muszą, do mającego racjonalne uzasadnienie pytania, jak wchłonięcie paru milionów przybyszów zza naszej wschodniej granicy odbije się na działaniu służby zdrowia, skali obciążeń socjalnych samorządów czy wreszcie tzw. ładzie społecznym. Gdzieś w tle są obawy, że powrócą złe doświadczenia Polaków z Ukraińcami z czasów II RP. Ukraińcy jako naród z tzw. silną tożsamością mogą być siłą, która będzie bardzo wyraźnie domagać się wielu przywilejów, które mają mniejszości. Jeśli odbywałoby się to w sposób szybki i gwałtowny, to

eprasa.pl c8db3f1bd8

może to wywołać konflikty. Jeszcze inni wskazują, że oliwy do ognia mogą dolać ideolodzy polskiej lewicy, którzy już lubią porównywać rozliczenia krzywd Polaków i Ukraińców z przeszłości do emancypacji czarnej ludności w USA, która domaga się zadośćuczynienia za wieki krzywd.

JAK NIE ZWARIOWAĆ?

Wszystkie te przytoczone obawy mają w tle nienowe traumy. Tyle że w jednych wypadkach trauma dotyczy kwestii upośledzenia socjalnego, a w innych zaniepokojenia każdej społeczności, która musi się liczyć z tym, że dość szybko zmienią się proporcje etniczne na danym terytorium. Aby odnieść się do tych obaw, trzeba jednak zacząć od podstawowej konstatacji. Skala i długotrwałość masowej emigracji do Polski zależeć będzie od wyników wojny Putina przeciw Ukrainie. Jeżeli Ukraina wyjdzie zwycięsko lub choćby wywalczy sobie jak Finlandia w 1940 r. jakieś godne status quo, to możliwe, że większość uciekinierów wróci do swoich domów. Tym bardziej że wobec decyzji prezydenta Wołodymyra Zełenskiego o zatrzymywaniu mężczyzn w sile wieku do obrony kraju większość obecnych uciekinierów to kobiety, dzieci i osoby starsze. Jeśli Ukraina przetrzyma atak, to wtedy tendencja do dołączenia do swoich mężczyzn będzie silna.

Zupełnie inaczej będzie, jeżeli Ukraina przegra. Kiedy wszyscy ci obywatele Ukrainy, którzy dzisiaj walczą, będą uciekać przed terrorem i rozliczeniami. I wtedy być może rzeczywiście założą pobyt w Polsce jako miejscu szukania szans na kolejną walkę o wyzwolenie kraju. Polska może wtedy stanąć np. przed problemem, jak zareagować na ewentualne czynienie ze swego terytorium bazy wypadowej do zbrojnego wnikania na teren okupowanej Ukrainy. I przy próbach uregulowania takich procesów może dojść do realnych konfliktów.

Te różnice interesów dostrzegamy już teraz. Mający rosyjski nóż na gardle prezydent Zełenski apeluje o przysłanie jego wojskom samolotów MiG-29 bez wnikania, jakie obawy może mieć Polska przed reakcją Rosji. Z kolei z punktu widzenia Zełenskiego dyplomatyczny ping-pong na linii Warszawa – Waszyngton w sprawie migów-29 to niezrozumiała gra, naganna w obliczu ukraińskiej hekatomby. Na razie nie mamy podstaw do założenia, że Ukraina może zostać zmiażdżona przez Putina. Jeżeli ekipa Zełenskiego się utrzyma, to możemy czerpać pewien spokój w prognozowaniu przyszłości z faktu, że w ciągu ostatniej dekady Ukraińcy bardzo dobrze wtopili się w polskie społeczeństwo. Dali się poznać Polakom jako ludzie niemający roszczeniowego nastawienia i niebojący się ciężkiej pracy. Bez przekonania Polaków, że Ukraińcy nie są zagrożeniem, nie byłoby tak masowego poparcia w Polsce w ostatnich dniach. Stare przysłowie mówi, że szczęście to tchórzliwy ptak. Dlatego z taką troską zastanawiamy się, jak nie zmarnować tego kapitału sympatii między dwoma narodami, które przecież mają bardzo różną historyczną hipotekę.

Ukraińcy dali się poznać Polakom jako ludzie niemający roszczeniowego nastawienia i niebojący się ciężkiej pracy

Ludzie mający wobec Ukraińców uprzedzenia kultywują czarną wizję przyszłej niewdzięczności Ukraińców wobec Polaków. Ale nie zapominajmy, że po stronie ukraińskiej spotkać można także inny stereotyp. Polaków udających, że są braćmi Ukraińców, którzy po pewnym czasie przyjmują wobec nich wielkopańską pozę, zza której wydziera pogarda wobec tych, których uważa się za dziki wschód. Wiedza w Polsce o ukraińskiej kulturze jest bardzo słaba. Albo jest znikoma, albo sprzęga się bardzo często z niedobrymi stereotypami. Nigdy nie zapomnę, jak dwa lata temu zareklamowałem na swoim profilu twitterowym wieczór poetycki ku czci Tarasa Szewczenki, romantycznego poety ukraińskiego z XIX w. Natychmiast posypały się na mnie gromy, że lansuję poetę, który napisał bardzo krytyczny wobec Polaków utwór „Hajdamacy", który przedstawia chłopski bunt, tzw. Koliszczyznę, jako usprawiedliwiony wybuch gniewu ludu ukraińskiego przeciwko polskim ciemiężycielom. Oczywiście z tym utworem można polemizować. Ale „Hajdamacy" to jedynie cząstka ogromnej spuścizny twórcy, którego Ukraińcy uważają za wieszcza. Na podobnej zasadzie można wyobrazić sobie sytuację, w której jakichś Ukraińców oburza emisja naszego serialu „Pan Wołodyjowski" przy użyciu argumentu, że Henryk Sienkiewicz gloryfikował księcia Jaremę Wiśniowieckiego wyrzynającego Ukraińców w trakcie akcji antykozackich.

NIEZNANE ZAWSZE NIEPOKOI

Mamy więc do wyboru albo akcentowanie obaw, albo mądre korzystanie z historycznego momentu. Sami dobrze pamiętamy, że serdeczna gościna udzielona Polakom przez Węgrów w czasie drugiej wojny światowej przyczyniła się do przyjaźni trwającej do dziś. Doceńmy wreszcie bardzo subtelną politykę prezydenta Zełenskiego, który dba, aby symbolika UPA nie pojawiała się w trakcie obecnych działań ukraińskiej armii. Inaczej było w 2014 r., kiedy to w Donbasie cały opór opierał się głównie na ochotnikach z zachodniej Ukrainy, którzy zgodnie z tamtejszymi nastrojami chętnie sięgali po czerwono-czarne barwy UPA, a nawet tak kojarzące się ze skrajną prawicą symbole jak wilczy hak. Teraz jest zupełnie inaczej. Bo dominantą symboliki stosowaną przez ekipę Zełenskiego są obecnie głównie barwy niebiesko-żółte nawet bez specjalnego eksponowania symbolu tryzuba. Używane dziś często określenie „sława Ukrainie" – źle kojarzące się Polakom z racji używania tego hasła przez UPA – w swojej genezie jednak jest cytatem z wiersza Szewczenki z 1840 r., w którym padają słowa: „Nasza duma, nasza pieśń, nie umrze, nie zginie. Tam, gdzie ludzie, nasza sława, sława Ukrainie".

Ten wiersz Szewczenki był tak popularny, że przywitanie „Chwała Ukrainie! Po całej ziemi chwała" zaczęło być powszechnie używane przez ukraińskich studentów z Charkowa, a później przez członków Ukraińskiej Partii Rewolucyjnej, pierwszej świadomej niepodległościowej partii ukraińskiej na terenie prawobrzeżnej Ukrainy, skąd hasło to trafiło potem na zachód kraju. To przykład jednego z setek niuansów historycznych, które Polacy słabo znają. Wynika to z tego, że przez ostatnie 100 lat większość doświadczeń historycznych naszych rodaków brała się z kontaktów z Ukraińcami galicyjskimi.

Wojna, którą rozpętał Putin, na pewno scali nowym mitem założycielskim Ukraińców z zachodu i ze wschodu. A to pozwala zakładać, że tradycja UPA i – szerzej – Ukrainy zachodniej przestanie być głównym mitem niepodległościowym naszych sąsiadów. Rozładować to może niełatwą hipotekę wspólnej przeszłości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8db3f1bd8

RED IS BAD™ FUNDACJA

SZTAFETA POKOLEŃ

SZTAFETA POKOLEŃ IV

AKCJA DLA DZIECI Z DOMÓW DZIECKA

KONKURS PLASTYCZNY

MOJA OJCZYZNA - MÓJ BOHATER

Sztafeta Pokoleń to międzypokoleniowy projekt kierowany do dzieci z domów dziecka w całej Polsce. Pragniemy, aby dzieci poznawały historię prawdziwych bohaterów i brały z nich przykład.

ORGANIZATOR AKCJI:

RED IS BAD™ FUNDACJA

PARTNERZY AKCJI:

PFR Fundacja · fundacja arp · Fundacja Lotto im. H. Konopackiej · Fundacja BGK

Fundacja Red is Bad · ul Jagiellońska 88/ob.51BC/lok.24, Warszawa, 00-992 · **www.fundacja.redisbad.pl**

eprasa.pl c8db3f1bd8

Wojciech Bakun, prezydent Przemyśla, wręcza koszulkę z Putinem Matteo Salviniemu, który przyjechał na granicę

FOT. KRZYSZTOF KAPICA/EAST NEWS

Z Wojciechem Bakunem, prezydentem Przemyśla *rozmawia Ryszard Gromadzki*

Jedziemy na

RYSZARD GROMADZKI: Ponad 1,5 mln uchodźców z Ukrainy już przekroczyło polską granicę Polski. Co ta sytuacja oznacza dla Przemyśla, pierwszego większego polskiego miasta, do którego trafiają?

WOJCIECH BAKUN: Robimy wszystko, żeby osoby, które trafiają do Przemyśla i na przejście graniczne w Medyce, poczuły się bezpiecznie, żeby mogły odczuć rzeczywiste wsparcie. Od początku wojny wszystkie nasze działania zorientowane są na to, żeby uciekający przed wojną ludzie z Ukrainy, którzy znajdą się w Przemyślu, czuli się zaopiekowani, zanim ruszą w dalszą podróż.

Sytuacja sprawiła, że Przemyśl stał się swego rodzaju „forpocztą Polski". To tutaj uchodźcy z Ukrainy stykają się z fenomenem solidarności i bezinteresownej pomocy, która połączyła miliony Polaków. Ten fenomen dostrzegają media na całym świecie, nawet te nieprzychylne Polsce.

Rzeczywiście, słyszałem w ostatnim czasie wiele słów podziwu dla Polaków za to, w jaki sposób zareagowali na dramat Ukraińców. W ostatnich tygodniach praktycznie cały czas gościmy polityków, dziennikarzy, przedstawicieli międzynarodowych organizacji z całego świata. Wszyscy są pod wrażeniem tego, co u nas widzą – skali i bezinteresowności pomocy dla uchodźców z Ukrainy. To, co się dzieje, to rzeczywiście fenomen. Coraz częściej wizytujący nas goście ze świata chcą być jego częścią.

Może my, przemyślanie, my, Polacy, tacy jesteśmy. Chcąc nie chcąc, stanęliśmy w obliczu sytuacji, kiedy nasi sąsiedzi zostali najechani przez Rosję. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy w obliczu tego, co dotknęło naszych przyjaciół, mogli zachować się inaczej. Jednocześnie staramy się żyć normalnie. Miasto funkcjonuje, otwarte są urzędy i szkoły.

Ilu uchodźców przeszło przez Przemyśl od początku wojny?

Około 300 tys. Podam panu tylko statystykę z ostatniej doby. To 43 tys. osób, które przeszły przez punkt graniczny w Medyce i przejście kolejowe w Przemyślu.

Powiedział pan wcześniej, że nikt nie pozostaje bez opieki. To musi być dla miasta gigantyczne wyzwanie.

Nie sprostalibyśmy mu, gdyby nie praca i zaangażowanie wolontariuszy. To 1,2 tys. ludzi, którzy pomagają uchodźcom na dworcu PKP, w hali Tesco, w internatach i szkołach. Oprócz nich wszystkie służby: policja, straż pożarna, wojska obrony terytorialnej, harcerze, Caritas Polska, Polski Czerwony Krzyż, ratownicy, którzy świadczą pomoc wszystkim, którzy jej potrzebują. To gigantyczna operacja po pod względem logistycznym. Naprawdę trudno sobie wyobrazić, jak 60-tysięczne miasto może przyjąć i obsłużyć każdego dnia 40–50 tys. ludzi. Każda z tych osób otrzymuje ciepły posiłek, suchy prowiant, kanapki na dalszą drogę, wodę i soki. Dodajmy do tego środki czystości, środki higieniczne dla kobiet, pampersy dla dzieci.

Nie brakuje niczego? Do Przemyśla dociera wystarczająca pomoc?

Niczego nie brakuje. Oczywiście są sytuację, że coś nie dojechało, ale to normalne w sytuacji, kiedy opieramy się na donatorach. No może czasami brakuje trochę słodyczy. Każdy, kto ma dzieci, doskonale wie, że ich apetyt na łakocie jest nieposkromiony. A my mamy tu przecież każdego dnia dziesiątki tysięcy dzieci.

Mówi pan o wsparciu darczyńców, a jak ma się sprawa z systemowym wsparciem ze strony rządu?

To nie jest tak, że wszystko działa jak w zegarku, ale ja naprawdę mam dużo zrozumienia dla pani wojewody i służb rządowych. Są potknięcia, jednak współpracujemy. A nie jestem osobą bezkrytyczną wobec rządu i potrafię powiedzieć wprost to, co myślę. Na pewno nie spijamy sobie z dziobków. Jednak proszę mi uwierzyć, że w tej nadzwyczajnej sytuacji bardzo wiele zostało przez rząd zrobione. Życzyłbym sobie, żeby ta współpraca wyglądała tak na co dzień.

Już pierwszego dnia wojny spotkałem się tu, w Przemyślu, z ministrem Dworczykiem i ministrami infrastruktury i zdrowia. Od razu udało się załatwić dwie najbardziej palące kwestie: darmową opiekę medyczną dla uchodźców z Ukrainy i darmowe bilety na pociągi InterCity, żeby uciekinierzy z Ukrainy mogli płynnie przemieszczać się w głąb kraju. To gigantyczna pomoc, my w tym momencie nie musimy się martwić, czy ktoś ma za co jechać, czy wziął ze

eprasa.pl c8db3f1bd8

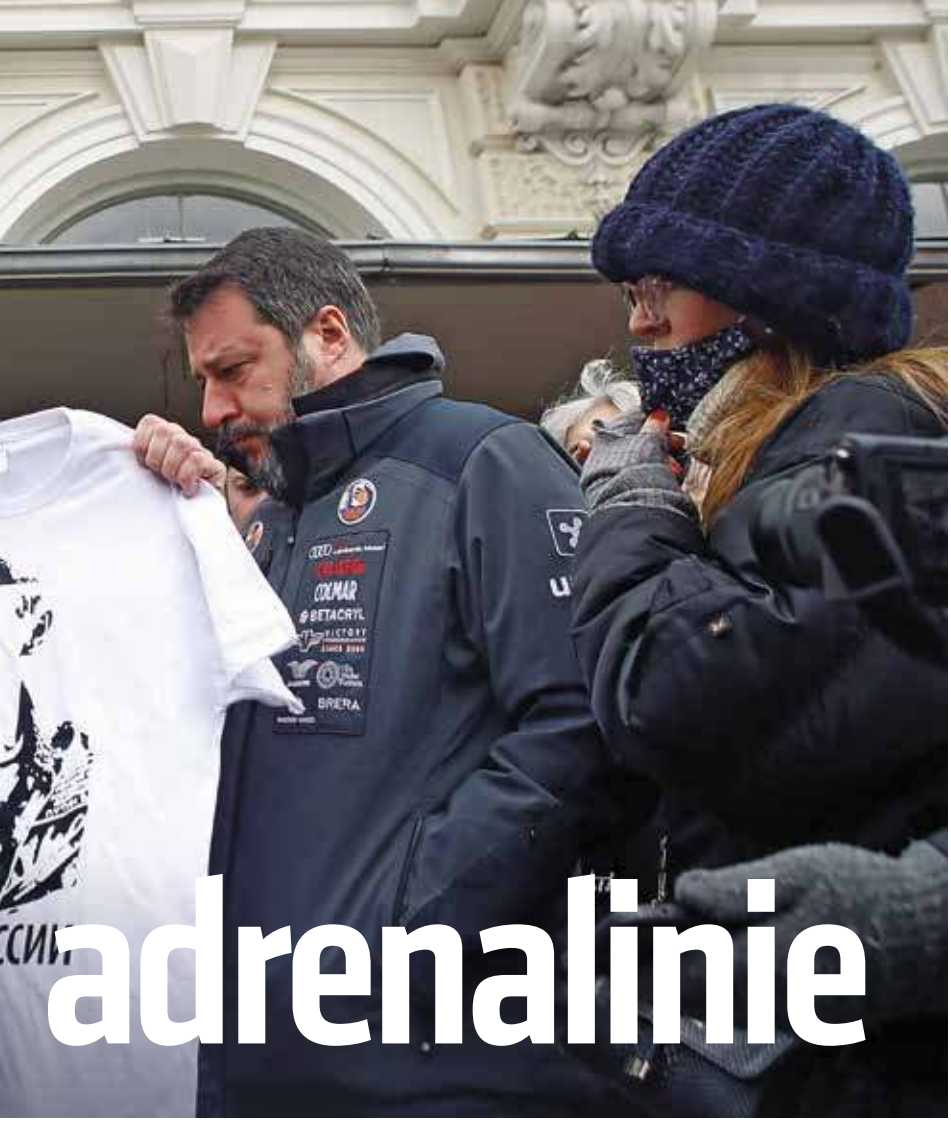

adrenalinie

sobą pieniądze na dalszą podróż. Tak samo nie musimy się martwić, kierując kogoś z naszego punktu medycznego do szpitala, kto zapłaci za jego leczenie. Kolejną rzeczą, która bardzo ułatwia nam przyjęcie uchodźców, jest uruchomienie przez rząd rezerwy paliwowej, która umożliwia nam ogrzewanie namiotów i pracę agregatów. Między innymi Orlen wysłał nam dwie cysterny, które zasilają ten sprzęt. Z kolei PGNiG udostępnia nam za darmo gaz, dzięki któremu ogrzewana jest hala Tesco, do której trafia najwięcej uchodźców.

Od początku wojny na Ukrainie gości pan w Przemyślu oficjeli z całego świata. Czy przekłada się to na konkretną pomoc z Unii Europejskiej czy innych instytucji międzynarodowych dla uchodźców?

Pomoc z zagranicy rzeczywiście napływa, choć nie potrafię powiedzieć, na ile jest to skutkiem kontaktów, które nawiązujemy w ostatnim czasie. Dociera do nas wsparcie z miast partnerskich z Francji czy Włoch, że strony zagranicznych firm. Myślę, że kluczem jest unaocznienie tego, co się dzieje. To trzeba po prostu zobaczyć na własne oczy. Dopiero to nie pozwala być obojętnym. My tutaj cały czas zderzamy się z sytuacjami, w których trzeba podejmować trudne decyzje. Dwa dni temu w nocy dostałem informację, że z granicy przyjechały autobusy w większości z kobietami i dziećmi. Wszyscy bardzo zmęczeni. Policjant przed halą Tesco, gdzie przyjmujemy uchodźców, mówi mi, że nie ma już miejsc. A tu na pomoc czeka tysiąc kobiet i dzieci. Wszedłem do autobusu i powiedziałem: „Drogie panie, macie do wyboru podróż pociągiem do Gdańska albo autobusami do Warszawy. W cieple, będziecie zmęczone, ale przeżyjecie, wolontariusze na dworcu zaopatrzą wszystkich w jedzenie i picie. Gdzie chcecie jechać?". W odpowiedzi słyszę, że ktoś chce jechać do Wrocławia, ktoś inny do Italii. „Dobrze – odpowiadam – wszyscy jedziecie do Gdańska. Za kilka godzin będziecie na miejscu. Szczęśliwej podróży". My przede wszystkim ratujemy ludzi na granicy. Często wiąże się to z trudnymi decyzjami. Ale dzięki temu, że odprawimy kogoś sprawnie do Gdańska, możemy przyjść z pomocą kolejnym uchodźcom czekającym na granicy.

Jak napływ tak ogromnych rzesz uchodźców wpływa na stan bezpieczeństwa w mieście?

Mamy bardzo zwiększoną liczbę służb, zarówno policji, jak i wszelkich innych. Miasto jest intensywnie patrolowane, ale wiadomo, że jeśli w ciągu 12 dni przez Przemyśl przewinęło się 300 tys. ludzi, to nie da się uniknąć różnych incydentów. W tak ogromnej zbiorowości zawsze znajdą się ludzie nieuczciwi czy przejawiający agresję. Jednak jak na tak ogromny przepływ ludzi tego rodzaju trudne sytuacje są marginalne.

Mówił pan, jak mieszkańcy Przemyśla fantastycznie reagują w chwili próby. Ile ofiarności wykazują w stosunku do uchodźców. Ale mówi pan też o narastającym zmęczeniu wszystkich dookoła. Nie obawia się pan, że z czasem to zmęczenie może przerodzić się w niechęć do uciekających przed wojną Ukraińców?

Na pewno trzeba się z tym liczyć, dlatego rozmawiamy z organizacjami pozarządowymi, żeby przekazywać im kolejne odcinki pracy, którą tu wykonaliśmy. Mamy świadomość, że takiej mobilizacji jak obecnie nie utrzymamy przez miesiące czy lata. Myślimy o przyszłości. Do Przemyśla zawitała już organizacja World Central Kitchen, która specjalizuje się w przygotowaniu posiłków właśnie w takich kryzysach, z jakim mamy do czynienia. To bardzo ważne, bo oni są w stanie przygotować nawet 100 tys. posiłków na dobę. To właśnie przykład oddania odcinka naszej działalności innej organizacji. Będziemy to krok po kroku przekazywać nadal, żeby finalnie spiąć to w jakimś spójnym systemie. Jako samorząd mamy przede wszystkim zajmować się miastem, a nie być jakąś wielką organizacją humanitarną.

Ma pan jakieś przesłanie będące owocem nadzwyczajnej sytuacji, z którą przyszło zmierzyć się Przemyślowi?

Starajmy się jak najdłużej wytrwać w tej solidarności, wspierać się. Ta niezwykła mobilizacja Polaków, z którą mamy dziś do czynienia w obliczu wojny na Ukrainie, jest wymownym znakiem. Gdybyśmy potrafili wytrwać w niej na co dzień, bylibyśmy wielkim narodem i silnym państwem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8db3f1bd8

Odlot z myśliwcami

Wojciech Golonka

Wszyscy dawali Polsce „zielone światło" na przekazanie myśliwców Ukrainie. Gdy mieli zrobić to sami, nagle okazało się to „ryzykowne". Wokół tej sprawy trwa taniec ze świeczką przy beczce prochu

Niespodziewany rozwój wydarzeń w sprawie możliwości dostarczenia przez państwa NATO Ukrainie samolotów bojowych nabrał wymiaru tragikomedii. Rzekomo zamknięty przez najwyższe władze NATO i Polski temat powracał w nowych odsłonach na ustach przedstawicieli władz USA i Polski, aż stał się przerzucanym z rąk do rąk gorącym kartoflem – a w ostatnich dniach nawet powodem do wzajemnych kąśliwości na linii Warszawa – Waszyngton.

Amerykanie uznali nasze propozycje za nierozsądne, z obozu władzy padły z kolei głosy o możliwych intrygach Ameryki. Mimo to zapowiedziano dalsze drążenie sprawy w czasie spotkania wiceprezydent Kamali Harris z prezydentem Andrzejem Dudą w Warszawie 10 marca. Nie ustalono na nim jednak, zdaje się, żadnych konkretów i być może pomysł utknie definitywnie w obecnej patowej sytuacji, co tym bardziej potwierdzałoby, że kolidował on z naszym bezpieczeństwem narodowym.

JAK TO SIĘ ZACZĘŁO

Pod koniec lutego ze strony państw Zachodu padły zapowiedzi potężnych dostaw broni dla Ukrainy broniącej się przed rosyjską napaścią, a przedstawiciel unijnej dyplomacji Josep Borrell dziękował Polsce za to, że zgodziła się być logistycznym hubem kluczowego dla obrony Ukrainy sprzętu i zaopatrzenia. Choć w oświadczeniach podkreślano defensywną naturę przekazywanej broni, to Moskwa odpowiedziała na nie, prężąc muskuły – zapowiadając 27 lutego postawienie swych jednostek odstraszania nuklearnego w stan alarmowy. W tej właśnie atmosferze wzmożonego napięcia 28 lutego pojawiła się dość niespodziewanie (choć spekulowano o tym wcześniej) wiadomość, że państwa NATO przekażą Ukrainie łącznie 70 samolotów bojowych, z czego aż 28 myśliwców MiG-29 z Polski.

Chodziło o to, że Ukraina, której lotnictwo zostało przez Rosję w zasadzie zupełnie zniszczone, pilnie potrzebuje i domaga się samolotów bojowych, jednak takich, które mogliby obsługiwać jej piloci, bez potrzeby dodatkowej formacji i instruktażu. Znane im zaś samoloty sowieckiej produkcji używane są obecnie jeszcze w trzech armiach NATO – bułgarskiej, polskiej i słowackiej – stąd pomysł, aby właśnie te maszyny, głównie MiG-29, a także SU-25, przekazać siłom zbrojnym Ukrainy. O całej planowanej dostawie poinformowały ukraińskie siły powietrzne, a wiadomość została błyskawicznie podchwycona przez media.

Jeszcze tego samego dnia na portalu tvp.info pojawiła się informacja, że samoloty przekazane Ukrainie mogłyby nawet wykonywać misje bojowe z terytorium naszego kraju, stacjonując na polskich lotniskach. Opcja ta oznaczała, że w myśl prawa międzynarodowego Polska otwarcie przystąpiłaby do wojny rosyjsko-ukraińskiej jako aktywny sojusznik jednej z walczących stron.

Wiadomość ta wywołała konsternację i została następnie przeredagowana na portalu telewizji publicznej z usunięciem wątku o stacjonowaniu maszyn w Polsce, następnego dnia, 1 marca, miała zaś miejsce wspólna konferencja prasowa prezydenta Andrzeja Dudy i sekretarza generalnego NATO Jensa Stoltenberga w bazie lotnictwa taktycznego w Łasku. Stoltenberg, który najwyraźniej przyjechał nagle do Polski, by studzić nad Wisłą emocje, oświadczył: „NATO nie chce być częścią tego konfliktu. Nie zamierzamy wysyłać żadnych wojsk na Ukrainę, nie zamierzamy wysyłać samolotów do ukraińskiej przestrzeni powietrznej". A w tym oficjalnym dementi wtórował mu prezydent Duda.

USA PUSZCZAJĄ POLSKĘ PRZODEM

Temat pozostawał aktualny, z jednej strony w formie nacisków komentatorów, uważających, że jest to konieczność w obecnym konflikcie, że już i tak jesteśmy jego stroną, z drugiej – w formie poszukiwań rozwiązań, które umożliwiłby przekazanie myśliwców Ukrainie w formie niestanowiącej faktycznego przystąpienia do wojny. Na ile starania i apele te

eprasa.pl c8db3f1bd8

FOT. ADOBE STOCK

były wynikiem inicjatywy polskiej, a na ile efektem nacisków ukraińskich bądź amerykańskich?

Nasz wschodni sąsiad nie tylko prosi o dostawy broni i domaga się ich, lecz także – co też zrozumiałe, ale wprost sprzeczne z naszym interesem narodowym – ewidentnie chciałby, aby NATO, a przynajmniej Polska, stało się czynnym uczestnikiem tej wojny, po jej stronie. Dość powiedzieć, że po tygodniu cichego przeciągania liny, ze strony sekretarza amerykańskiego Departamentu Stanu pojawiła się kolejna zaskakująca wiadomość. Przebywając w Mołdawii, 6 marca Anthony Blinken oświadczył mediom, że Stany Zjednoczone dały Polsce zielone światło na przekazanie polskich migów Ukrainie.

Okazało się, że do lobbowania w tej kwestii zostali wykorzystani także członkowie amerykańskiego Kongresu, z którymi 5 marca podczas wideokonferencji rozmawiał prezydent Wołodymyr Zełenski, oświadczając – jak informowały media zza oceanu – że Polska już wyraziła zgodę na przekazanie maszyn Ukrainie, potrzebuje jednak do tego akceptacji najsilniejszego członka NATO, czyli USA. Również 6 marca pojawiły się głosy amerykańskich senatorów naciskających na Polskę, aby bezzwłocznie przekazała swe myśliwce Ukrainie.

Podważenie przez Stany Zjednoczone oficjalnego stanowiska Rzeczypospolitej, wyrażonego przez jej prezydenta, wywołało w Polsce kolejne poruszenie, a sama wiadomość znów została powielona przez media na świecie. Entuzjaści tego kroku odzyskiwali nadzieję, krytycy marszczyli brwi, widząc na horyzoncie możliwą burzę.

Stanowisko amerykańskie nie budziło jednak, zdaje się, jednomyślności wśród Anglosasów, skoro niedługo potem odezwał się nasz inny strategiczny sojusznik, udzielając nam między wierszami wymownej porady i ostrzeżenia. 8 marca minister obrony Wielkiej Brytanii Ben Wallace oświadczył, że oczywiście Zjednoczone Królestwo okaże wsparcie Polsce, jeśli zdecyduje się ona przekazać myśliwce Ukrainie. Zaznaczył jednak: „Polska zrozumie, że wybory, których dokonuje, nie tylko bezpośrednio pomogą Ukrainie, co jest dobrą rzeczą, lecz także mogą sprowadzić ją na bezpośrednią linię ognia takich krajów jak Rosja czy Białoruś". Anglik dodał: „Muszą to sobie skalibrować. To naprawdę wielka odpowiedzialność na barkach prezydenta Polski, a także ministra obrony". Tłumacząc: jeśli Polska wpakuje się z tego powodu w wojnę, to będziemy, owszem, wspierać ją, czyli w formie zaopatrzenia i wywiadu, jak Ukrainę, ale na bezpośrednią linię ognia Rosji my się z wami nie wybieramy.

POLSKA PROPONUJE RAMSTEIN

Z tego klinczu sprzecznych oświadczeń, które świadczą, że temat procedowany jest dalej, ale nie wiadomo, co dokładnie kto z kim ustalił, spróbował wybrnąć minister spraw zagranicznych Zbigniew Rau w subtelnym, choć nie pozbawionym bynajmniej ryzyka zagraniu. Specjalne oświadczenie ministerstwa z 8 marca głosiło: „Władze Rzeczypospolitej Polskiej, po konsultacjach prezydenta i rządu RP, gotowe są niezwłocznie i nieodpłatnie przemieścić wszystkie swoje samoloty MiG-29 do bazy w Ramstein i przekazać je do dyspozycji rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki. Jednocześnie Polska zwraca się do Stanów Zjednoczonych Ameryki o dostarczenie jej używanych samolotów o analogicznych zdolnościach operacyjnych. Polska jest gotowa do natychmiastowego ustalenia warunków zakupu tych maszyn. Rząd Polski zwraca się też do innych państw NATO – posiadaczy samolotów MiG-29 – o podobne działanie".

Oprócz istotnej próby przerzucenia na USA odpowiedzialności za dostarczenie samolotów Ukrainie, a poniekąd na całe NATO, pojawiło się także potwierdzenie, że w zamian za dostarczone migi Polska dostałaby amerykańskie myśliwce. Tymczasem natychmiastowa dostawa tych maszyn do Polski nie wchodzi w grę (któż zatem strzegłby naszego nieba?), m.in. dlatego, że w kolejce na F-16 absolutne pierwszeństwo ma teraz Tajwan.

Ameryka, ustami rzecznika Pentagonu, uznała polską propozycję wprost za „nierozsądną", a odpowiedzialna za sekcję Europy Wschodniej i Eurazji podsekretarz Departamentu Stanu Victoria Nuland zarzuciła Warszawie brak konsultacji w tej sprawie z Waszyngtonem.

Co ważne, dziękując Polsce za jej oficjalny komunikat, prezydent Zełenski jednocześnie zarzucił wszystkim przerzucanie sobie piłeczki odpowiedzialności i ponownie domagał się bezzwłocznego dostarczenia myśliwców Ukrainie.

9 marca w Wiedniu premier Mateusz Morawiecki odpowiadał, że Polska nie weźmie na siebie sama odpowiedzialności za podobny ruch, pozostawiając tę decyzję całemu NATO, zaznaczając jednocześnie, że sojusz nie jest i nie chce być stroną tego konfliktu. Czym w sumie premier dawał do zrozumienia, że podobnego ruchu NATO w zasadzie wykonać nie może.

W obozie władzy wypunktowano zresztą niekonsekwencje Amerykanów, którzy dają nam zielone światło na dostarczenie samolotów Ukrainie, ale sami taki ruch we własnym wydaniu uważają za nierozsądny. Poseł Prawa i Sprawiedliwości Kazimierz Smoliński sugerował nawet, że „USA chciały wpakować nas w niezły kanał".

W tym zamieszaniu, w którym bierze udział Victoria Nuland, osoba aktywna w wydarzeniach w Kijowie w 2014 r., trudno rzeczywiście wykluczyć nawet możliwość intryg, stąd temat ten powinien zostać przez nas definitywnie zamknięty. Możliwe zresztą, że tak się stało, bo choć w ubiegłym tygodniu wiceminister spraw zagranicznych Piotr Wawrzyk informował, że kwestia ta nie jest zamknięta, to przy okazji wizyty Kamali Harris w Warszawie żadne konkrety, zdaje się, w tej sprawie nie zapadły.

Wyciągnijmy z tego wnioski: przy całym wsparciu dla Ukrainy pora uspokoić na dobre piromanów tańczących wokół rosyjskiej beczki prochu, raz krok w przód, raz krok w tył, bawiących się przy tym zapalniczką; pora też skończyć ze schizofreniczną i dezinformującą społeczeństwo retoryką – „to nasza wojna", ale „nie jesteśmy stroną tego konfliktu".

Sytuacja jest wystarczająco dramatyczna, aby poddawać Polaków nieustannym lękom w związku z niepewnością, czy podjęte zostaną kroki mogące sprowadzić rosyjskie rakiety na nasze terytorium.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8db3f1bd8

Szpagaty Platformy

Kamila Baranowska

W obliczu wojny na Ukrainie krajowa polityka wyhamowała. Niestety, nie na długo. Po pierwszych sondażach największa partia opozycyjna uznała, że jedność i zgoda niespecjalnie się jej opłacają

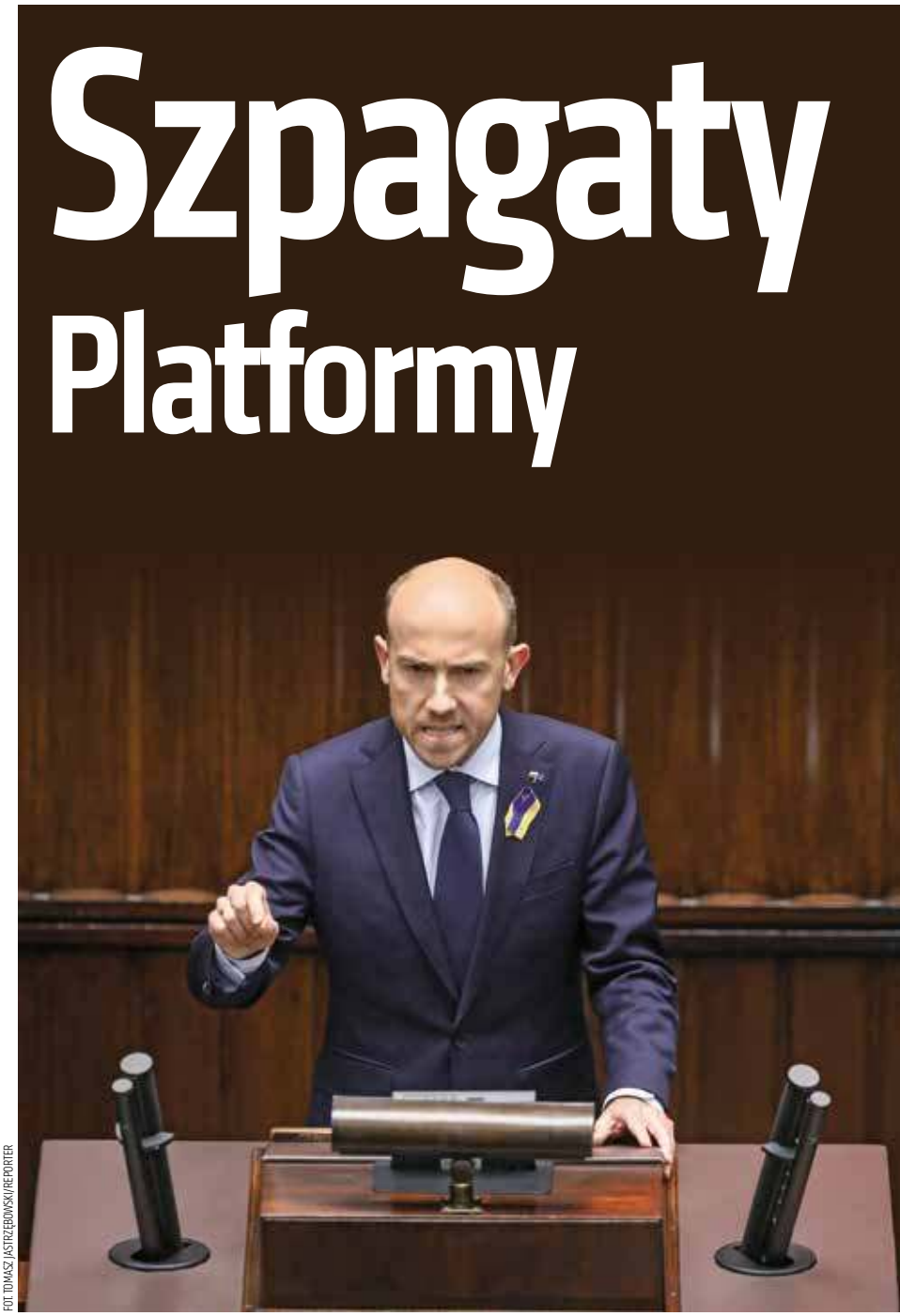

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Pierwsze dni wojny na Ukrainie wydawały się kubłem zimnej wody dla polityków wszystkich stron polskiej sceny politycznej. Wszystkie dotychczasowe spory, którymi karmiła się polska polityka, z dnia na dzień straciły na ważności i stały się mało znaczące w obliczu wojennego zagrożenia. Nikt nie miał wątpliwości, że atak na Ukrainę niesie za sobą także zagrożenie dla Polski. Rządzący skupili się na pomocy Ukrainie, a opozycja w swej większości starała się pomagać, a przynajmniej nie przeszkadzać, czyli nie krytykować otwarcie działań rządu. Liderzy partii opozycyjnych wycofali się, zostawiając pole do działania rządowi i prezydentowi.

Tak było przez pierwszy tydzień. Budujące było posiedzenie Sejmu, na którym przez aklamację przyjęto uchwałę potępiającą agresję na Ukrainę z apelem o wprowadzenie restrykcyjnych sankcji wobec Rosji. Władysław Kosiniak-Kamysz, prezes PSL, i reprezentujący Lewicę poseł Krzysztof Gawkowski, apelując o jedność i zawieszenie sporów, dostali brawa z lewa i prawa. Na tym tle rozczarowująco wypadł szef klubu Koalicji Obywatelskiej Borys Budka, który w kontekście agresji Rosji zaczął mówić… o praworządności. To był pierwszy zgrzyt, sygnalizujący, że nie wszyscy zrozumieli, że wojna przestawiła politykę na inne tory. Budce i Platformie mocno oberwało się za to wystąpienie w mediach społecznościowych. Wydawało się, że wyciągną z tego wnioski.

Szybko okazało się jednak, jak naiwne było myślenie o tym, że jedność ponad podziałami zagości w polskiej polityce na dłużej. Nie zagościła. Tak samo, jak nie zagościła w 2010 r. po katastrofie smoleńskiej. Wtedy, 12 lat temu, gdy minął pierwszy szok, jedność i solidarność zostały zastąpione jeszcze większą polaryzacją i głębszymi liniami podziałów społecznych.

PIERWSZE ATAKI

Kiedy 27 lutego, trzy dni po agresji Putina na Ukrainę, Rafał Grupiński, ważny polityk Platformy, skrytykował rząd, spadła na niego lawina krytyki. „Jakie żałosne okazało się obecne, oficjalne przywództwo naszego państwa, gdy historia powiedziała: sprawdzam! Błędna geopolityka, błędna strategia, kombinacje finansowe na poziomie kieszonkowców, podważanie konstytucji, dorobku pokoleń i zamach na europejskie wartości. Nadzy” – napisał poseł PO w czasie, gdy trwała ofensywa dyplomatyczna rządu i prezydenta, bardzo dobrze odbierana przez Polaków, którzy od początku mocno stanęli po stronie Ukrainy i tego samego oczekiwali od polityków. Grupiński usunął swój wpis z Twittera, nie wiadomo, czy wskutek autorefleksji czy interwencji kogoś z władz partii. Znaczące, że tego samego dnia PiS

eprasa.pl c8db3f1bd8

postanowił zaatakować także mecenas Roman Giertych, który otwarcie wspiera Platformę. „Mogą się PiS-owcy lansować na antyputinowców, ile chcą. Fakty są takie, że z najbliższymi sojusznikami Putina przez siedem lat rozwalali jedność Zachodu, niszczyli UE, podważali relacje z USA (próba zaboru TVN) oraz wprowadzali rosyjski autorytaryzm. Tej hańby nie zmyje nic" – napisał na Twitterze. Reakcje ludzi były równie krytyczne, co na wpis Grupińskiego. Byli też tacy, którzy przestrzegali Platformę i – szerzej – opozycję – by nie szła tą drogą, bo ma dużo do stracenia. „Czyli to jednak zorganizowana akcja, rozumiem, że rozeszły się sondaże, puściły emocje. To jest strategia jak z kampanii Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, efekt będzie taki sam" – skomentował Łukasz Pawłowski z Ogólnopolskiej Grupy Badawczej, ekspert od politycznych sondaży, którego trudno posądzać o sprzyjanie PiS. „Timing w polityce to wszystko" – dodał w innym wpisie.

Sondaże, o których pisze Pawłowski, nie zostały podane do publicznej wiadomości, ale wieści o nich rozeszły się szybko wśród dziennikarzy i polityków. Zgodnie z przewidywaniami wojna na Ukrainie spowodowała wzrost notowań premiera i prezydenta oraz wzrost poparcia dla partii rządzącej. To znany i wielokrotnie opisywany przez politologów i socjologów mechanizm – w sytuacji zagrożenia zazwyczaj rośnie poparcie aktualnie rządzącym.

Marcin Palade, ekspert od sondaży politycznych i geografii wyborczej, porównał średnią sondażową z lutego (z pomiarami przed atakiem Rosji na Ukrainę) oraz z przełomu lutego i marca. Poparcie PiS skoczyło z 36,1 proc. na 42,4 proc. Poparcie dla Koalicji Obywatelskiej zaczęło zaś spadać (z 29,4 proc. na 26,7 proc.). Z kolei sondaż IBRiS dla Radia Zet pokazał olbrzymie poparcie dla Andrzeja Dudy i Mateusza Morawieckiego za ich działania wobec Ukrainy. Bardzo dobrze i dobrze ocenia je ponad 60 proc. badanych.

Nic dziwnego, że największa partia opozycyjna i jej akolici przestraszyli się nie na żarty i postanowili wrócić do starych nawyków. „Już wystarczy chyba tej sztucznej jedności. Z kim? Z Karnowskimi? Z Bąkiewiczem? Z wrogami Unii, którzy ją od sześciu lat opluwają? Z kumplami kumpli Putina? Jedność wyłącznie z walczącymi Ukraińcami" – pisał Tomasz Lis 28 lutego. Tego samego dnia na antenie Radia TOK FM Piotr Najsztub szokował zaś słowami: „Nie zapominajmy, że mamy własnych najeźdźców, którzy rządzą nami od siedmiu lat. Pokazali nam Ukraińcy, jak walczyć mamy". W tym czasie Mariusz Janicki ubolewał w „Polityce" nad tym, że „w cieniu wojny w Ukrainie trwa przyspieszony proces kanonizacji PiS". „Teraz każde przypomnienie dewastacji demokratycznego ustroju, jakiego dokonała przez ostatnie siedem lat, zakrawa na świętokradztwo. Bo jest wojna prawie na granicach, więc wszyscy powinni wspierać swoje państwo, czyli swoją władzę" – pisał, apelując, by nie ulegać temu szantażowi.

SZPILKI TUSKA

Donald Tusk w pierwszych dniach wojny zniknął z przestrzeni publicznej, czekając na dalszy rozwój wydarzeń i na reakcje międzynarodowe. W swoich pierwszych publicznych wystąpieniach deklarował zaś, że on i jego partia będą wspierać rząd. – Będziemy ciężko pracować, wspierać wszystkich, także polski rząd, w działaniach zwiększających bezpieczeństwo kraju – mówił. – Potrzebujemy dojrzałej jedności. Bez kiczu pojednania – dodawał. A nauczony doświadczeniem z okresu kryzysu na granicy polsko-białoruskiej na zamkniętych spotkaniach apelował do swoich posłów o odpowiedzialność za słowa i powstrzymywanie się od rytualnej krytyki rządu. Sam jednak długo nie wytrzymał. Już kilka dni później pisał na Twitterze tak: „Jeśli podważasz jedność Europy i promujesz nacjonalizm, jesteś sojusznikiem Putina. Jeśli atakujesz praworządność, wolność mediów i prawa człowieka w swoim kraju, jesteś Putinem". I choć nie wskazał adresata, to jego słowa zostały odebrane jednoznacznie.

Tego typu szpilek Tuska było zresztą więcej. Wplatał je w swoje apele o jedność i zawieszenie sporów na czas wojny. – Dziś nie czas na spory i kontynuowanie tych procesów, które były dla Polski bardzo zdradliwe, w tym np. nocne mianowania sędziów. Wojna nie może być wytłumaczeniem ani dla nieudolności, ani dla braku kompetencji, ani dla złej woli. Apeluję, aby w każdej ustawie i działaniu kierować się dobrem Polski, Polaków i Ukrainy, a nie własnym interesem politycznym – mówił Tusk, kierując swoje słowa do rządzących.

To, czego Tusk nie chce mówić wprost i co przemyca między wierszami, bez ogródek mówią politycy Platformy, którzy po kilku dniach wstrzymywania się od krytycznych komentarzy dostali zielone światło na powrót do antypisowskiej retoryki. Widać, że poszły przekazy dnia, bo politycy Platformy w tym samym czasie zaczęli masowo wytykać rządzącym bratanie się z Viktorem Orbánem, który stanął po stronie Rosji, i budowanie sojuszu z prorosyjską Marine Le Pen. Powróciły także oskarżenia o brak praworządności, łamanie demokracji, tym razem w kontekście wojennym. „Nie da się pogodzić patriotycznej retoryki z antyunijną. Nie da się pogodzić sprzeciwu wobec metod Putina, samemu gniotąc demokrację. Pod rozwagę" – wypisywał Marcin Kierwiński, poseł PO.

PLATFORMA BEZ PLANU

Platforma, która przed rosyjską agresją mogła zacierać ręce, widząc, jak PiS słabnie w sondażach i musi gasić kolejne pożary, dziś znalazła się w niełatwej sytuacji. 24 lutego zmienił wszystko. Dotychczasowe spory i osie politycznych podziałów straciły na znaczeniu. Tworzą się nowe, dotyczące bezpieczeństwa i obronności, tematów, które PiS zawsze czuł lepiej niż opozycja. Kłopotem dla PO stają się kolejne odcinki sporu Polski z Brukselą o praworządność czy wypłatę pieniędzy z Funduszu Odbudowy – podczas niedawnego głosowania nad mechanizmem „pieniądze za praworządność" w Parlamencie Europejskim Platforma wstrzymała się od głosu. Widać rozpaczliwe szukanie czegoś, co osłabiłoby „wojenny" wizerunek PiS, stąd próba przyklejenia partii rządzącej łatki partii prorosyjskiej. To jednak dość karkołomne zadanie, biorąc pod uwagę to, że po Smoleńsku przez całe lata Platforma lansowała narrację przeciwną.

Wszystkie tematy, na których do tej pory opozycja zbijała swój polityczny kapitał, takie jak Izba Dyscyplinarna, błędy i luki w Polskim Ładzie, spór z Brukselą, komisja śledcza w sprawie Pegasusa czy wewnętrzne problemy w koalicji rządzącej, nagle zeszły na dalszy plan i przestały mieć znaczenie. A innego planu, który dziś mógłby stać się jakimś punktem odniesienia, Platforma nie ma. W nowych okolicznościach pozostaje jej czekać na wpadki rządu, których pewnie nie zabraknie, bo sytuacja w kraju z rzeszą uchodźców nie będzie łatwa. Czekać i liczyć na to, że będą na tyle duże, by sprawić, że nastroje społeczne się odwrócą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8db3f1bd8

Wszystkie

FOT. MICHAŁ KOŚĆ / FORUM

Łukasz Zboralski

Wojna na Ukrainie spowodowała, że nawet w Polsce zaczęliśmy czuć strach i w panice rzuciliśmy się do robienia zakupów

Kolejki do bankomatów, ogromne kolejki do zamykanych restauracji McDonald's, tłok i wyrywanie sobie towarów z rąk w zamykanych sklepach Ikea – to obrazki, które w ubiegłym tygodniu obserwowaliśmy w kraju agresora. Po nałożeniu sankcji na Rosję mieszkańcy tego kraju zaczynają rozumieć, co ich czeka, i próbują się do tego jak najlepiej przygotować (wielu z nich już nawet ucieka z własnego kraju przez ościenne republiki – szacuje się, że za granicę wyjechało już 200 tys. Rosjan).

Zanim jednak nałożono sankcje na Rosjan i ich waluta stała się niewiele warta, większe kolejki tworzyły się w Polsce. Atak na sąsiednie państwo wprowadził część z nas w stan paniki. Zaczęliśmy nagle zmieniać swoje zachowania i próbować się zabezpieczyć na wszelki wypadek. Oto nasze najwidoczniejsze strachy.

GOTÓWKA

Jednym z pierwszych panicznych zachowań był bieg do bankomatów. Tuż po rozpoczęciu rosyjskiej napaści na Ukrainę Polacy ruszyli wypłacać gotówkę. Dlaczego? Być może część z nas obawiała się, że wojna szybko rozleje się poza ukraińską granicę i wówczas trzeba będzie także uciekać – a wtedy warto mieć pieniądze w kieszeni, a nie tylko na elektronicznym rachunku bankowym.

Takim panicznym zachowaniem sami nakręcaliśmy dodatkowo spiralę strachu. Zwielokrotniony popyt na gotówkę powodował kłopoty z logistyką – banki nie były w stanie nagle dostarczać dwa razy szybciej i dwa razy częściej banknotów do bankomatów, te więc pustoszały, a to wzbudzało jeszcze potężniejsze irracjonalne obawy w Polsce, że „pieniędzy zabraknie".

– Zeszły tydzień to było szaleństwo. Kolejki przed bankomatami, a banki nie nadążały z dowozem gotówki do bankomatów i oddziałów – podsumował to zachowanie rodaków na ubiegłotygodniowej konferencji szef NBP Adam Glapiński. Wskazał też, kto najbardziej spanikował. – Największa panika była w wielkich polskich miastach. Młodzi, wykształceni, w wielkich miastach. Najbardziej niemądra i panikarska część naszego społeczeństwa – stwierdził. I dodał: – Jakieś szaleństwo opanowało ludzi, którzy cały dzień siedzą w Internecie i tam czegoś szukają, czytają obłąkane teksty obłąkanych pseudoautorytetów. Nie było żadnego powodu do paniki.

PALIWO

Dokładnie w tym samym czasie, gdy część Polaków pobiegła do bankomatów, by wyciągać banknoty, część z nas pojechała też na stacje benzynowe. I utknęliśmy w ogromnych kolejkach. Dlaczego Polacy nagle wystraszyli się, że nie będzie paliwa? Pozostanie zagadką tak samo wielką jak to, dlaczego na początku pandemii ludzie w sklepach wykupowali papier toaletowy.

Wiadomo za to, czym skończył się ten szał paliwowy. Wystarczyły dwa dni, by znów nadmiernym popytem spowodować problemy w logistyce paliwowej. A skoro cysterny nie nadążały przyjeżdżać do stacji i uzupełniać paliwa.

Jak podsumowali potem analitycy Proxi.cloud i UCE Research, na polskich stacjach paliw odnotowano gwałtowny wzrost wizyt już pierwszego dnia rosyjskiej inwazji – wyniósł aż 36 proc. Tak wielki ruch trwał w sumie przez trzy dni.

Ostatecznie skończyliśmy w momencie, w którym np. Orlen musiał wywiesić informację o tym, że osobowe auto zatankować może jednorazowo 50 l paliwa i nie więcej. Poza tym zapał do chomikowania (mówię o prywatnych osobowych samochodach, a nie np. rolnikach, którzy muszą gromadzić pokaźne ilości paliwa) skutecznie zaczęły chłodzić błyskawicznie rosnące ceny.

PŁYN LUGOLA I JODYNA

Ponieważ wieści z frontu na Ukrainie płyną nieprzerwanym strumieniem w Internecie, każda operacja, każdy ruch wojsk jest znany prawie natychmiast. Tym bardziej że ukraińscy politycy sprawnie zarządzają własnym przekazem – wywierając coraz większą presję na Zachód, by jak najwięcej dopomagał. Zatem, gdy Rosjanie zajęli tereny elektrowni atomowej w Czarnobylu, a potem po walkach wybuchł pożar w elektrowni Zaporoże, rodacy ruszyli do aptek po znany im z czasu wybuchu w Czarnobylu

eprasa.pl c8db3f1bd8

nasze strachy

płyn Lugola (roztwór jodyny). Choć sam prof. Zbigniew Jaworowski, który wraz z innymi specjalistami z Centralnego Laboratorium Ochrony Radiologicznej zarekomendował w 1986 r. podanie masowo Polakom płynu Lugola, po latach przyznawał, że to było działanie niepotrzebne, rodacy w 2022 r. ruszyli do aptek. Płyn Lugola tak schodził z półek, że w kilka dni dostępny był już tylko w niewielkiej liczbie aptek w kraju.

Państwowa Agencja Atomistyki wydała nawet specjalny komunikat o tym, że sytuacja radiacyjna w Polsce jest w normie i nie ma powodu do paniki. Odradziła też samodzielne przyjmowanie preparatów ze stabilnym jodem. „Skutkiem ubocznym stosowania preparatów może być nadmierne uaktywnienie tarczycy, co może doprowadzić do jej nadczynności. U niektórych pacjentów, w tym cierpiących na zaburzenia układu krążenia, może to doprowadzić do zagrożenia zdrowia i życia. Dlatego preparaty ze stabilnym jodem należy przyjmować tylko w przypadku wystąpienia konkretnych zaleceń" – napisali eksperci.

Tymczasem Polacy oprócz płynu Lugola (roztwór wodny) wykupywali w aptekach także samą jodynę (roztwór spirytusowy).

LEKI

Polscy aptekarze odnotowują też ogromne zwiększenie popytu na leki. Tu sytuacja jest jednak niejasna – zakłada się, że w większości rodacy wykupują niektóre leki, by zostały potem wysłane na pomoc cierpiącym podczas wojny Ukraińcom. Może być jednak i tak, że część osób w tym momencie postanowiła też robić większe zapasy na własny użytek. Farmaceuci uspokajają – proszą, by tego nie robić i aby zwrócić uwagę na to, że leki też mają terminy przydatności do użycia.

WOJSKO I BROŃ

Strach przed tym, że Polska może być kolejnym celem Putina, spowodował też nagłą potrzebę doskonalenia swoich umiejętności wojskowych. Ludzie chcą móc jak najlepiej bronić siebie, swoich bliskich i kraju. To jeden z odruchów związanych pośrednio ze strachem przed wojną, który w tej wyliczance nie okazuje się szkodliwy. Polacy masowo zaczęli wstępować do wojska.

Jak poinformował MON – w ostatnim tygodniu lutego liczba deklaracji wstąpienia do wojska wzrosła lawinowo.

„W ostatnich dniach znacznie wzrosło zainteresowanie służbą w Wojsku Polskim. Tylko w tym tygodniu ponad 2,2 tys. osób złożyło deklaracje o wstąpieniu do Sił Zbrojnych RP. Wcześniej było to ok. 400 osób tygodniowo. Wzrasta także zainteresowanie służbą w Wojskach Obrony Terytorialnej!" – napisał na Twitterze minister obrony Mariusz Błaszczak.

Warto też zauważyć, że Polacy, którzy już posiadają broń, robili większe zakupy amunicji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8db3f1bd8

Marzyli o Zanzibarze, zostali na lodzie

Wojciech Żabiński, znany jako Wojtek z Zanzibaru prowadzący na tej tanzańskiej wyspie sieć hoteli PiliPili, ogłosił na Facebooku, że zawiesza działalność FOT. ŻYCIE NA ZANZIBARZE/FACEBOOK

Agnieszka Niewińska

Miały być wakacje w raju promowanym przez celebrytów, zostało po nich hotelowe konto z wymyśloną walutą. Czy to koniec biznesu promowanego w mediach Wojtka, biznesmena z tanzańskiego raju?

Walizki spakowane, słomkowy kapelusz w odwodzie, a z rajskich wakacji za duże pieniądze nici. Po tym, jak 21 lutego Wojciech Żabiński, znany jako Wojtek z Zanzibaru prowadzący na tej tanzańskiej wyspie sieć hoteli PiliPili, ogłosił na Facebooku, że zawiesza działalność, odwołuje zarezerwowane wyjazdy, a na Zanzibar zaprasza dopiero od czerwca, jego klienci doznali szoku. Wypoczywający w tym czasie w PiliPili informowali media o braku żywności i wody w hotelach, o pracownikach bez wypłaty grabiących kompleks i wojsku w obiektach PiliPili. „Żarełko i bar w tym tygodniu mamy za niewielką zrzutkę, którą zrobiliśmy w zeszłym tygodniu" – na początku marca informował na Facebooku gość jednego z hoteli PiliPili, dodając, że pracujący w hotelu bez wypłaty dostali pomoc tanzańskiego rządu.

Ci, którzy wykupili wczasy, skarżą się na problem ze skontaktowaniem się z obsługą PiliPili, które było przecież miejscem promowanym przez celebrytów. Zachwalały je Iwona Pavlović i Barbara Kurdej-Szatan, bawiły tam Joanna Racewicz i Maria Sadowska. W PiliPili śpiewali Natalia Kukulska i Patrycja Markowska, Andrzej Krzywy i Mezo. Co się stało z turystycznym rajem Wojtka z Zanzibaru?

GWIAZDORSKI LEP NA TURYSTÓW

Trzeba cofnąć się w czasie. Zanzibar w pandemii wyrósł na turystyczny hit. Na przełomie lat 2020 i 2021 zdjęcia celebrytów na plażach tej tanzańskiej wyspy zalewały Instagram, nie schodziły z czołówek plotkarskich portali. Barbara Kurdej-Szatan otoczona zanzibarskimi dziećmi pchała wózek po plaży. Iwona Pavlović lansująca się na słomianej leżance zachwycała się tym, jak na Zanzibarze łączy pracę z wypoczynkiem. Natalia Kukulska pod palmami dała koncert kolęd dla gości. Zanzibar odmieniany był przez wszystkie przypadki. Efekt? Tylko przez pierwsze dwa miesiące 2021 r. na Zanzibarze wylądowało 9 tys. Polaków. Tanzański archipelag miał tę przewagę, że do początków maja przyjmował turystów bez testów, można było tam zapomnieć o obostrzeniach.

Istotną rolę w popularyzowaniu Zanzibaru odegrał Wojciech Żabiński, prowadzący na wyspie sieć hoteli pod nazwą PiliPili i promujący ją na facebookowym profilu Życie na Zanzibarze. To do niego pielgrzymowali celebryci zachwalający atmosferę, obsługę, wygodę wyjazdów z PiliPili. „Wszystko to u Wojtka w Pili- Pili.... ten czas... to miejsce... po prostu raj!!!" – zachwycała się w media społecznościowych Pavlović. – Hotele PiliPili to kompleksy domeczków ze słomianym dachem, bardzo blisko jesteśmy tutejszych ludzi […]. Do plaży mamy pięć minut, przechodzimy przez wioskę tubylców – emocjonowała się w transmisji na Instagramie Kurdej-Szatan, a jej mąż zachwalał wygodę bezpośrednich lotów na Zanzibar. Żabiński nawiązał bowiem współpracę z linią Enter Air i turystów przywoził samolotami czarterowymi.

Odwiedziny celebrytów najwyraźniej nie były przypadkiem, lecz marketingową strategią Wojtka z Zanzibaru. W lutym ubiegłego roku portal natemat.pl opublikował wywiad z Żelisławem Żyżyńskim,

eprasa.pl c8db3f1bd8

dziennikarzem Canal+, który niemal z dnia na dzień rzucił pracę w telewizji, bo jego żonę do pracy w PiliPili poleciła Żabińskiemu Magda Gessler. „On [Żabiński – przyp. red.] chce, żeby na każdym turnusie była jedna znana osoba z Polski, która porozmawia z turystami, powie coś o sobie" – zachwycał się Żyżyński. „Iwona Pavlović jest niesamowicie lubiana. Była tu przez kilka tygodni i znów wróciła. Jej lekcje tańca stały się już rytuałem, jedną z największych atrakcji pobytu" – dodawał Żyżyński. I relacjonował swoje pierwsze spotkanie z Żabińskim. „Wtedy powiedział do mnie: »W ogóle nie wiedziałem, kim ty jesteś, ale współpracownicy mi powiedzieli. Z nieba nam spadasz, bo ja myślę o telewizji i sporcie. Idealnie mi to połączysz«".

Celebrycka promocja zadziałała. Sieć PiliPili urosła na pandemicznej fali, a Żabiński zaczął być przedstawiany jako geniusz turystycznego biznesu, który nawet w pandemii kupował hotel za hotelem. Żabiński w jednym z ostatnich postów twierdzi, że przez pięć lat przyjął ponad 12 tys. gości. Zaczął od hotelu na 13 gości, a doszedł do bazy mogącej pomieścić 550 osób.

Przedsięwzięcie PiliPili nie ograniczało się zresztą do bazy noclegowej. To kilka różnych spółek zarejestrowanych w Tanzanii i w Polsce. Pojawiły się też PiliPili Radio, magazyn „PiliPili Travel Buddy", Fundacja PiliPili Pomagam, a nawet PiliPay, bo wykup wypoczynku w PiliPili wiązał się z przelaniem pieniędzy i ich zamianą na wymyśloną przez Żabińskiego wirtualną walutę pilicoin. Wiele osób zdecydowało się także na inwestycje w kolejne hotele pod szyldem PiliPili. Wyłożyli pieniądze na budowę, PiliPili miało zarządzać obiektem, wypłacać inwestorom czynsz, a przy tym mieliby oni prawo korzystania z apartamentu przez kilka tygodni w roku.

BIZNESMEN Z WYROKIEM

Czarne chmury nad PiliPili zaczęły się zbierać już w zeszłym roku. W czerwcu marszałek województwa pomorskiego uznał, że zarejestrowane w Polsce spółki PiliPili Club oraz PiliPili Fly są organizatorem turystyki i sprzedają powiązane usługi, choć działają bez wymaganego wpisu do rejestru organizatorów turystyki. W efekcie np. nie odprowadzają składek na Turystyczny Fundusz Gwarancyjny, co w razie bankructwa wiąże się ze stratą pieniędzy dla turystów i problemami z powrotem do kraju.

Marszałek zakazał spółkom PiliPili prowadzenia dalszej działalności. Te odwołały się od decyzji, ale w styczniu ostatecznie podtrzymało ją Ministerstwo Sportu i Turystyki. Mimo to w lutym PiliPili organizowało promocje. Oferowało zakup pilicoinów ze zniżką. Jeden pilicoin miał wartość jednego dolara, a wymyślona waluta służyła do opłaty pobytu w PiliPili, wycieczek, atrakcji, wydatków w barze czy nurkowania. W czasie promocji pakiety pilicoinów warte tysiące złotych można było wykupić ze sporą zniżką. Teraz, po wstrzymaniu przyjmowania gości, nie wiadomo, czy będzie można je w ogóle wykorzystać. Żabiński twierdzi, że nikogo nie oszukał, bo przecież turyści mają na swoim koncie pilicoiny, które ważne są bezterminowo. Nie ma jednak mowy o ich wymianie na gotówkę.

– Klienci PiliPili wykazali się dużą niefrasobliwością. Najwyraźniej ich czujność uśpiły działania marketingowe Wojtka z Zanzibaru, popularność jego mediów społecznościowych. Tymczasem już sam system płatności za usługi tzw. pilicoinami powinien wzbudzić ich podejrzenia – ocenia dr Piotr Kociszewski, prodziekan Wydziału Turystyki i Rekreacji Szkoły Głównej Turystyki i Hotelarstwa Vistula. – Ostatnie spektakularne upadki biur podróży miały miejsce w latach 2012–2014, kiedy to z rynku zniknęły takie biura jak Aquamaris czy Triada. Wywołało to jednak dyskusję i zmiany w systemie zabezpieczeń organizatorów turystyki, aż do jego pełnego uszczelnienia, wraz z powołaniem w 2016 r. Turystycznego Funduszu Gwarancyjnego. Klienci PiliPili znaleźli się w niekomfortowej sytuacji, mimo że od samego początku powinni mieć na uwadze weryfikację wiarygodności organizatora imprezy turystycznej – mów dr Kociszewski.

Organizator turystyki i podmioty oferujące powiązane usługi turystyczne powinni figurować w Centralnej Ewidencji Organizatorów Turystyki i Przedsiębiorców Ułatwiających Nabywanie Powiązanych Usług Turystycznych, a także opłacać składki na Turystyczny Fundusz Pomocowy.

– Właściciel PiliPili poprzez sieć spółek czy system płatności wymyśloną walutą mógł niestety celowo manewrować między obowiązującymi w Polsce ramami formalnymi dotyczącymi funkcjonowania organizatorów turystyki. Dlaczego klienci nie zwrócili na to uwagi? Mamy szczelny system, ale wydaje się, że wciąż brakuje pełnej świadomości konsumentów. Warto propagować wiedzę o tym, jak sprawdzać wiarygodność organizatorów turystyki, m.in. poprzez akcje społeczne lub szerszą informację, już w momencie wyboru oferty turystycznej – apeluje dr Kociszewski.

Zakaz prowadzenia działalności turystycznej to niejedyny kłopot Żabińskiego. W grudniu ubiegłego roku „Gazeta Wyborcza" doniosła o jego problemach z prawem. Okazało się, że Wojtek z Zanzibaru został prawomocnie skazany na ponad dwa lata bezwzględnego więzienia za oszustwa. Złożył kasację od wyroku.

Teraz jest jednak nieuchwytny. Choć na profilu Życie w Zanzibarze dodaje kolejne posty, to unika odpowiedzi na pytania, gdzie jest, ogranicza też możliwość komentowania. Twierdzi, że PiliPili padło ofiarą nagonki. „Dziennikarze, którzy zajęli się PiliPili, mieli jeden cel wynikający z osobistej zemsty połączeń towarzyskim jednej z dziennikarek mieszkającej na Zanzibarze, a której ja osobiście pomagałem organizować się na Zanzibarze" – pisze (pisownia oryginalna). „PiliPili jest również od początku solą w oku branży biur podróży… Od samego początku, a są biura podróży, które są ogromnymi reklamodawcami, i pieniądz rządzi »Wolnością Słowa«".

Przypisuje też sobie stworzenie czegoś niezwykłego: „PiliPili to nie tylko hotele, to unikalna na cały świat społeczność... Nie ma czegoś takiego... Żadna narodowość czegoś takiego nie zbudowała..." – wypisuje.

ZNANI TERAZ MILCZĄ

Wypoczynek w PiliPili to atrakcja dla tych z grubszym portfelem. Dwa tygodnie w promocyjnej cenie to dla jednej osoby wydatek od 6,5 do 12 tys. zł. Po tym, jak Wojtek z Zanizbaru ogłosił zawieszenie działalności, wielu tych, którzy zakupili pilicoiny na wymarzone wczasy albo zainwestowali w hotele PiliPili, zakłada grupy facebookowe poszkodowanych i głośno stawia pytanie o to, czy nie padli ofiarą turystycznej piramidy finansowej, którą uwiarygodnili celebryci.

Znani bywalcy PiliPili milczą. Głos na Twitterze zabrał Żelisław Żyżyński, który dla PiliPili odszedł z Canal+. „Przez rok swojego pobytu na Zanzibarze widziałem setki szczęśliwych z pobytu tutaj gości. Gdy dowiedziałem się o sytuacji prawnej firmy i właściciela, natychmiast odszedłem. Bardzo współczuję wszystkim oszukanym, brak mi słów".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8db3f1bd8

Z Ałbeną Grabowską, pisarką, autorką m.in. „Stulecia Winnych”
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Historia i medycyna

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Końcowy tom „Stulecia Winnych” mogła już pani tworzyć, dyskontując autopsję...

AŁBENA GRABOWSKA: Kiedy pisałam trzecią część „Stulecia Winnych”, de facto relacjonowałam własne dzieciństwo. Nie jest to jednak książka oparta na konkretnych wspomnieniach, raczej na pamięci tamtych dni, atmosfery panującej w szkole podstawowej, potem w liceum, nastrojów, które towarzyszyły ludziom, kiedy wprowadzono stan wojenny. Miałam 10 lat, kiedy wstałam rano w niedzielę i nie było „Teleranka”. Bardzo dobrze to pamiętam. Rodzice bali się, że mogą powołać mojego tatę do wojska, jakiś sąsiad chował się na działkach z tego samego powodu i ktoś tam się podśmiewał, a inny mówił, że dobrze – właśnie tak trzeba. Wiele pamiętam z dzieciństwa i te obrazy wykorzystałam w powieści. Jedynym moim własnym wspomnieniem jest 1 lipca 1995 r., data mojego ślubu, kiedy podobnie jak bohaterka szłam się uczesać do fryzjera. Byłam świadkiem, jak policjanci podchodzili pod bloki na osiedlu im. Bolesława Prusa, gdzie mieszkali „ci z mafii”. Dokonano tego dnia wielu aresztowań. Wykorzystałam ten fakt w swojej prozie.

O historii najnowszej pisać było trudniej czy łatwiej niż o tej bardziej zamierzchłej?

Znacznie łatwiej mi pisać o historii dawniejszej. Mam poczucie, że dobrze rozumiem tamte czasy, XIX w. i początek XX w. wydają mi się zaskakująco bliskie. Często spotykam się ze stwierdzeniem, że namiętności, które targają ludźmi, są od wieków takie same i tylko otoczenie się zmienia. Ja się z tym nie zgadzam. Mnie jest trudno pisać o ludziach, którzy żyją, albo pisać ze świadomością możliwej oceny ze strony żyjących krewnych. Pamięć każdego jest inna, a wydarzenia przedstawione w powieści podlegają ocenie bardzo subiektywnej. Dlatego wolę czasy, których interpretacja jest bardziej obiektywna.

Serial powstał na kanwie sagi, ale jej autorka nie firmuje scenariusza. Dlaczego?

Scenariusz rządzi się specyficznymi prawami. Trzeba umieć tak przenieść historię książkową, żeby widz miał poczucie, że ogląda obrazy, które wcześniej przeczytał, i widzi ludzi, których do tej pory jedynie sobie wyobrażał. Uznałam, że nie posiadam wystarczających umiejętności, aby zmierzyć się ze scenariuszem. To tylko tak się wydaje, że nie ma nic łatwiejszego niż napisanie scenariusza własnej powieści. Że wystarczy „jedynie” prozę rozbić na sceny i skrócić dialogi. Uczę się jednak i niewykluczone, że dołączę do zespołu scenarzystów którejś ze swoich powieści.

Scenariusz różni się od pierwowzoru literackiego, jedne postacie usunięto, inne dopisano, mam wrażenie, że ze szkodą dla telewidzów...

Rzeczywiście już w trzecim sezonie są duże odstępstwa od fabuły. One się jeszcze pogłębią w czwartym. To z jednej strony dobrze, z drugiej źle. Dobrze, bo książka jest chętniej czytana, kiedy serial bardziej się różni. Widzowie chętnie oceniają, co powinno się zdarzyć, co jest „inne”, co niewybaczalne. Źle, bo ciężko mi usprawiedliwić niektóre utracone lub dodane wątki. Autorowi czasem trudno jest zaakceptować nowych, nieznanych mu bohaterów albo transformację postaci stworzonych przez niego. Na tym jednak polega ekranizacja. Książka jest coraz bardziej przetwarzana przez producentów, scenarzystów, reżyserów, nawet aktorów. Zaczyna żyć własnym życiem.

eprasa.pl c8db3f1bd8

Scenariusz ekranizacji „Stulecia Winnych" różni się od pierwowzoru literackiego

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Bohaterowie filmu zyskali oblicza konkretnych wykonawców. Odpowiadają pisarskim wyobrażeniom?

Jak najbardziej. Trudno mi wyobrazić sobie inną Bronkę niż Kinga Preis i innego Stanisława niż Jan Wieczorkowski. Wszyscy stworzyli absolutnie wspaniałe kreacje aktorskie.

Czy tak jak w poprzednich sezonach Ałbenę Grabowską ujrzymy na ekranie?

Owszem. Pojawiam się w siódmym odcinku, tradycyjnie w epizodzie. Wcielam się w panią Marię, urzędniczkę, sekretarkę w MSWiA. Ciekawa jestem, czy czytelnicy i widzowie zdołają mnie rozpoznać. Wydaje mi się, że kostiumy i charakteryzacja sprawiły, że nie będzie to zadanie zbyt łatwe.

Władze Brwinowa doceniły to, że za sprawą „Stulecia Winnych" osada wydatnie zyskała na renomie?

Tak, oczywiście i jest to bardzo miłe. Już przy pierwszym tomie uzyskałam patronat miasta i gminy Brwinów, a pan burmistrz wspierał mnie na każdym kroku. Bardzo pomocne było i jest Towarzystwo Przyjaciół Brwinowa, które służy mi pomocą merytoryczną oraz pomaga przy konsultacjach historycznych serialu. Widzowie tak wspaniale przyjęli ten serial, że żartujemy w Brwinowie, że kiedyś na pytanie, gdzie leży nasze miasto, odpowiadaliśmy, że niedaleko Warszawy, teraz mówimy, że to Warszawa leży koło Brwinowa. Ze strony mieszkańców spotykam się z samą życzliwością. Zresztą nikogo w książce nie obraziłam, starałam się wskrzesić pamięć tamtych czasów i wspaniałych ludzi, którzy tutaj mieszkali. Nasz Brwinów jest pięknym miastem, rozwijającym się intensywnie. Niedługo zostanie wyremontowany pałac Wieruszów. Będzie siedzibą ośrodka kultury. Bardzo mnie to cieszy.

A pani stała się osobą rozpoznawalną już po spektakularnym sukcesie prozatorskim czy dopiero po ekranizacji?

Po adaptacji filmowej, ot, magia telewizji! Wcześniej rzadko zdarzało się, żeby mnie ktoś rozpoznał na ulicy. Teraz spotykam się z tym, że ludzie podchodzą do mnie, nieśmiało pytając, czy mogą sobie zrobić ze mną selfie. Kiedy zaczynałam, mało osób w Brwinowie wiedziało, że jestem pisarką. Teraz idę na targ czy do sklepów i wiele osób uśmiecha się do mnie i mówimy sobie „dzień dobry". Jestem pytana o inne książki, o uchylenie rąbka tajemnicy, które epizody pojawią się w kolejnym sezonie serialu.

Dzieje Polski wykorzystuje też powieść „Matki i córki". To czysta kreacja?

To bardzo trudna książka. Porusza skomplikowane momenty z polskiej historii z kobiecego punktu widzenia. Opisuję w niej kobiety, które są naznaczone stygmatem cierpienia, głęboko straumatyzowane, nie potrafią odciąć się od strasznej przeszłości. Mierzę się z tematem zsyłki na Syberię, rzeczywistością obozu koncentracyjnego, życia w PRL. Temat dziedziczenia traum jest mi bardzo bliski jako kobiecie, pisarce, wreszcie jako lekarzowi neurologowi, którym wciąż jestem.

Cykl „Uczniowie Hippokratesa" przypomina korzenie polskiej medycyny. Filmowy temat.

Dziękuję. Też tak uważam. To bardzo dobry pomysł na serial i mam nadzieję, że filmowcy dostrzegą ten potencjał. Pierwszy tom traktuje o latach 1850–1870, bardzo istotnym okresie rozwoju medycyny w Polsce. Wtedy kształtowały się szpitale kliniczne, tworzyły pracownie doświadczalne. W salach operacyjnych zagościł eter, co stworzyło nowe możliwości dla chirurgii. Zauważono także ważność aseptyki, chociaż niestety nie przeszło to bez oporów. Lekarze, którzy głosili konieczność mycia narzędzi chirurgicznych i pola operacyjnego, byli traktowani jak szarlatani, szkodliwi głupcy, którzy przeszkadzają innym w pracy. Druga część serii przedstawia pierwszą polską lekarkę – Annę Tomaszewicz-Dobrską. Ukazuje całą jej drogę zawodową od chwili uzyskania dyplomu uczelni w Zurichu w 1877 r. aż do roku 1918, kiedy umarła. Losy prekursorki wszystkich pań chcących się dziś spełniać w służbie Eskulapa są zupełnie niezwykłe. Kiedy wraca do Warszawy, Towarzystwo Lekarskie Warszawskie odmawia jej nostryfikowania dyplomu ze względu na płeć. Podobnie dzieje się w Petersburgu, gdzie Anna jedzie z takim samym pragnieniem uzyskania pozwolenia na sprawowanie praktyki lekarskiej. Przyjdzie jej otrzeć się o harem, aby uzyskać to, co się jej słusznie należy. To jest materiał na film!

Obecnie pracuję nad trzecią i czwartą, zarazem ostatnią częścią sagi „Uczniowie Hippokratesa". Fabuła toczy się w latach 1924–1944 w Warszawie. Miejscem, które przedstawiam, jest nieistniejący już Szpital Ujazdowski. Staram się przywrócić pamięć o wspaniałych lekarzach tam pracujących. Wielu z nich zginęło w czasie drugiej wojny światowej, niosąc pomoc chorym i rannym.

Bułgarski ślad w pani twórczości pozostaje dość znikomy...

Moja debiutancka książka dotyczyła Bułgarii. „Tam, gdzie urodził się Orfeusz" była nie tylko wspomnieniem mojej drugiej ojczyzny i ludzi, którzy są mi bliscy, lecz także próbą przybliżenia tego pięknego, nieco zapomnianego kraju Polakom. Do Bułgarii powróciłam krótko na kartach „Alicji w krainie czasów" (właśnie ma premierę nowe wydanie tej bardzo ważnej dla mnie trylogii). To był epizod, lecz bardzo ważny dla mnie i bohaterki, z którą się identyfikuję.

Do Bułgarii w pełni powróciłam „Kośćmi proroka", powieścią, która rozgrywa się w trzech płaszczyznach czasowych i osnuta jest wokół autentycznego wydarzenia, którym było odkrycie na małej wyspie koło Sozopola kości Jana Chrzciciela.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Ałbena Grabowska – pisarka, po fachu lekarz neurolog, autorka bestsellerowego tryptyku „Stulecie Winnych", zekranizowanego przez TVP. Emisja ostatniego sezonu serialu w niedzielne wieczory o godz. 20.15 w telewizyjnej Jedynce – od 6 marca do 22 maja.

eprasa.pl c8db3f1bd8

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

KINO

Wożąc pana Yūsuke

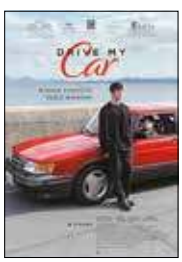

★★★★★★

REŻ. RYÛSUKE HAMAGUCHI „DRIVE MY CAR" („DORAIBU MAI KĀ")
JAPONIA 2021

wyst. Hidetoshi Nishijima, Tōko Miura, Reika Kirishima

Ludzie żyją razem, bo się kochają; żyją razem także dlatego, że się nie kochają, ale wrośli w siebie, przyzwyczaili się do siebie, nauczyli nieść wspólne brzemię i teraz nie potrafią lub boją się rozstać. Pan Yūsuke, reżyser i aktor, oraz jego żona Oto dryfują powoli w odmiennych kierunkach. Czy oboje z równą prędkością i z podobnych powodów? Nigdy się nie dowiemy, wkrótce po odkryciu przez Yūsuke romansu żony, a przed bardzo ważną rozmową („musimy poważnie porozmawiać" – cóż za przerażające słowa dla zakochanych) Oto pada trupem. Dwa lata później Yūsuke, wciąż pogrążony w zgryzocie, powoli zaczyna odkrywać nieznane fakty z życia żony.

Nie jest to thriller ani melodramat, podobnie jak u cytowanego do znudzenia (moim zdaniem za często) Czechowa mamy do czynienia z dramatem zwyczajności: zwykłe jest to, że kochamy, że miłość więdnie, że czasem brakuje nam odwagi, a kiedy indziej trzeźwego spojrzenia. Ślepota głównego bohatera nie jest jedynie metaforyczna – z powodu jaskry coraz bliżej mu do chwili, kiedy nie będzie już mógł prowadzić samochodu. Podczas służbowego wyjazdu za kierownicą siada więc wynajęta przez gospodarzy dziewczyna. I Yūsuke, i Misaki żyją przygnieceni poczuciem winy. „Drive My Car", najnowszy film Ryûsuke Hamaguchi, jest historią mozolnego i trudnego zdejmowania z siebie tego ciężaru.

Film powstał na motywach opowiadania Harukiego Murakamiego ze zbioru „Mężczyźni bez kobiet", scenarzysta Takamasa Oe wplótł w fabułę także wątki z innych jego utworów. Zaiste, powstał film bardzo w stylu mistrza opowieści o samotności i zbyt późnych tęsknotach. „Drive My Car" najpierw zdaje się zimny niczym ukryta w lodówce porcja sushi, ale później powoli wciąga widza w labirynt emocji, splatając misternie różne warstwy narracji: opowieści Oto, która pisane scenariusze wymyślała, głośno myśląc, dialogi bohaterów oraz ćwiczone do znudzenia dialogi z „Wujaszka Wani".

Film nagrodzono w Cannes za najlepszy scenariusz, jest także nominowany do Oscara w czterech kategoriach: najlepszy film, film nieanglojęzyczny, reżyseria oraz scenariusz adaptowany. Hamaguchi zyskał wielki rozgłos, na który zresztą zasługuje – twórca „Happy Hour", „Asako. Dzień i noc" oraz „W pętli ryzyka i fantazji" z każdym filmem staje się twórcą ciekawszym i dojrzalszym. ©℗

NOWE SEZONY: „PICARD"

Sędziwy admirał Picard (wciąż niezawodny Patrick Stewart, choć głos ma już mocno starczy) raz jeszcze porzuca rodzinną winnicę, by ruszyć w gwiazdy. Szef Akademii Gwiezdnej Floty wzywany jest przez tajemniczy komunikat wydobywający się z czasoprzestrzennej anomalii. W drugim sezonie Picard trafi do alternatywnej rzeczywistości (i cofnie się w czasie), by walczyć z totalitarnym reżimem. W sprawę zamieszani są także starzy znajomi bohatera serialu „Star Trek: Następne pokolenie" – wszechmocny Q i niemal wszechmocna królowa Borg. ©℗ ***Piotr Gociek***

prime video

• ***sezon 2 „Picard", USA 2022***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *sezon 1* ***„Dexter: New Blood",*** *USA 2021* CANAL+

• *sezon 4* ***„Top Boy",*** *Wielka Brytania 2022*

• *miniseria dokumentalna* ***„Morderstwa w Fall River" („Fall River"),*** *USA 2021*

eprasa.pl c8db3f1bd8

Człowiek sukcesu

TVP VOD

Lektura przeterminowanych gazet jest nader pouczającym zajęciem. Znajdziesz tam bałamutne opisy rzeczywistości, chybione diagnozy i prognozy, homeryckie zmagania z wydumanymi zagrożeniami tudzież lekceważenie rzeczy z dzisiejszego punktu widzenia najistotniejszych. Filmowy portret Wołodymyra Zełenskiego powstał w momencie, gdy świat wciąż się dziwił, że Ukraińcy uczynili prezydentem telewizyjnego gwiazdora (choć przypadek Trumpa powinien dawać do myślenia). Barbara Włodarczyk jest wytrawną dokumentalistką, obeznaną w postsowieckiej specyfice. Odwiedziła linię frontu w Donbasie i rodzinne miasto bohatera, rozmawiała z jego wyborcami i znajomymi, lecz ton narracji nadają sceptyczni inteligenci, wytykający głowie państwa brak powagi, uleganie wpływom oligarchów, naiwność i demagogię. Ich zdaniem wybory tak naprawdę wygrał bohater serialu „Sługa narodu" – nauczyciel Wasyl Hołoborodko. Któż mógł przewidzieć, że aktorski talent prezydenta wkrótce bardzo się przyda? Zełenski A.D. 2020 był politykiem, który zawiódł: nie dokonał oczekiwanego cudu. Dwa lata później jest narodowym gigantem, pomnikiem. I takim pozostanie, nawet jeśli Rosjanie zabiją go lub pojmają. Kąśliwa uwaga eksperta, że Zełenski to człowiek, który osiągał sukces we wszystkim, do czego się zabrał, nabrała nowego sensu. ©℗

★★★☆☆☆
REŻ. BARBARA WŁODARCZYK
„UKRAIŃSKI SŁUGA NARODU"
POLSKA 2020

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZAGUBIONA LALKA

KINO

Wbrew tytułowi nie o córkę, lecz o matkę tu chodzi. Leda Caruso, z zawodu i pasji komparatystka, z charakteru neurotyczka, spędza wakacje nad Morzem Jońskim. Celebruje samotność, ale w gruncie rzeczy lgnie do ludzi. Na plaży zauważa dziewczynkę z lalką, co wyzwala u statecznej pani profesor lawinę wspomnień. Grecy mogą mieć do twórców filmu słuszne pretensje, ponieważ kamera z premedytacją ignoruje urodę ich ojczyzny, a wczasowiczów bombardują szyszki oraz ulewne deszcze. Fanów prozy sygnowanej nazwiskiem Ferrante zasmuci wiadomość, że powieściowi Włosi zamienili się w Amerykanów. Temat jednak pozostał ten sam: rozterki pań pozbawionych instynktu macierzyńskiego. Gdyby kobiety nastawione na karierę, marzące o życiu bez zobowiązań rezygnowały z posiadania rodziny i rodzenia dzieci, wszyscy byliby szczęśliwi. Z wyjątkiem aktorek, dla których takie filmy to dar z nieba i wylęgarnia Oscarów.

★★★★☆☆
REŻ. MAGGIE GYLLENHAAL
„CÓRKA" („THE LOST DAUGHTER")
USA/WIELKA BRYTANIA 2021
wyst. Olivia Colman, Jessie Buckley, Dakota Johnson

JEST, JAK JEST

KINO

Brühl autoironiczny. Użyczył twarzy, imienia i życiorysu narcyzowi ubiegającemu się o rolę w komiksowej superprodukcji. W drodze z berlińskiego apartamentu na casting w Londynie wpada do knajpy dla lokalsów, w której daniem firmowym jest piwo pod zagrychę salcesonem. Spotyka tam sfrustrowanego sąsiada, podręcznikowy przykład sieroty po NRD. Bruno ma uczulenie na Kohla i Merkel, a także kiepskie mniemanie o aktorskich talentach Daniela. Szczególnie drażni go film o Stasi („Goodbye Lenin"?) będący wykwitem „zachodnioniemieckiego romantyzmu". Proletariacka fizys sąsiada to, rzecz jasna, zmyłka. Mamy do czynienia z inteligentem szukającym okazji do zemsty za nieudane życie. Teatralna, lecz mocno osadzona w realiach psychodrama nie jest tylko solowym popisem Brühla, który stanął po obu stronach kamery. Peter Kurth wyszedł z aktorskiego pojedynku z tarczą. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆
REŻ. DANIEL BRÜHL
„JEDENASTE: ZNAJ SĄSIADA SWEGO" („NEBENAN")
NIEMCY 2021
wyst. Daniel Brühl, Peter Kurth, Rike Eckermann

GRA TYGODNIA: „CYBERPUNK 2077" (PATCH 1.5)

★★★★★☆

Jeśli jeszcze nie graliście, czekając na załatanie „Cyberpunka", to chyba nadszedł dobry moment, by po grę sięgnąć. Patch 1.5 poprawia m.in. grafikę i wydajność, ale to przede wszystkim next-generation update dla XSX/XS i PS5. Błędów nadal jest sporo, ta gra już chyba nigdy nie będzie ich pozbawiona, ośmielę się stanąć po stronie tych, którzy uważają, że dalsze jej „naprawianie" to marnowanie potencjału. Nie trafiłem na bugi uniemożliwiające dalszą grę albo choćby mocno irytujące, wolałbym, żeby programiści Redzi zajęli się sequelem. „Cyberpunk 2077" to fantastyczna, skrzywdzona przez złe decyzje gra, po którą zdecydowanie warto sięgnąć. Nie odkładajcie dłużej, to dobry moment, by poznać Night City. ©℗

Radosław Wojtas

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Akcja, RPG, FPP*
- ***Platforma:*** *XSX, XONE, PS5, PS4, PC*
- ***Producent, wydawca PL:*** *CD Projekt RED, Cenega S.A.*

eprasa.pl c8db3f1bd8

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Pandemonium ze złego snu

Nieporozumieniem byłoby potraktować tę powieść jako li tylko świadectwo swego czasu. Czasu marnego i podłego, bo powstały w połowie lat 80. zeszłego wieku „Diabeł na placu Zbawiciela" przedstawia komunizm gnijący, dobiegający końca swoich dni, ale przecież wciąż, a może nawet jeszcze bardziej okrutny i złowrogi.

Tak przecież było: „Fale strajków, pochodów i demonstracji z trupami, gazami łzawiącymi i strzelaniną, to był już dzień powszedni. Produkcja i tak nie mogła się zwiększyć, bo zaczęło brakować surowców, a nasi kontrahenci odmówili dalszych kredytów. Propaganda radiowo-telewizyjna z uporem powtarzała, że rynek słabnie z powodu przestojów w pracy, co naturalnie było bzdurą. Aby jednak to udowodnić, nakazano wstrzymanie dostaw do sklepów tych resztek, które jeszcze były w magazynach. Brakowało już nie tylko ubrań, butów i lodówek. Nie sprzedawano także masła, chleba i mleka, nie mówiąc o cukrze i soli, które w panice wykupiono na samym początku rynkowego kryzysu".

Ale Piotr Müldner-Nieckowski cały ten bardak podniósł do niebotycznej potęgi. W Polsce, którą pokazał, rozpoznajemy wydarzenia i ludzi tamtego czasu (choćby zabójstwo Grzegorza Przemyka czy osób do specjalnych poruczeń, np. ubeka zajmującego się „przyszłymi prowodyrami zamieszek studenckich i robotniczych"), w istocie jednak jest to pandemonium ze złego snu, w którym wszystko jest skarykaturyzowane, zdeformowane, wyolbrzymione. I w takiej właśnie groteskowej rzeczywistości szykuje się Wielka Zmiana…

Oto, jak „oddolnie" powstają komitety, powiedzmy obywatelskie: „Urząd bezpieczeństwa, mając wykazy opozycjonistów, podsuwał kolejne osoby do owych komitetów, ale tak, by z każdą podobną personą wchodził człowiek rządowy na zasadzie jeden do jednego. Pozwalaliśmy zatem na coraz większą swobodę działania wszelkim dysydentom, z drugiej zaś strony nasilała się propaganda przeciw nim". Ludzie sytemu robią swoje i zaraz potem są eliminowani, żeby nie pozostawiać niewygodnych świadków, co nie zmienia faktu, że do końca swoich dni mają na celu dobro tego systemu, jak agenciak zwany Strogonoffem, w ostatniej minucie życia błagający oprawców o przekazanie ostrzeżenia „przed dopuszczaniem do rozwoju kultury, oświaty, medycyny i prawa, nie mówiąc, co oczywiste, o gospodarce. Pamiętajcie, miał powiedzieć Strogonoff, że przepisy powinny być tak konstruowane, aby były ze sobą sprzeczne, żeby ludzie na stanowiskach i przedstawiciele warstw społecznych (według terminologii Marksa warstwa jest czymś mniejszym niż klasa) nie mogli się dogadać. Pamiętajcie, aby w każdej sytuacji istniały co najmniej dwa obiegi, oficjalny i nieoficjalny, a najlepiej, jeśli występuje i trzeci, półoficjalny. Tak jak z profesorami, którzy są zwyczajni, nadzwyczajni i nienadzwyczajni. Tych ostatnich powinno być najwięcej".

FOT. KRZYSZTOF JASTRZĘBSKI/EAST NEWS

Zamieszanie rosło, „kto żyw, szukał innej pracy albo gromadził majątek lub też zakładał spółkę państwową w każdej chwili gotową do przekształcenia we własność prywatną. Proces zabezpieczania bytu naszym ludziom nie był zbyt szybki, ale to nie zmartwienie. Zanim doszło do wyborów prezydenckich, wszyscy byli ustawieni, chyba że niektórych przeznaczono na odstrzał". A co z samym Numerem Jeden? „Chce się pozbyć władzy, zanim nastąpi demokratyzacja kraju, aby nie ponieść odpowiedzialności", w końcu jednak dochodzi do wniosku, że najlepiej będzie wejść w buty szykowanego do przejęcia władzy przywódcy formującej się opozycji i najzwyczajniej w świecie zastępuje go. Chirurgia plastyczna dokonała przecież ogromnych postępów i mamy matrioszkę.

Niemal wszystko jest w „Diable na placu Zbawiciela" nierzeczywiste, a jednocześnie aż za dobrze znane. Groteskowe, satyryczne i, cholera, w ogóle nieśmieszne. Bo co począć z bohaterami powieści, którzy słyszą od swoich współpracowników opinie w rodzaju tej: „Wiedziałam, że jest pan dziwną osobą, to wiedzą wszyscy, ale nie sądziłam, że się pan tak skur.i…".

Ta brawurowa, miejscami zadziwiająco profetyczna proza wydana została w drugim obiegu niemal w samym końcu komuny, bo w 1988 r., tyle że w mikroskopijnym nakładzie, tak że właściwie dopiero teraz ma szansę trafić do czytelników. Warto ją poznać, bo to, co w niej najważniejsze, jest dziś może bardziej nawet widoczne niż wtedy, gdy Piotr Müldner-Nieckowski usiłował powieść wydać, co okazać się miało zadaniem karkołomnym. I nawet trudno się temu dziwić, zważywszy na to, że najważniejsze, jakże głęboko prawdziwe zdanie w „Diable na placu Zbawiciela" (sam tytuł nasuwa analogię do arcydzieła Bułhakowa) wygłasza rzekomo zbiegły agent: „Zbrodniarz hitlerowski ukrywa się dobrze nie dlatego, że jest sprytny, ale dlatego, że jest potrzebny". ©℗

★★★★★☆
PIOTR MÜLDNER-NIECKOWSKI
„DIABEŁ NA PLACU ZBAWICIELA"
LTW, ŁOMIANKI 2021

eprasa.pl c8db3f1bd8

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Rzeczy widziane

Zainteresowanie mediów, nerwowość polityków oraz astronomiczne nakłady zawróciły mi w głowie" – wyznaje Éric Zemmour we wstępie do tomu „Francja nie powiedziała ostatniego słowa", mając na myśli to, co wydarzyło się po publikacji jego najsłynniejszej książki „Francuskie samobójstwo". Obydwie ukazały się na polskim rynku. Mówimy o manifeście polityka, któremu niektóre sondaże dają szansę na drugą turę wyborów prezydenckich.

Cuda dwa razy się nie zdarzają, fenomen na miarę Trumpa chyba wciąż nie jest możliwy w zabetonowanych demokracjach Zachodu. Nie zmienia to tego, że właśnie Zemmour wyznacza dziś oś sporu we Francji, każdy musi być albo przeciw niemu, albo za nim lub przynajmniej się wypowiedzieć. Popularna osobowość radiowa i telewizyjna, eseista, komentator, wróg publiczny numer jeden. Szok, który wywołał nad Sekwaną, wchodząc do czynnej polityki, wciąż jest głęboki. Co więc ma do powiedzenia człowiek, który nie tylko w tytułach kolejnych książek („Mélancolie française", „Destin français") nie wstydzi się słów „Francja", „francuski", „naród", „patriota"?

To zależy, kto czyta. Odbiorca pamiętający przestrogi polskich publicystów i naukowców o poglądach konserwatywnych wygłaszane jeszcze w latach 90. (szczególnie polecam ówczesne zbiory tekstów prof. Ryszarda Legutki) zaskoczony nie będzie. Może tylko tym, że skala dewastacji narodowej wspólnoty i szybkość pochodu lewicowych radykałów jest dużo większa, niż da się to dostrzec w pobieżnych doniesieniach polskich mediów. Przede wszystkim czytać należy „Francuskie samobójstwo", bo to właściwie taki manifest Zemmoura, który chce make France great again. Zwalcza cancel culture, woke culture i polityczną poprawność oraz mocno odwołuje się do gaullizmu. „Francja nie powiedziała ostatniego słowa" to raczej kronika politycznej wojny Zemmoura z Macronem, choć oczywiście przykłady, do których się w niej odwołuje, potwierdzają także tezy z „Francuskiego samobójstwa". Sam Zemmour zszokowany jest faktem, ile złego wydarzyło się między premierami obu publikacji. Za patrona wziął sobie Victora Hugo. Czy będzie równie szeroko słuchany i równie długo pamiętany? ©℗

★★★★★☆
ÉRIC ZEMMOUR „FRANCUSKIE SAMOBÓJSTWO" BIAŁY KRUK 2022

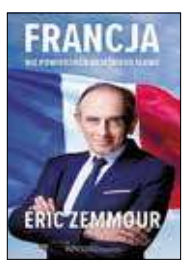

★★★★☆☆
ÉRIC ZEMMOUR „FRANCJA NIE POWIEDZIAŁA JESZCZE OSTATNIEGO SŁOWA" WSZYSTKO CO NAJWAŻNIEJSZE 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Opowieść wysnuta z niemal 70-metrowego wspaniale zdobionego płótna z XI stulecia. Podbój Anglii przez Wilhelma I Zdobywcę objaśniony postać po postaci, scena po scenie. Cudna lekcja historii.

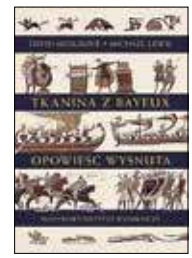

DAVID MUSGROVE, MICHAEL LEWIS „TKANINA Z BAYEUX" PIW

Zbiór wczesnych opowiadań geniusza amerykańskiej literatury (autora m.in. „Tęczy grawitacji"). Pięć utworów powstałych w latach 1958–1964 sam autor opatrzył bardzo krytycznym wprowadzeniem. I tak warte są uważnej lektury.

THOMAS PYNCHON „NIEPOJĘTNY UCZEŃ" WYDAWNICTWO OSTROGI

Wydarzenia tamtej nocy roku 1771 to wciąż zagadka, a teraz także kanwa intrygującej powieści historycznej: Dlaczego porwano króla Stanisława Augusta i o czym rozmawiać mogli monarcha i jego porywacz Jan Kuźma?

ADAM PODLEWSKI „MARYMONCKIE MŁYNY" SKARPA WARSZAWSKA

Są rzeczy gorsze od COVID-19, na przykład biurokracja oraz firmy ubezpieczeniowe. Nowa powieść mistrza thrillerów medycznych (jak „Coma") to tyleż rzecz o pandemii, co o układzie. Aż dziw, że to nie Polak ją napisał. ©℗

poleca Piotr Gociek

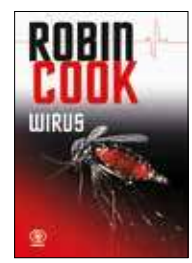

ROBIN COOK „WIRUS" REBIS

KOMIKS TYGODNIA: „RZEŹNIA NUMER PIĘĆ"

Klasyczna książka Vonneguta doskonale znosi przemianę w powieść graficzną. Jej surrealistyczny, kontrkulturowy klimat okazał się wręcz stworzony do takiej adaptacji (co ciekawe, nie udało się filmowcom – film George'a Roya Hilla z 1972 r. okazał się rozczarowaniem). Billy Pilgrim, zwykły Amerykanin wyrwany ze swego czasu, błąka się po uniwersum, nieustannie wracając do kluczowego dla siebie punktu historii – zagłady Drezna w 1945 r. Wywiedziona z wojennych doświadczeń Vonneguta opowieść wciąż porusza i wciąż zmusza do myślenia. Nie są to myśli wesołe. ©℗

poleca Piotr Gociek

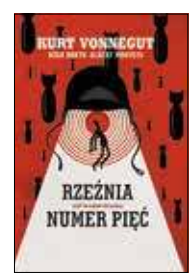

KURT VONNEGUT, RYAN NORTH, ALBERT MONTEYS „RZEŹNIA NUMER PIĘĆ" EGMONT 2022

eprasa.pl c8db3f1bd8

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Medalik Hubala

Kiedy po długich polowaniach na „najwierniejszego z wiernych synów ojczyzny" Niemcy dopięli swego i 30 kwietnia 1940 r. przeprowadzili skuteczny zamach na życie mjr. Henryka Dobrzańskiego, Hubal miał na szyi, przy piersi przeszytej kulą z broni maszynowej, medalik, który dostał od matki. Ten drobny przedmiot dopiero po wielu latach, w roku 1987, wrócił do rodziny majora. Dziś jest cenną pamiątką po tym, który nie uważał się za pierwszego partyzanta, raczej za ostatniego żołnierza Rzeczypospolitej Polskiej, który w mundurze i z bronią w ręku chciał dotrwać do czasu odsieczy ze strony sojuszników Polski. Medalik nie jest jedyną pamiątką. Ostały się m.in.: księga listów gratulacyjnych, które państwo Dobrzańscy otrzymali z okazji zawarcia związku małżeńskiego, odznaka kawalerii francuskiej nadana majorowi podczas zawodów konnych w Nicei czy sygnet rodowy.

Te i inne pamiątki obejrzeć można na wystawie „Hubal. Henryk Dobrzański 1897–1940" w siedzibie głównej Muzeum Niepodległości w Warszawie. Jej otwarcie zainaugurowało Rok mjr. Henryka Dobrzańskiego Hubala na Mazowszu. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Niepodległości w Warszawie***
KIEDY? ***do 27 marca***

FOT. MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI

FOT. DARIUSZ KULA

SKARBY Z BAŁTYKU

Świadkowie walk i katastrof na Bałtyku. Nieme, a jednak snujące opowieść o niebezpieczeństwach życia na morzu w epoce żagla i pary oraz podczas drugiej wojny światowej. Przedmioty wydobyte z głębin Bałtyku obejrzeć można na wystawie „Do DNA. 50 lat archeologicznych badań podwodnych Narodowego Muzeum Morskiego w Gdańsku". Wśród nich jest flet poprzeczny, który przeleżał na dnie 235 lat. I z którego wydobyto dźwięk! ©℗

GDZIE? ***Gdańsk, Spichlerze na Ołowiance***
KIEDY? ***do 31 grudnia***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Lider nie wytrzymał

Ten siedmioosobowy zespół jest największym odkryciem ostatniego roku na angielskiej scenie muzycznej. Jego debiutancki album, „For the First Time", zdobył nominację do prestiżowej Mercury Prize. Drugi jest jeszcze lepszy i zadebiutował na trzecim miejscu brytyjskiej listy.

Grupę stworzyło grono przyjaciół – czterech młodzieńców i troje dziewcząt. Niestety, jej szeregi, cztery dni przed ukazaniem się drugiej płyty, opuścił lider Isaac Wood, który nie wytrzymał napięcia związanego z karierą. Jego neurotyczne stany psychiczne doskonale oddają same kompozycje. Teksty, w których opisuje swe melancholijne tęsknoty, są w porywający sposób interpretowane przez instrumentalistów. Piosenki mają poszarpaną strukturę, następują częste zmiany tempa i nastrojów. A wszystko to bez krzty elektroniki. Saksofon przeplata się z fortepianem, akordeonem, skrzypcami i snującymi się w tle gitarami. Większość utworów trwa ponad pięć minut, przy czym finałowy „Basketball Shoes" ma prawie 13. I proszę mi wierzyć, że napięcie w każdym z nich jest niesamowite. Wynika to ze zderzenia postrockowego rozmachu z jazzowo-folkową intymnością.

Biorąc pod uwagę dramatyzm, jaki towarzyszył wydaniu płyty, pytanie brzmi: Czy grupa jest w stanie przetrwać bez lidera? ©℗

★★★★★★
BLACK COUNTRY NEW ROAD
„ANTS FROM UP THERE"
NINJA TUNE

★★★★☆☆
LOS BITCHOS
„LET THE FESTIVITIES BEGIN!"
CITY SLANG

Australijka, Urugwajka, Szwedka i Angielka nagrały instrumentalny album prywatkowy. Dziewczyny z uśmiechem łączą turecką psychodelię, południowoamerykańską cumbię, surf-rocka i reggae. Idealny soundtrack do nieistniejącego filmu Quentina Tarantino.

★★★★☆☆
DELVON LAMARR ORGAN TRIO
„COLD AS WEISS"
COLEMINE

Na przełomie lat 50. i 60. jazzowe tria z organami Hammonda w roli głównej biły rekordy popularności. Zespół Lamarra, nawiązując do brzmienia wytwórni Blue Note, dodaje funkowy groove godny Jamesa Browna. Choć nie ma w tym niczego nowego, to album buja znakomicie. ©℗

eprasa.pl c8db3f1bd8

Wyrusz w wielkopostną drogę z dobrym przewodnikiem!

w drodze

Dla czytelników „Do Rzeczy” rabat **25%**!*
Kup na wdrodze.pl, w koszyku wpisz kod: dorzeczy

wdrodze.pl | sprzedaz@wdrodze.pl | tel. +48 61 101 47 27

* Oferta ważna od 14 do 27 marca 2022 r.

eprasa.pl c8db3f1bd8

Krzysztof Masłoń

Rozrywkę na trudny wojenny czas zabezpiecza Rafał Brzozowski w teleturnieju „Jaka to melodia?" FOT. TRICOLORS/EAST NEWS

Hej, sokoły

Niezauważenie raczej minął nam 8 marca, dostrzeżony jedynie w niezawodnych naszych serialach, oficjalnie zaś przemilczany, po części pewnie dlatego, że Władimirowi Putinowi, wciąż niestety prezydentowi Federacji Rosyjskiej, zachciało się z tej okazji spotkać z rosyjskimi stewardesami i wzorem swoich sowieckich antenatów, którzy Mieżdunarodnyj Żenskij Dień świętowali niczym prazdnik Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, złożył na ich ręce życzenia, przede wszystkim takie, by jak najszybciej urodziły kolejnych obrońców ruskiego ładu, bo Armii Czerwonej powoli zaczyna brakować rekrutów. Rosyjskie samoloty i tak niebawem latać będą mogły jedynie na liniach krajowych, no to, co mają do roboty tamtejsze żenszczyny? Niech rodzą, najlepiej ze śpiewem na ustach.

Śpiewać wprawdzie, podobno, każdy może, ale nie zawsze i nie wszędzie. Pamiętając o tym, TVP zdjęła 8 marca z anteny przygotowany na tę okoliczność koncert „Za zdrowie pań", czym z całą pewnością zasłużyła sobie na dozgonną wdzięczność widzów. Rozrywkę na trudny wojenny czas zabezpiecza Rafał Brzozowski w teleturnieju „Jaka to melodia?" i tego będzie dosyć. Każde dziecko już wie, że prędzej głowacze z Woronicza nie nadadzą „Wiadomości", niż odwołają pienia 70-latków z tegoż rozrywkowego programu, w którym jednak, o czym uprzejmie donoszę, nieuwzględniane są w stopniu odpowiadającym powadze chwili piosenki ukraińskie. Wszystkiego nie załatwi za nas konkurs Eurowizji, którego wygranie Ukraina ma w tym roku jak w banku, choć lekkim niepokojem napawają informacje o zamieszaniu wokół reprezentanta tego kraju, jako że ostatecznie wycofała się z rywalizacji szykowana do tego zadania Alina Pasz, zarzucono jej bowiem, że swego czasu wjechała na Krym z terytorium Rosji, naruszając ukraińskie ustawodawstwo. W związku z powyższym wystąpi Kalush Orchestra z utworem „Stefania". Tak czy inaczej pewnie zwycięży, w czym nie będzie nic nadzwyczajnego, bo nasi wschodni sąsiedzi co roku są w ścisłej konkursowej czołówce, a w 2016 r. Jamala pozostawiła w tyle całą konkurencję, co nam się nigdy nie udało, i za karę Edyta Górniak (była druga w tych, Bóg raczy wiedzieć dlaczego budzących takie emocje, przepychankach) od 28 lat przekonuje nas, że to nie ona była Ewą.

Niewątpliwie Ukraińcy śpiewają znacznie lepiej od nas, choć uchodzącą za ukraińską pieśń ludową „Hej, sokoły" skomponował autor pierwszej polskiej opery „Nędza uszczęśliwiona" Maciej Karpiński. Nawiasem mówiąc, poza ukraińską znana jest też jej wersja „Hej, Litwiny", skądinąd nazywana białoruską…

Generalnie wypada się przyznać, że nie znamy za dobrze ani ukraińskiej muzyki, ani literatury, ani historii. Wszystkiego znaną z „Ogniem i mieczem" pieśnią „Sokole jasnyj, / Brate mij ridnyj, / Ty wysoko łetajesz, / Ty dałeko widajesz" nie załatwimy. Pierwsza część Sienkiewiczowskiej „Trylogii" trafi zresztą niebawem do indeksu ksiąg zakazanych, w czym nie będzie niczego nowego, bo 70 lat temu w Bierutowskiej Polsce było tak samo.

My zaś oswajajmy się z ukraińską historiozofią, tradycją, piśmiennictwem. A ciekawe są nad wyraz, jak ta uważana za XVII-wieczną korespondencja:

„Zaporoscy Kozacy do sułtana tureckiego!

Ty sułtanie, diable turecki, przeklętego diabła bracie i towarzyszu, samego Lucyfera sekretarzu. Jaki z ciebie do diabła rycerz, jeśli nie umiesz gołą dupą jeża zabić. Twoje wojsko zjada czarcie gówno. Nie będziesz ty, suki ty synu, synów chrześcijańskiej ziemi pod sobą mieć, walczyć będziemy z tobą ziemią i wodą, ku.wa twoja mać. Kucharzu ty babiloński, kołodzieju macedoński, piwowarze jerozolimski, garbarzu aleksandryjski, świński pastuchu Wielkiego i Małego Egiptu, świnio armeńska, podolski złodziejaszku, kołczanie tatarski, kacie kamieniecki i błaźnie dla wszystkiego, co na ziemi i pod ziemią, szatańskiego węża potomku i chu.u złamany. Świński ty ryju, kobyli zadzie, psie rzeźnika, niechrzczony łbie, ku.wa twoja mać.

O tak ci kozacy zaporoscy odpowiadają, plugawcze. Nie będziesz ty nawet naszych świń wypasać. Teraz kończymy, daty nie znamy, bo kalendarza nie mamy, miesiąc na niebie, a rok w księgach zapisany, a dzień u nas taki jak i u was, za co możecie nas w dupę pocałować!

Ataman koszowy Iwan Sirko ze wszystkimi Zaporożcami".

Czyż nie zasługiwał ten kozacki respons na ofertę Mehmeda IV, by poddali się „bez żadnego oporu i nie kazali się więcej waszymi napaściami przejmować" na uwiecznienie, nawet jeżeli jest on – jak twierdzą historycy – jedną wielką ściemą? Nic dziwnego, że w wielu ukraińskich muzeach zobaczyć można różne warianty namalowanego w końcu XIX w. obrazu Ilji Riepina pt. „Kozacy piszą list do sułtana". A osiem lat temu to dzieło sztuki epistolarnej wykorzystali aktorzy telewizyjnego „Wieczornego Kwartału", zamieniając jedynie adresata listu – z Mehmeda IV na Putina, który akurat dokonał aneksji Krymu. Jednym z nadawców był wtedy Wołodymyr Zełenski. Ten sam.

Dziś rosyjskiego przywódcę – występującego wobec niepodległej Ukrainy z podobnymi co sułtańskie propozycjami – naród ukraiński podsumowuje analogicznie, jedynie krócej: „Putin chujło". ©℗

eprasa.pl c8db3f1bd8

DODATEK SPECJALNY – CZĘŚĆ 9

PRAWNA OBRONA § PRZED POLONOFOBIĄ

Konflikt wokół ustawy o IPN

Wnioski, refleksje, konsekwencje

• Czy Polska mogła uniknąć sporu z Izraelem? • Jakie sposoby są najskuteczniejsze, by walczyć o dobre imię Polaków? • Nienawistne ataki światowych mediów na Polskę • Czy deklaracja premierów Polski i Izraela trwale zakończyła spór?

PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

TYGODNIK LUDOWY DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

eprasa.pl c8db3f1bd8

FOT. ADOBE STOCK

SPIS TREŚCI

51 PATRYK JAKI
DOBRZE SIĘ STAŁO, ŻE TEN SPÓR MIAŁ MIEJSCE
– Nie jestem zwolennikiem determinizmu historycznego – mówi Patryk Jaki, europoseł PiS, były wiceminister sprawiedliwości, współautor nowelizacji ustawy o IPN, w rozmowie z Piotrem Włoczykiem.

55 LECH OBARA, SZYMON TOPA
KARY WCIĄŻ MOŻLIWE?
Nieudana nowelizacja ustawy o IPN z 2018 r. będzie rzucać się cieniem na każde kolejne działania tego typu.

57 TOMASZ D. KOLANEK
ANTYPOLSKIE TSUNAMI
Mało kto się spodziewał, że nowelizacja ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej wywoła tak olbrzymią falę ataków skierowanych przeciwko Polsce, że zaleje ona światowe media.

60 ZUZANNA DĄBROWSKA
TRUDNA DROGA
To był najpoważniejszy kryzys w relacjach polsko-izraelskich. Nowelizacja ustawy o IPN doprowadziła do wielkiej awantury, którą udało się załagodzić najpierw poprzez zmianę przepisów, a następnie – deklarację premierów Morawieckiego i Netanjahu.

63 JAKUB OSTROMĘCKI
KŁAMSTWO NA WOKANDZIE
Na świecie istnieje kilka modeli karania za zaprzeczanie masowym zbrodniom. Przepisy karne w Izraelu należą do jednych z najostrzejszych na świecie.

eprasa.pl c8db3f1bd8

FOT. ADOBE STOCK

Z Patrykiem Jakim, europosłem PiS, byłym wiceministrem sprawiedliwości, współautorem nowelizacji ustawy o IPN
rozmawia Piotr Włoczyk

Dobrze się stało, że ten spór miał miejsce

PIOTR WŁOCZYK: Co dziś zrobiłby pan inaczej w kwestii nowelizacji ustawy o IPN?

PATRYK JAKI: Dziś już rozumiem, że jeżeli chcemy podejmować tak wymagające tematy, to najpierw musimy sami „przepracować" to, w którym miejscu jesteśmy i czy my w ogóle chcemy jeszcze walczyć o coś, co można nazwać polskim duchem. Burza, która się wówczas przetoczyła, pokazała, jak niedojrzała jest znaczna część polskiej opinii publicznej, mediów, ale przede wszystkim elit politycznych. Pytanie, czy chcemy nawiązywać do czasów wielkości Rzeczypospolitej, czy godzimy się, że tamtej Polski i tamtego wyjątkowego narodu polskiego już nie ma i nie będzie, w związku z czym nie ma o co walczyć.

Filozoficznie pan do tego podchodzi. Chodziło mi bardziej o konkretne wnioski.

Nie da się o tym poważnie rozmawiać bez tego kontekstu. Ja to wszystko zdążyłem już w sobie „przepracować" i widzę, że ugięcie się Polski było efektem głębszych procesów. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybyśmy byli w stanie odbudować tego polskiego ducha, gdzie zdecydowana większość elit – rozumianych szeroko, nie tylko polityków – byłaby zdolna rozumieć, że polskość jest czymś wyjątkowym. Nie doceniłem powagi sytuacji, w której znaleźliśmy się jako naród. Stoimy na dziejowym zakręcie. Obecnie trwa w Polsce przeciąganie liny. Niemała część narodu chce ciągnąć

eprasa.pl c8db3f1bd8

państwo i społeczeństwo w kierunku tego wyjątkowego konceptu polskości, ale jest też silna grupa, która uważa, że to błędny kierunek i należy się „roztopić" w europejskości oraz koniecznie trzeba ślepo podążać za „nowoczesnością". To jest clou problemu. Gdybym wcześniej wiedział, jak głęboko są w Polsce zakorzenione kompleksy wobec Zachodu, jak mocno wrył się w naszą percepcję świata gwałt, który odbył się na Polsce w czasie drugiej wojny światowej, PRL, a potem po „transformacji", to najprawdopodobniej w ogóle nie zabierałbym się za nowelizację ustawy o IPN.

Dla wielu osób sednem tej sprawy jest jednak pytanie: Czy państwo powinno wykorzystywać Kodeks karny w tematach dotykających historii?

Oczywiście wśród historyków, również prawicowych, istnieje niemałe grono osób, które przekonują, że nie powinno się używać w tym kontekście przepisów prawa karnego. Takie głosy słychać było też w 2018 r. ze strony redakcji „Do Rzeczy".

Chyba najdobitniej wypowiadał się na ten temat w naszej redakcji Piotr Zychowicz, który – nawiasem mówiąc – krytykuje również Izrael za używanie prawa karnego do zwalczania kłamstw na temat historii.

Ten argument rozumiem, jednak otwarte wtedy zostaje pytanie o pewną logikę i hierarchię wartości, tj. skoro uznajemy, że każda firma czy osoba fizyczna ma swoją wartość związaną z wizerunkiem i jego niesprawiedliwym niszczeniem, i może sięgnąć do Kodeksu karnego, to w czym jest gorsze państwo, Polska, aby jej zabierać te narzędzia obrony? Nie rozumiem jednak argumentu, który częściej się pojawiał w debacie i sprowadzał się do tego, że to, co wolno Izraelowi, tego nie wolno Polsce. Przypomnę tylko, że bliźniaczy zapis funkcjonuje w kodeksie karnym Izraela, a podobne przepisy możemy znaleźć w ustawodawstwie państw zachodnich. Niestety, za sprawą części naszych elit większość Polaków przyjęła ten argument za pewnik i stwierdziła, że Polska „jest gorsza" i nie może korzystać z takiego prawa jak Zachód, bo tam jest „lepsza kultura". Nawiasem mówiąc, podobny mechanizm widać teraz w sprawie praworządności. Europejski Trybunał Praw Człowieka przyznaje wprawdzie, że niektóre systemy sprawiedliwości są – być może – bardziej

FOT. ARCHIWUM PATRYKA JAKIEGO

eprasa.pl c8db3f1bd8

upolitycznione niż polski, ale tam jest „inna kultura prawna". TSUE robi to samo, choć nie pisze o tym wprost, w przeciwieństwie do ETPCz. I znaczna część Polaków niestety zbyt łatwo przyjmuje ten sposób rozumowania. Brakuje zbiorowego protestu w obronie polskości.

Tak pokrótce wygląda pierwszy aspekt nowelizacji ustawy o IPN. Nazwałbym to uwarunkowaniami wewnętrznymi. Jest jednak jeszcze druga strona tego medalu – czynniki zewnętrzne.

Czyli?

Nasze elity nie chciały przyjąć do wiadomości, że od samego początku w awanturze z Izraelem nie chodziło o ustawę o IPN. Mówiłem to wielokrotnie, ale mało kto chciał mnie słuchać. Tak naprawdę chodziło bowiem o ustawę reprywatyzacyjną. To były dwie ustawy, które były procedowane równocześnie. W ciągu niemal dwóch lat, gdy trwały prace nad oboma ustawami, wielokrotnie spotykałem się z przedstawicielami ambasad Izraela i USA. Tematem tych spotkań zawsze była ustawa reprywatyzacyjna. Jedynie raz na jakiś czas ktoś zapytał nas o ustawę o IPN. Generalnie ten temat nie za bardzo interesował przedstawicieli obu ambasad.

Trudno to sobie wyobrazić, mając w pamięci to, jakie oświadczenia wydawały Waszyngton i Jerozolima po nowelizacji ustawy o IPN...

Można sięgnąć do notatek z tych spotkań – nic nie zapowiadało tej burzy. Przedstawicieli obu ambasad interesowały sprawy finansowe związane z reprywatyzacją: m.in. mienie bezspadkowe, kto będzie wykluczony z grona osób starających się o odszkodowania. Przypomnę tylko, że w ustawie reprywatyzacyjnej chodziło o to, by zamknąć ten temat raz na zawsze. Polska jest ostatnim państwem w Europie borykającym się z tym problemem. Niestety, przez lata stworzono u nas warunki sprzyjające rozkradaniu państwa. Nasza ustawa przewidywała rok na zgłaszanie roszczeń. Po tym okresie wszystkie roszczenia przechodziłyby na rzecz Skarbu Państwa. Mówimy tu o majątku wartym kilkadziesiąt bilionów złotych. Taki majątek zyskałby Skarb Państwa, gdyby ta ustawa weszła w życie. Sprawa dotyczyłaby całej Polski, a nie tylko Warszawy. Podobne problemy mają inne miasta, jak choćby Kraków czy Łódź. Izrael jednak nie chciał o tym słyszeć. Byłem zdeterminowany, by przeprowadzić ustawę reprywatyzacyjną – dostałem na to zgodę rządu – i ogłosiłem już nawet kalendarz całego procesu legislacyjnego. Kiedy prace nad ustawą reprywatyzacyjną przyspieszyły, izraelskie władze wymyśliły jednak, że nie będą mówiły o pieniądzach, ponieważ to nigdy nie wygląda dobrze, a zamiast tego uderzą w Polskę pośrednio, czyli zaatakują ustawę o IPN.

Krótko mówiąc, ustawy o IPN użyto do wywołania międzynarodowej awantury, której skutkiem byłoby zablokowanie ustawy reprywatyzacyjnej. Chodziło o wystraszenie Polaków. Chyba każdy rozumie, jak to działa – po dużym konflikcie nikt w Polsce nie chciałby otwierać kolejnego sporu z Izraelem. I dokładnie tak się stało. Izrael i USA osiągnęły swój cel. Ustawa reprywatyzacyjna została zablokowana.

Jaki konkretny dowód przedstawiłby pan sceptykom na poparcie tej tezy?

Dowodów na to nie brakuje. Robert Mazurek zapytał ówczesną ambasador Izraela Annę Azari, czy kiedykolwiek podnosiła ten temat podczas spotkań ze mną. Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie, co mówi chyba samo za siebie.

Jeżeli mimo to nie przekonują kogoś udokumentowane relacje ze spotkań z amerykańskimi i izraelskimi dyplomatami, to mamy przecież historię z czasów pierwszego rządu PiS, gdzie niemal identyczny przepis przeszedł przez cały proces legislacyjny i nikt z Izraela nie miał z tym problemu. Przepis ten nie wszedł w życie tylko dlatego, że Senat popełnił błąd proceduralny i Trybunał Konstytucyjny zablokował tę zmianę prawa. To jest żelazny dowód pokazujący, że ustawa o IPN była tylko pretekstem do zaatakowania Polski.

Nawiasem mówiąc, na to wszystko nałożyła się jeszcze zmiana szefa rządu. Premier Beata Szydło, moim zdaniem, lepiej rozumiała ten problem i miała determinację, by przeprowadzić ustawę reprywatyzacyjną. Gdyby pod koniec 2017 r. nie doszło do zmiany szefa rządu, to zapewne szybko przeprowadzilibyśmy ustawę reprywatyzacyjną i problemu z ustawą o IPN nigdy by nie było.

Porozmawiajmy chwilę o zastrzeżeniach wobec nowelizacji ustawy o IPN, które padały w Polsce z prawej strony. Mecenas Lech Obara ze Stowarzyszenia Patria Nostra, którego trudno zapisać do opozycji totalnej, przekonywał, że prawo, aby było szanowane, musi być skuteczne, i dopytywał, na jakiej zasadzie Polska ścigałaby kłamców mieszkających poza granicami Polski. Czy to byłoby w ogóle wykonalne?

Dla osób oczerniających naród polski z zagranicy stworzono specjalne przepisy cywilne, dlatego ustawa była komplementarna. Dlaczego jednak przepis karny dotyczył również cudzoziemców? Ponieważ mogłoby się zdarzyć, że osoba z zagranicy, która pluje na nasz kraj i mówi, że Polska odpowiada za Holokaust, przyjeżdża do nas. Uważam, że powinniśmy mieć tak jak inne państwa narzędzia, by się bronić. Izrael ma takie przepisy i potrafi je stosować. To pytanie o nasze aspiracje. Jestem przekonany, że ten przepis mógłby być skuteczny. Moglibyśmy również dopracowywać skuteczność takiego mechanizmu na terenie UE. W tamtym okresie wychodziłem z założenia, że nawet jeżeli jeden czy drugi wniosek o ściganie, który wysłalibyśmy za granicę, zostanie zlekceważony, to nie znaczy, że nie mamy go wysyłać.

Podstawowym warunkiem jest jednak determinacja Polaków. Tymczasem cała dyskusja wokół nowelizacji ustawy o IPN pokazała, że nie mamy w sobie takiej siły. Rafał A. Ziemkiewicz mówi, że Polakom bardzo brakuje poczucia godności. Mamy problem z tym, żeby podnieść głowę i powiedzieć: Holokaust nie jest naszym dziełem i to nam należą się odszkodowania za zbrodnie na naszym narodzie. I nikt już w tej sprawie nie będzie nam dyktował warunków.

Mecenas Obara wskazywał też, że zapis o przypisywaniu Polakom niemieckich zbrodni jest zbyt szeroki i lepiej było go zawęzić, by uniknąć niejasności. Jego zdaniem należało po prostu zakazać przypisywania Polakom odpowiedzialności za stworzenie obozów zagłady.

Nie zgadzam się z taką argumentacją. Zawężenie powodowałoby, że ludzie szkalujący nasz kraj mogliby różnymi sztuczkami słownymi uciekać przed odpowiedzialnością, np. mówiąc o „polskim Holokauście". Prowadziliśmy na ten temat długie dyskusje i uznaliśmy,

eprasa.pl c8db3f1bd8

Mobilny banner „Deatch Camps Were Nazi German" („Obozy śmierci były niemieckie") pod siedzibą ZDF FOT. TVP

że sensowne jest szersze ujęcie tego problemu.

Z kolei z lewej strony padały zarzuty, że nowelizacja ustawy o IPN jest przykładem narzucania oficjalnej polityki historycznej, co nie powinno mieć miejsca w demokratycznych społeczeństwach.

Czy to jednak oznacza, że Izrael jest niedemokratyczny? Jerozolima prowadzi przecież bardzo aktywną politykę historyczną i mocno obudowuje ją instrumentami prawnymi. Gdyby brać na poważnie argumenty lewicy, to należałoby uznać, że tylko Izrael ma prawo zwalczać kłamstwo oświęcimskie, ale Polacy już nie mogą domagać się tego, by nikt nas jako narodu nie łączył z niemieckimi mordami na Żydach.

Ma pan jakąś receptę na odbudowanie naszego – co tu ukrywać – nie najlepszego wizerunku na świecie?

W dzisiejszych czasach to musi być model wielostronny. Nie da się skutecznie bronić państwa i promować jego interesów bez używania wszystkich dostępnych narzędzi. Zarówno tych typu „soft", jak choćby dynamiczne działania lobbingowe przekonujące do naszych racji zagraniczne elity polityczne, aktywizowanie Polonii, by wpływała na lokalnych polityków, którzy muszą walczyć o jej głosy, budowanie silnych propolskich mediów, mądrą promocję w Internecie, jak i sprawdzanie tego, co o Polsce pisze się w zagranicznych podręcznikach. To wszystko jednak nic nie da, jeżeli nasze placówki dyplomatyczne nie będą profesjonalne. Kluczem jest to, czy my na tych placówkach będziemy mieli ludzi, którzy wierzą w Polskę. Jeżeli duża cześć społeczeństwa wychowywana jest w poczuciu, że polskość to coś śmiesznego i trzeba wzdychać do Brukseli, to musimy mieć świadomość, że potem z takich ludzi rekrutują się nasi politycy, dziennikarze czy dyplomaci. A my się potem dziwimy, że niektóre nasze placówki niezbyt chętnie chcą walczyć o dobre imię Polski... Dlatego najpierw musimy zrobić porządek na własnym podwórku.

I jak na razie wychodzi robienie porządku?

Nie ma co ukrywać – umiarkowanie. Kultura, media, edukacja, edukacja wyższa czy popularna na świecie sfera „influence" – niestety, jakby to ująć delikatnie, można było tu zrobić więcej. Oczywiście zawsze można się pocieszać, że przecież mogło być gorzej, bo gdyby teraz rządziła PO, to mielibyśmy do czynienia z kompletnym dramatem na tym polu.

Kilka razy przywoływał pan w naszej rozmowie Izrael jako przykład świetnie zorganizowanego państwa...

Możemy się od Izraelczyków wiele nauczyć, tylko pytanie, czy naprawdę mamy w sobie taką wolę. Izrael jest zdecydowanie mniejszym państwem od Polski, funkcjonuje krócej od nas, otoczony jest niemal z każdej strony wrogami, a mimo to cały czas, dzięki swojej organizacji nie tylko na miejscu, lecz także za granicą, trwa. Do tego Jerozolima wykonuje olbrzymią pracę na polu polityki historycznej. Izraelskie społeczeństwo jest zjednoczone pod tym względem i pełne determinacji. Natomiast efekty prowadzonej w Polsce przez wiele lat pedagogiki wstydu widzę doskonale w Parlamencie Europejskim. Europosłowie z innych krajów nie atakują tak zawzięcie swoich rządów, bo wiedzą, że wyborcy im tego nie darują. A nasza opozycja niestety nie ma z tym najmniejszego problemu, bo wie, że duża cześć Polaków nie tylko to toleruje, lecz także wręcz tego od nich oczekuje. Bez wychowania kolejnych pokoleń Polaków rozumiejących, czym jest „polskość", jak wielki wkład w historię Europy miały Polska i Polacy i dlaczego tak wiele rożnych narodów i religii chciało z własnej woli żyć właśnie w Rzeczypospolitej, nic z tego nie będzie.

Nie ma pan przekonania, że z biegiem czasu może być tylko gorzej, jeżeli chodzi o świadomość narodową Polaków?

Nie jestem zwolennikiem determinizmu historycznego. Trzeba brać sprawy w swoje ręce i wpływać na rzeczywistość. Świat zawsze zmieniała mniejszość, a nie większość. Patrząc na zgniliznę na Zachodzie, „cancel culture" i cenzurę, może się okazać, że młodzi ludzie się obudzą. Widzę tu szansę dla Polski, która może być dla reszty Europy oazą wolności. Żeby jednak tak się stało, musimy nieustannie nad tym pracować i musimy chcieć zrozumieć, czym jest dziedzictwo I RP i czy chcemy je ponieść dalej.

Jak pan ocenia sposób, w jaki zakończono ten spór? Czy rzeczywiście można brać wspólną deklarację premierów Morawieckiego i Netanjahu na temat drugiej wojny światowej za dobrą prognozę na przyszłość?

Mimo wszystko uważam, że dobrze się stało, iż ten spór miał miejsce. Dzięki temu wiemy, w jakim miejscu jesteśmy. Trudno jednak patrzeć optymistycznie w przyszłość, skoro w sierpniu zeszłego roku, po podpisaniu przez prezydenta Andrzeja Dudę nowelizacji Kodeksu postępowania administracyjnego, mieliśmy do czynienia z kolejną falą antypolonizmu.

Jak brzmi najważniejszy wniosek, jaki pan wyciągnął z konfliktu wokół nowelizacji ustawy o IPN?

Dopóki nie odbudujemy w nas przekonania o polskiej sile i wyjątkowości – dopóty nie próbujmy walczyć o tak ambitne cele. Czeka nas praca u podstaw, która może odbudować w nas skrzydła husarii, a ona przecież ciągle gdzieś płynie w naszych żyłach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8db3f1bd8

FOT. ADOBE STOCK

Kary wciąż możliwe?

Lech Obara

Szymon Topa

Nieudana nowelizacja ustawy o IPN z 2018 r. będzie rzucać się cieniem na każde kolejne działania tego typu

Zgromadzenie Ogólne Organizacji Narodów Zjednoczonych podjęło rezolucję w sprawie zaprzeczenia Holokaustowi, podkreślając, kolejny raz, potrzebę zwalczania antysemityzmu. Rezolucja przypomina, że prawo do wolności myśli, sumienia i wyznania, a także wolność od jakiejkolwiek dyskryminacji np. ze względu na rasę, wyznanie lub inne stany wiąże się z koniecznością upamiętniania Holokaustu i przeciwdziałania wszelkim przejawom jego zaprzeczenia lub zniekształcenia. Inaczej istnieje obawa, że zbrodnia ta się powtórzy.

Takie rozumienie praw podstawowych nie stanowi nowości. Europejski Trybunał Praw Człowieka nieraz wyjaśniał, że nie można pogodzić zasad państwa demokratycznego z ochroną negowania Holokaustu.

Nowością jest jednak to, że jako jeden z przejawów zaprzeczenia lub zniekształcenia pamięci o Holokauście wskazuje się wszelkie próby rozmycia odpowiedzialności za utworzenie obozów zagłady i obozów koncentracyjnych opracowanych i prowadzonych przez niemieckich nazistów, poprzez obciążanie tą odpowiedzialnością innych narodów lub grup etnicznych. To właśnie ta część rezolucji w polskich mediach była szczególnie podkreślana i przedstawiana jako sukces polskiej dyplomacji. Ma pomóc bowiem w zwalczaniu wypowiedzi o tzw. polskich obozach.

ONZ w rezolucji oparła się na Roboczej definicji negowania i zniekształcania pamięci o Holokauście przyjętej przez Międzynarodowy Sojusz na rzecz Pamięci o Holokauście (IHRA). Wtedy również, w październiku 2013 r., właśnie przy okazji konferencji o tzw. wadliwych kodach pamięci, ówczesny wiceminister MSZ prof. Artur Nowak-Far ogłaszał sukces polskiej dyplomacji w pracach IHRA.

Powiązanie negowania Holokaustu z negatywnym dla polskiej polityki historycznej zjawiskiem rozpowszechniania w debacie publicznej wypowiedzi o „polskich obozach” może uczynić polskie starania przeciwko przypisywaniu Polakom współsprawstwa w Holokauście zrozumiałymi dla międzynarodowej opinii publicznej. Może przyczynić się też do powstania aktów prawnych sankcjonujących taki przejaw negowania Holokaustu.

W 2018 r. przyjęta została nowelizacja ustawy o Instytucie Pamięci

eprasa.pl c8db3f1bd8

Narodowej penalizująca przypisywanie Polakom i Polsce sprawstwa za zbrodnie popełnione przez III Rzeszę w czasie drugiej wojny światowej. Nowelizacja była komentowana jako zagrożenie dla wolności badań naukowych, a także wywołała kryzys dyplomatyczny. Chcąc go załagodzić, parlament uchylił budzące sprzeciw przepisy. Premier Mateusz Morawiecki podpisał zaś z premierem Beniaminem Netanjahu wspólną deklarację, w której m.in. podkreślono: „Zawsze byliśmy zgodni, że sformułowania »polskie obozy koncentracyjne«/»polskie obozy śmierci« są rażąco błędne i pomniejszają odpowiedzialność Niemców za tworzenie tych obozów”.

Tak więc, pomimo odmiennej wrażliwości obu społeczeństw na udział Polaków w zbrodniach popełnionych na Żydach w czasie drugiej wojny światowej, przynajmniej w kwestii przypisywania Polakom współsprawstwa w powstaniu obozów zagłady, takich jak Auschwitz, istnieje szansa znalezienia sojuszników w Izraelu. Jest to ważne, jako że w powszechnej opinii Holokaust kojarzy się przede wszystkim właśnie z obozami zagłady.

GRZECH NOWELIZACJI

Premier polskiego rządu starał się za pomocą polsko-izraelskiej wspólnej deklaracji przekuć kryzys dyplomatyczny i wizerunkowy w sukces, podkreślając polskie starania w kwestii zwalczania przypisywania Polakom współsprawstwa w zbrodniach popełnionych w obozach zagłady. Wydaje się jednak, że być może nie byłoby takiej potrzeby, gdyby nowelizacja ustawy o IPN z 2018 r. korzystała właśnie z możliwości wynikających z przyjęcia przez IHRA definicji negowania Holokaustu, która wychodzi naprzeciw polskim postulatom.

Pomijając tu argumenty przeciwne tej nowelizacji (zwykle absurdalne, zdające się świadczyć o niezapoznaniu się z jej treścią lub o braku refleksji nad jej brzmieniem), nie sposób nie polemizować z jej propagatorami. W przypadku akurat tej nowelizacji ustawy o IPN z 2018 r. – jak podkreślało Stowarzyszenie Patria Nostra na etapie konsultacji społecznych nad projektem ustawy – największym dla niej zagrożeniem było odejście brzmienia nowego przepisu od powszechnie akceptowanego jej celu. Innymi słowy, przepis, który miał przeciwdziałać „polskim obozom”, o tym nie stanowił. Pominięto również korzyści wynikające z przyjętej przez IHRA w 2013 r. definicji roboczej negowania Holokaustu.

Stowarzyszenie zaproponowało alternatywne brzmienie przepisu, który będzie uznawać za przestępstwo sytuację, gdy ktoś będzie „zaprzeczał odpowiedzialności państwa i narodu niemieckiego, w tym przypisywał tę odpowiedzialność lub współodpowiedzialność innemu narodowi lub innej grupie etnicznej, za utworzenie gett, obozów koncentracyjnych i ośrodków zagłady, a także innych miejsc odosobnienia, w których warunki pobytu nie różniły się od warunków w obozach koncentracyjnych, a osoby tam osadzone pozostawały w dyspozycji władz bezpieczeństwa III Rzeszy Niemieckiej”.

Co ciekawe, po tym, jak w 2018 r. procedowanie w Sejmie nad nowelizacją ustawy o IPN wywołało gorącą dyskusję, krytyczną wobec niej, propozycja Stowarzyszenia znalazła wreszcie swoje poparcie polityczne. Jak później jednak poinformowano, służby legislacyjne z jakiegoś powodu zablokowały możliwość zmiany już procedowanego projektu ustawy. Ze skutkiem dziś już znanym.

NIEMIECKO-IZRAELSKIE SPOJRZENIE

Istnieje niewielka szansa, aby polscy rządzący podjęli ryzykowną próbę przekucia rezolucji ONZ w inicjatywę legislacyjną. Nieudana nowelizacja ustawy o IPN z 2018 r. będzie rzucać się cieniem na każde kolejne tego typu działania. Nie bez znaczenia jest również to, jak w praktyce do wspomnianej deklaracji Zgromadzenia Ogólnego ONZ podchodzą inne państwa. Określenie „deklaracja” jest tu kluczowe.

Niemiecki portal Deutsche Welle, informując o rezolucji ONZ wzywającej do zwalczania negowania Holokaustu, podkreśla, że jej inicjatorami były właśnie Niemcy i Izrael. Nie znajdzie się tam informacja o treściach podkreślanych przez polskie władze. Zwraca się zaś uwagę na wspólne oświadczenie Annaleny Baerbock (szefowej dyplomacji RFN) i Ja'ira Lapida (szefa dyplomacji Izraela), zgodnie z którym rezolucja ONZ to dowód na to, że „negowanie Holokaustu to sprawa, w której wspólnota międzynarodowa trzyma się razem i mówi jednym głosem”, a także zobowiązanie do „pielęgnowania pamięci o ofiarach i zapewnienia, by okropności z przeszłości nigdy się nie powtórzyły”.

Co ciekawe, wspomniani dyplomaci zwracają uwagę również, że jednym z niepokojących zjawisk jest porównywanie współczesnych sporów politycznych do Holokaustu, nawiązując w ten sposób do protestów przeciwników obowiązkowych szczepień na COVID-19 porównujących się do prześladowanych w czasie wojny Żydów (sic!). Przypisywanie zaś Polakom utworzenia obozów wydaje się mniej znaczącym problemem.

Nie sposób więc nie nabrać dystansu do takich deklaracji politycznych. Zwłaszcza że to właśnie Federalny Trybunał Sprawiedliwości RFN ochronił niemiecką telewizję ZDF przed skutkami negowania Holokaustu, odmawiając wykonania polskiego wyroku nakazującego publiczne przeproszenie polskiego byłego więźnia obozu Auschwitz. Mało tego, uczynił to z naruszeniem unijnych przepisów prawa, a Komisja Europejska na czele z Ursulą von der Leyen uznały, że nie widzą potrzeby, czy nawet możliwości, wyciągania wobec RFN konsekwencji za tego rodzaju „niemiecką praworządność”. Ja'ir Lapid zaś znany jest raczej z wypowiedzi mających wzbudzić wobec Polaków niechęć. Jest to – nawiasem mówiąc – jedna z osób, które nie boją się posługiwać językiem uznanym w rezolucji ONZ za przejaw negowania Holokaustu.

Innymi słowy, polityczne uwarunkowania niestety sprzyjają niemieckiej polityce historycznej. Niemniej trzeba być konsekwentnym w działaniach i wykorzystywać każdą możliwość. Stąd, nawet jeśli inicjatorzy rezolucji ONZ nie sprzyjają polskiej racji stanu, to warto rozważyć wykorzystanie jej przez polskie władze przy stanowieniu prawa krajowego i unijnego.

Jeżeli kiedykolwiek w przyszłości Polska miałaby karać za polonizowanie Holokaustu, to bardzo trudno byłoby wrócić do pomysłów z 2018 r. W naszej opinii bardziej prawdopodobne wydaje się stworzenie możliwości penalizacji tzw. miękkiego kłamstwa oświęcimskiego, czyli m.in. karanie za używanie frazy „polskie obozy śmierci”. Takie zawężenie przepisów z pewnością nie spotkałoby się z większym oporem na arenie międzynarodowej.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorzy są prawnikami, członkami Stowarzyszenia Patria Nostra broniącego przed sądami dobrego imienia narodu polskiego.

eprasa.pl c8db3f1bd8

Była ambasador Izraela w Polsce Anna Azari FOT. AMBASADA IZRAELA W CZECHACH

Antypolskie tsunami

Tomasz D. Kolanek

Mało kto się spodziewał, że nowelizacja ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej wywoła tak olbrzymią falę ataków skierowanych przeciwko Polsce, że zaleje ona światowe media

Dzień po przegłosowaniu przez Sejm RP nowelizacji ustawy o IPN miały miejsce obchody 73. rocznicy wyzwolenia niemieckiego obozu śmierci Auschwitz. W wydarzeniu tym brała udział ówczesna ambasador Izraela w Polsce Anna Azari. Wezwała polskie władze do zmiany ustawy o IPN, ponieważ, jak podkreśliła: „Izrael traktuje ją [nowelizację – przyp. red.] jak możliwość kary za świadectwo ocalałych z Zagłady". W swoim przemówieniu Azari stwierdziła, że nowe przepisy „budzą w Izraelu dużo emocji", a rząd Izraela „odrzuca je". „Izrael rozumie, kto budował Auschwitz i inne obozy, i wszyscy wiedzą, że to nie byli Polacy. U nas to [nowelizację – przyp. red.] traktuje się jak niemożliwość powiedzenia prawdy o zagładzie, wszyscy są oburzeni" – podkreśliła.

Dalej sprawy potoczyły się bardzo szybko, a oburzenie z powodu przyjęcia ustawy wyrazili m.in. ówczesny szef izraelskiego rządu Beniamin Netanjahu oraz prezydent Izraela Re'uwen Riwlin, parlamentarzyści Knesetu i przedstawiciele instytutu Yad Vashem. „Zdecydowanie sprzeciwiam się tej ustawie" – poinformował Netanjahu, który ponadto zażądał spotkania ambasador Azari z premierem Mateuszem Morawieckim.

To jednak nie wszystko. Szef izraelskiego rządu oskarżył ponadto Polskę o… negowanie zbrodni, których dokonano na Żydach. „Historii nie można zmienić i negować Holokaustu" – napisał na Twitterze Netanjahu.

Z kolei Ja'ir Lapid, parlamentarzysta Knesetu i – jak dziś już wiadomo – przyszły premier Izraela, powiedział: „Jestem synem osób, które przetrwały Holokaust. Moja babcia została zamordowana w Polsce przez Niemców i Polaków. Nie potrzebuję od was lekcji. Konsekwencje odczuwamy do dziś. Ambasada powinna natychmiast wystosować przeprosiny".

eprasa.pl c8db3f1bd8

Powyższe słowa Lapida były i tak jedną z jego łagodniejszych wypowiedzi pod adresem Polski i Polaków. Na Twitterze parlamentarzysta Knesetu napisał np., że – owszem – Żydów zabijali Niemcy, ale tysiące ofiar nie spotkało nawet niemieckiego żołnierza, co oznacza, zdaniem izraelskiego polityka, że „to były polskie obozy śmierci i żadne prawo tego nie zmieni".

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę, że portal wPolityce.pl opublikował informacje jednoznacznie wskazujące, iż babcia Lapida wraz z jego rodzicami została uratowana w getcie w Budapeszcie przez szwedzkiego dyplomatę. Zginęli natomiast jego dziadek oraz jego prababka, którzy zostali zabici w obozie koncentracyjnym, tyle że na terenie Austrii.

W Polaków uderzył także prezydent Izraela, Re'uwen Riwlin, który stwierdził, że pomagaliśmy w zbrodniach niemieckich w czasie drugiej wojny światowej. W przeciwieństwie do wyżej wymienionych polityków Riwlin zaznaczył, że nie robili tego wszyscy Polacy, ponieważ część wyciągała do Żydów pomocną dłoń.

Na nowe prawo w Polsce agresywnie zareagowali także izraelscy dziennikarze. Lahav Harkov, dziennikarka „The Jerusalem Post", wpisała na Twitterze kilkakrotnie hasło „polish death camps" („polskie obozy śmierci"). Natomiast portal Haaretz porównał nowelizację ustawy o IPN do stalinowskiej propagandy.

Prawdziwą wisienką na torcie było jednak stanowisko instytutu Yad Vashem. W oficjalnym komunikacie uznał on, że jest przeciwny nowelizacji, ponieważ – jak ocenił – ogranicza ona naukowcom prawo do wypowiedzi.

„Nie ma wątpliwości, że określenie »polskie obozy śmierci« jest błędne z historycznego punktu widzenia. Obozy zagłady były organizowane w okupowanej przez nazistów Polsce w celu mordowania narodu żydowskiego w ramach »Ostatecznego Rozwiązania«" – napisał Yad Vashem w oficjalnym oświadczeniu. Zarazem jednak zaznaczył, że jest przeciwny karaniu za używanie sformułowania „polskie obozy śmierci".

Instytut zwrócił także uwagę, że „ograniczenia wypowiedzi naukowców i innych osób na temat bezpośredniego lub pośredniego współudziału Polaków w zbrodniach popełnionych na ich ziemi podczas Holokaustu są poważnym zniekształceniem".

Kłamliwy wpis twitterowy izraelskiej dziennikarki Lahav Harkov FOT. TWITTER

To tylko bardzo krótki zapis tego, co się działo przez pierwszych 48 godzin po przegłosowaniu przez Sejm RP nowelizacji ustawy o IPN. Jaka była odpowiedź strony polskiej?

DWADZIEŚCIA PIĘĆ DO JEDNEGO

Jako jeden z pierwszych negatywne emocje i kłamstwa środowisk żydowskich pod adresem Polski i Polaków próbował zahamować ówczesny marszałek senatu Stanisław Karczewski. Poinformował on, że ustawa obecnie znajduje się w Senacie, i zaprosił ambasador Azari do rozmowy. Zasugerował przy tym, że niektóre elementy ustawy mogą ulec zmianie, zgodnie z oczekiwaniem władz izraelskich.

„Wyjaśnimy sobie wzajemnie jej treść i mam nadzieję, że wyeliminujemy wątpliwości" – napisał na Twitterze Karczewski. Wpis zakończył hashtagiem: „german death camps".

„Auschwitz to najbardziej gorzka lekcja o tym, jak ideologie mogą prowadzić do piekła na ziemi. Żydzi, Polacy i wszystkie ofiary powinny być strażnikami pamięci o tych, którzy zostali zamordowani przez niemieckich nazistów. Auschwitz-Birkenau to nie jest polska nazwa, a »Arbeit Macht Frei« to nie jest polski zwrot" – napisał z kolei w mediach społecznościowych premier Mateusz Morawiecki.

Głos zabrał też w końcu prezydent Andrzej Duda, który przypomniał, że Izrael również stawiał za cel swojej polityki walkę z kłamstwami dotyczącymi zbrodni w czasie drugiej wojny światowej. „Celem ustawy [nowelizacji ustawy o IPN – przyp. red.] jest zapobieganie kłamstwom i fałszywym oskarżeniom skierowanym w stronę Narodu i Państwa Polskiego, o czym mówi wprost przepis projektowanej ustawy" – napisał w specjalnym oświadczeniu prezydent Duda. „Działaliśmy w tej sprawie razem i razem osiągnęliśmy potwierdzenie tej prawdy. Dlatego dzisiaj każdy, kto używa dla tego i innych obozów kłamliwego terminu »polski obóz śmierci«, nie tylko bezcześci pamięć jego ofiar, lecz także zatruwa świadomość kłamstwem, co powinno być piętnowane i karane" – dodał.

WSZYSCY PRZECIWKO POLSCE?

Problem polegał na tym, że komunikaty polskich polityków były kierowane przede wszystkim do Polaków i miały minimalny oddźwięk międzynarodowy. Zupełnie inaczej sprawy się miały w przypadku ataków na Polskę – te docierały do milionów odbiorców na całym świecie i były cytowane niemal przez każdą agencję prasową, jak np. słowa prezesa Światowego Kongresu Żydów (WJC) Roberta Singera, który nazwał nowelizację ustawy o IPN „zaciemnianiem historii" oraz „atakiem na demokrację".

eprasa.pl c8db3f1bd8

Prowokacyjny wpis Ja'ira Lapida FOT. TWITTER

„Nowa polska ustawa dlatego budzi szczególne zastrzeżenia, że utrudnia jakąkolwiek prawdziwą konfrontację z najbardziej przerażającym aspektem wojennej historii tego kraju – z tym, w jakim stopniu Polacy brali udział w niszczeniu swych żydowskich sąsiadów" – powiedział Singer. Jego zdaniem faktem jest, że „Polacy brali udział w niszczeniu swych żydowskich sąsiadów", co mieli wykazać „znakomici polscy naukowcy" w „starannie udokumentowanych pismach".

Efekt? Tylko w ciągu pierwszych kilkudziesięciu godzin „afery nowelizacyjnej" fraza „polish death camps" osiągnęła zasięgi na poziomie 25 mln użytkowników. Dla porównania: w tym samym czasie fraza „german death camps" („niemieckie obozy śmierci") dotarła do zaledwie 1 mln użytkowników.

Trzeba pamiętać, że w tamtym czasie kłamstwa o „polskich obozach śmierci" i polskiej współodpowiedzialności za Holokaust powielali nie tylko przedstawiciele środowisk żydowskich. Spór między Polską a Izraelem w sprawie penalizacji fałszowania historii drugiej wojny światowej był szeroko opisywany m.in. w niemieckich mediach.

W depeszy przygotowanej przez DPA (Niemiecka Agencja Prasowa, odpowiednik PAP), przedrukowanej przez większość mediów zza Odry, czytamy na przykład: „W Izraelu istnieją obawy, że takie prawo mogłoby być nadużywane i zakłamywać rolę Polski w zbrodniach przeciwko Żydom podczas Holokaustu".

Jeszcze dalej poszedł portal Taz.de, na którym napisano: „Za niecałe trzy miesiące mają ukazać się w Polsce dwa tomy o polskich kolaborantach i ludziach zdradzających Żydów. Jeżeli prezydent podpisze nową ustawę, to żaden dziennikarz nie będzie mógł o nich napisać, nie ryzykując trzyletniego więzienia i wysokiej grzywny".

Równie skandaliczne słowa pojawiły się na niemieckojęzycznym portalu wydawanym w Jerozolimie, Israelheute.com. W tekście zatytułowanym „Polacy i prawda" czytamy: „Nawet jeżeli być może nie da się obciążyć Polaków odpowiedzialnością za Holokaust, a w kwestii obozów koncentracyjnych chodziłoby o obozy niemieckie, to nowe prawo jest problematyczne. […] W Polsce istniał bardzo silny antysemityzm i niestety dalej jest tam obecny".

Nie inaczej sprawa wyglądała w Wielkiej Brytanii, Norwegii, Czechach i wielu innych krajach.

Brytyjska stacja BBC nazwała nowelizację ustawy o IPN „kontrowersyjną" i zaznaczyła, że „nowe przepisy nie pozwalają oskarżać Polaków o współudział w nazistowskim Holokauście".

„Współpraca Polaków z nazistami podczas Holokaustu jest faktem" – napisano z kolei na norweskim portalu Document.no.

„Według amerykańskiego historyka polskiego pochodzenia Jana Tomasza Grossa, który za sprawą swoich stwierdzeń uwikłał się w sądowy konflikt z ówczesną władzą, Polacy są odpowiedzialni za śmierć przynajmniej stu tysięcy Żydów" – czytamy natomiast na czeskim portalu iDNES.cz.

Można by tak długo wymieniać.

POLACY PRZECIW POLSCE

Trzeba przypomnieć jeszcze o dwóch kwestiach w tej antypolskiej nagonce. Po pierwsze: nasi „najbliższy sojusznicy", czyli Stany Zjednoczone, najpierw wystosowali list ośmiu kongresmenów z grupy ds. zwalczania antysemityzmu do prezydenta RP, w którym wyrażali nadzieję, że Andrzej Duda zawetuje nowelizację ustawy o IPN. Następnie głos zabrała amerykańska dyplomacja. W wydanym oświadczeniu Departament Stanu jednoznacznie oczekiwał od naszego kraju wycofania się ze zmian prawnych lub „ponownej analizy nowelizacji" z punktu widzenia jej relacji do wolności słowa oraz zdolności USA do… pozostania realnymi partnerami Polski.

Po drugie: w antypolskiej nagonce brali czynny udział sami Polacy. „Ustawa […] sugeruje niewinność Polaków, tworząc z nich jedyny w Europie naród bez skazy. Nie tędy droga do odzyskania zbiorowej godności" – czytamy w liście grupy artystów, ludzi nauki i kultury, którzy krytykowali nowelizację ustawy o IPN. Pod listem podpisali się m.in.: Jan Tomasz Gross, Jan Hartman, Agnieszka Holland, Radosław Sikorski, Olga Tokarczuk czy Jacek Żakowski.

Sprawa nowelizacji ustawy o IPN, ataki na Polskę i próba odpowiedzi na nie ze strony rządu w Warszawie została szeroko omówiona w książce pt. „Czas szaleństwa czy czas wiary" – wywiadzie rzece z Pawłem Lisickim.

Redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy" ubolewał, że „po bardzo mocnych deklaracjach kompletnie zabrakło namysłu nad skutecznymi narzędziami". – Nie podjęto działań, nie próbowano dotrzeć do ludzi żyjących w świecie kultury masowej, nie dostarczano informacji i argumentów, nie organizowano dyskusji. Nie konfrontowano z faktami fałszywych opinii dotyczących rzeczywistości na terenach okupowanych przez III Rzeszę. Takich rzeczy nie da się zrobić z dnia na dzień – tłumaczył.

Paweł Lisicki zwrócił również uwagę, że Żydzi potrafili stworzyć kilkadziesiąt, jeśli nie kilkaset ośrodków badań nad Holokaustem. – Dlaczego od 16 listopada 2015 r. aż do dzisiaj nie powstał ani jeden ośrodek badawczo-akademicki przy którejś z prestiżowych uczelni zachodnich, informujący o zbrodniach dokonanych przez Niemców i Sowietów na Polakach? Dlaczego nie próbujemy opowiedzieć naszej historii z naszej perspektywy? […] Pytam: Gdzie działa chociaż jeden ośrodek, którego głównym celem będzie pokazywanie zbrodni na Polakach? Nie mam nic przeciwko temu, żeby dla Żydów najważniejszym wydarzeniem wojny był Holokaust, ale dlaczego ma być on również najważniejszym punktem odniesienia dla nas? Setki tysięcy Polaków ginęły dlatego, że były Polakami, całkiem niezależnie od zagłady Żydów. Działo się tak znacznie dłużej, niż trwał Holokaust – podkreślił.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8db3f1bd8

Trudna droga

Zuzanna Dąbrowska

To był najpoważniejszy kryzys w relacjach polsko-izraelskich. Nowelizacja ustawy o IPN doprowadziła do wielkiej awantury, którą udało się załagodzić najpierw poprzez zmianę przepisów, a następnie – deklarację premierów Morawieckiego i Netanjahu

27 czerwca 2018 r. Mateusz Morawiecki i Beniamin Netanjahu podpisują wspólną deklarację. „Nie zgadzamy się na działania polegające na przypisywaniu Polsce lub całemu narodowi polskiemu winy za okrucieństwa popełnione przez nazistów i ich kolaborantów z różnych krajów" – czytamy w dokumencie, który opublikowano w największych światowych dziennikach. Premierzy stwierdzili, że „opowiadają się za swobodą wypowiedzi na temat historii oraz wolnością badań nad wszystkimi aspektami Holokaustu". Co istotne, potępiono zarówno wszelkie przejawy antysemityzmu, jak i antypolonizmu.

Przyjęcie deklaracji było ostatnim aktem sporu o nowelę ustawy o IPN przygotowaną w resorcie sprawiedliwości. Tego samego dnia, 27 czerwca, prezydent Andrzej Duda podpisał ustawę zmieniającą kształt przepisów, które krytykowała nie tylko Jerozolima, lecz także Waszyngton. Ostatecznie uchylono zapisy przewidujące kary więzienia za przypisywanie Polakom odpowiedzialności za zbrodnie III Rzeszy.

ARCHIMEDESOWY PUNKT OPARCIA?

– Niezwykle wysoko oceniam treść deklaracji premierów Polski i Izraela

eprasa.pl c8db3f1bd8

14 lutego 2019 r. premierzy Mateusz Morawiecki i Beniamin Netanjahu wzięli udział w spotkaniu ministerialnym w sprawie budowania pokoju i bezpieczeństwa na Bliskim Wschodzie

FOT. KRYSTIAN MAJ/KPRM

z 2018 r. Gdy przeczytałem ten dokument, pomyślałem, że mógłbym się pod nim, jako historyk, podpisać. W całości. Tam po prostu zapisano prawdę – mówi „Do Rzeczy" wiceprezes IPN dr Mateusz Szpytma, członek powołanego przez premiera zespołu ds. dialogu prawno-historycznego z Izraelem. Zespół powstał na początku lutego 2018 r. jako odpowiedź na burzę wokół noweli. Jego zadaniem był dialog ze stroną izraelską i wyjaśnienie motywów stojących za przepisami. Niestety, doszło zaledwie do jednego spotkania. – Udaliśmy się do Izraela i braliśmy udział w rozmowach w siedzibie tamtejszego MSZ. Wspominam je jako interesujące i bardzo rzeczowe. Na początku, muszę przyznać, było bardzo sztywno, jednak z godziny na godzinę atmosfera się poprawiała. Byłem pod wielkim wrażeniem przygotowania naszych przedstawicieli z Ministerstwa Sprawiedliwości, Ministerstwa Spraw Zagranicznych i kancelarii premiera. Dlatego wielka szkoda, że nie było ciągu dalszego spotkań ze stroną izraelską, to już jednak nie zależało od nas. Zgodnie z zasadami panującymi w relacjach międzynarodowych, jeżeli taka grupa odwiedza jeden kraj, to następnym krokiem jest rewizyta. To jednak nie nastąpiło. Nie było woli ze strony Izraela – wyjaśnia Szpytma.

Równolegle do prac zespołu trwały negocjacje na poziomie rządowym. Wiadomo, że zapisy deklaracji wypracowano na długo przed jej upublicznieniem. Jednak dopytywani przez media prezes PiS Jarosław Kaczyński oraz szef KPRM Michał Dworczyk nie chcieli ujawnić, kto dokładnie reprezentował Polskę podczas rozmów. Izraelski dziennikarz Barak Ravid opisywał, że chodzi o dwóch emisariuszy, wyznaczonych do tej misji przez premiera Mateusza Morawieckiego. Nieoficjalnie wiadomo, że chodziło o dwóch parlamentarzystów PiS. – Nie ma zgody, żeby ujawnić nazwiska – stwierdził Dworczyk.

W obozie rządzącym deklarację uznano jednogłośnie za sukces. – Uzyskaliśmy archimedesowy punkt oparcia do tego, żeby rozpocząć poważną walkę o zmianę obrazu najnowszej historii Polski; każdy, kto nie ma złej woli, musi uznać, że to duży sukces – mówił w lipcu 2018 r. Jarosław Kaczyński. Co więcej, zdaniem premiera Mateusza Morawieckiego sama nowela ustawy o IPN sprawiła, że „podnieśliśmy świadomość o sprawie polskiej na zupełnie inny poziom". – Można domyślić się, gdzie byśmy byli dzisiaj, gdyby nie ta ustawa; gdyby ta ustawa nie rozpoczęła tej wielkiej, szerokiej, szorstkiej też w wielu aspektach dyskusji na wielu poziomach na całym świecie. Można powiedzieć, że nas to też oczywiście do pewnego stopnia poobijało. Ale nie ma walki o prawdę za darmo – stwierdził szef rządu.

Prezes Reduty Dobrego Imienia Maciej Świrski mówi w rozmowie z „Do Rzeczy", że trudno przecenić symboliczną wartość deklaracji premierów Morawieckiego i Netanjahu. – To sprawa dużej wagi. Już sam fakt podpisania takiego dokumentu przez oficjalnego przedstawiciela państwa Izrael, co wydawało się wcześniej niemożliwe, zważywszy na to, że w deklaracji obaj premierzy na równym poziomie postawili antysemityzm i antypolonizm jako zjawiska niedopuszczalne, jest znaczący. Wartości tego osiągnięcia Mateusza Morawieckiego nic nie zaprzeczy, ponieważ ta deklaracja jest potężnym argumentem w walce z antypolonizmem – ocenia Świrski.

Nie wszyscy jednak podzielają ten pogląd. Przeciwnego zdania jest historyk i politolog prof. Antoni Dudek, który patrzy na deklarację premierów jako na wyraz bezsilności. – Absolutnie nie uważam tego za sukces. To po prostu była próba załatania wyłomu, który pojawił się w spokojnych przez wiele dekad relacjach za sprawą noweli dotyczącej IPN. Do dziś nie mogę pojąć, dlaczego ktoś wierzył, że te przepisy będą możliwe do wyegzekwowania. O tyle dobrze, że deklaracja została podpisana, bo zamknęła ten trudny rozdział – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy".

ANTYPOLONIZM W IZRAELU

Dziś relacje polsko-izraelskie, pisząc eufemistycznie, są niełatwe. Polska ambasada w Tel Awiwie pozostaje nieobsadzona po tym, jak były już ambasador w Izraelu Marek Magierowski otrzymał jasny sygnał: nie masz po co wracać z wakacji. Następnie władze Izraela podjęły decyzję o obniżeniu rangi dyplomatycznej reprezentacji w Warszawie. Polskie MSZ odpowiedziało: „Rząd RP podejmie odpowiednie działania polityczne i dyplomatyczne, mając na uwadze zasadę symetrii obowiązującą w stosunkach dwustronnych". To kolejne załamanie w stosunkach nastąpiło po podpisaniu przez prezydenta Andrzeja Dudę w sierpniu 2021 r. nowelizacji Kodeksu postępowania administracyjnego, która dotyczy kwestii mienia bezspadkowego.

Jednocześnie poprawie stosunków dwustronnych nie sprzyja aura polityczna. Obecnie szefem izraelskiej dyplomacji jest Ja'ir Lapid, który niedługo ma zostać premierem. To autor skandalicznych słów o tym, że „hitleryzm był ideologią niemiecką, ale obozy powstały przy czynnej pomocy Polaków. Polacy współpracowali przy tworzeniu i prowadzeniu obozów zagłady, Polacy wydawali

eprasa.pl c8db3f1bd8

Żydów Niemcom i tym samym wysyłali ich na śmierć". Lapid poszedł o krok dalej: „Były polskie obozy śmierci i żadne prawo tego nie może zmienić".

W sierpniu 2020 r. napisał na Twitterze, że „negatywny wpływ na nasze stosunki rozpoczął się w 2018 r., gdy Polska zdecydowała się rozpocząć uchwalanie ustaw mających na celu szkodzenie pamięci o Holokauście i narodzie żydowskim. Dawno minęły czasy, kiedy Polacy krzywdzili Żydów bez konsekwencji. Dziś Żydzi mają własny, dumny i silny kraj. Nie boimy się antysemickich gróźb i nie mamy zamiaru przymykać oczu na haniebne postępowanie antydemokratycznego rządu polskiego". O tym, jak do Polski są nastawione władze Izraela, może także świadczyć fakt, że ministrem finansów jest Israel Katz, który będąc w roku 2019 szefem MSZ, powiedział, że „Polacy wyssali antysemityzm z mlekiem matki".

Z kolei obecny premier Izraela Naftali Bennett, biorąc w 2019 r. udział (jako minister edukacji) w konferencji przewodniczących głównych organizacji żydowskich w Stanach Zjednoczonych, powiedział: „Wielu Polaków było antysemitami i mordowało Żydów. Nie możemy nikomu pozwolić na korygowanie historii, dla dobra przyszłości. To nie jest droga do budowania relacji. Musimy zmierzyć się z rzeczywistością, że Polacy byli ofiarami, ale niemała liczba Polaków była też antysemitami".

Maciej Świrski zaznacza, że obecne władze Izraela wykorzystują antypolonizm jako argument w mobilizacji elektoratu. – Stan stosunków polsko-izraelskich w tej chwili jest lodowaty za sprawą władz Izraela. Ministrem spraw zagranicznych jest Ja'ir Lapid, który wkrótce będzie premierem. To nie wróży niczego dobrego, ponieważ jest on zatwardziałym wrogiem Polski, co wykorzystuje jako paliwo polityczne w swojej karierze – podkreśla.

Prezes Reduty Dobrego Imienia twierdzi, że sprawa noweli ustawy o IPN z 2018 r. obnażyła fakt istnienia w Izraelu antypolonizmu. – Jeżeli więc mówi się, że w Polsce występuje antysemityzm (jest on szczątkowy i marginalny), to tak samo w Izraelu mamy do czynienia z antypolonizmem. I to jest zjawisko, z którego nie zdawaliśmy sobie sprawy aż do roku 2018. Równocześnie trzeba wiedzieć, że jest tam bardzo wielu ludzi z sympatią myślących o Polsce, więcej niż tych niechętnych. To jest podstawa do wyjścia z impasu – dodaje, wskazując, że mimo kolejnych afrontów nie możemy odpuścić sobie prób nawiązywania dialogu. – Żydzi są podobni do nas – kłótliwi, chimeryczni i emocjonalni. Równocześnie Izrael potrafi planować swoje posunięcia na lata. Z drugiej strony nie ma się też co obrażać, ponieważ jest za nami wspólna 800-letnia historia. Trzeba egzekwować polskie interesy i prowadzić politykę transakcyjną: coś za coś. To, co jest niedopuszczalne – piętnować i wytykać – mówi.

WALKA O POLSKĄ NARRACJĘ

Czy Polska ma plan działania wobec trudnych relacji z Izraelem? Z pewnością na razie, na co wpływa w dużej mierze pandemia COVID-19, wzajemne stosunki uległy wyciszeniu. Zdaniem prof. Antoniego Dudka Warszawa nie ma pomysłu, jak w przyszłości rozmawiać z izraelskimi partnerami. – Polski rząd ma w tej chwili wiele innych problemów – zaznacza politolog. Jego zdaniem warto pamiętać, że politycy inaczej zachowują się w trakcie kampanii wyborczej, a inaczej, gdy już uda im się zdobyć władzę. – To, że minister Lapid mówił wcześniej różne rzeczy, nie oznacza, że teraz będzie je powtarzał. Twierdzę, że większość polityków traktuje kwestie historyczne czysto instrumentalnie. Wszystko zależy od tego, czy Ja'ir Lapid uzna za potrzebne eskalowanie sporu na tym tle z Polską. Jeśli zauważy taką konieczność, to z pewnością wróci do poprzedniego stylu.

Zdaniem Macieja Świrskiego najlepszą taktyką w relacjach z Izraelem jest gra interesów. Prezes Reduty Dobrego Imienia zaznacza, że Polska nie wykorzystuje swojego potencjału.

– Mamy 38 mln obywateli, a Polaków jest w sumie na świecie 60 mln i PKB Polski jest większy od PKB Izraela o ponad 200 mld dol. Polska ma bardzo mocny argument w postaci głosowań w ONZ i w innych gremiach międzynarodowych, a po 1989 r. głosowała zawsze przeciw rezolucjom potępiającym Izrael. Trzeba o tym pamiętać, zwłaszcza w kontekście prób światowego bojkotu Izraela i działań ruchu Boycott, Divestment, Sanctions (BDS). To jest gra interesów. Nic za darmo. Tego powinniśmy się nauczyć z kryzysu 2018 r. – dodaje.

Istotną zmienną w relacjach Polski z Izraelem są Stany Zjednoczone. Warszawa opierając się, w obliczu rosyjskiego zagrożenia na wschodzie jeszcze mocniej, na sile amerykańskiego sojusznika, jest w dużym stopniu zależna właśnie od Waszyngtonu. Amerykańska administracja nie ma oporów przed ingerowaniem w proces legislacyjny w innym kraju, co jasno pokazały prace nad nowelą Kodeksu postępowania administracyjnego (sprawa mienia bezspadkowego). O ile Donald Trump i jego współpracownicy dość jasno potrafili wyrazić swoją sympatię do Izraela, również kosztem niezadowolenia polskich partnerów, o tyle Joe Biden pozostaje na razie zagadką. Podobnie zresztą jak nowy ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce Mark Brzezinski.

Walka o pamięć toczy się cały czas na polu badań historycznych. Zagraniczne agencje i media z lubością wsłuchują się w przekłamane tezy stawiane przez badaczy, takich jak Jan Grabowski czy Jan Tomasz Gross. – Trzeba powiedzieć jasno: można podzielić historyków na tych rzetelnych, opisujących przebieg dziejów zgodnie ze źródłami, oraz na tych, którzy wypaczają historię lub manipulują nią. W czasopismach IPN wykazywaliśmy wielokrotnie te manipulacje, co budziło furiacki wręcz atak, zwłaszcza kiedy docieramy z naszym przekazem do odbiorców zagranicznych. Oczywiście jeżeli ktoś ma złą wolę, to nie sięgnie do naszych materiałów. Jest jednak grupa ludzi, która chce znać prawdę i posłuchać opinii różnych historyków. Dla takich osób wydajemy publikacje także w języku angielskim. IPN w 2020 r. wydał pierwszy numer rocznika „Polish-Jewish Studies", w którym wszystkie teksty są w dwóch językach – polskim oraz angielskim. Znalazł się tam tekst „Korekta obrazu...?" dr. Tomasza Domańskiego wyjaśniający, w jaki sposób należy podchodzić do książki „Dalej jest noc" pod red. Barbary Engelking i Jana Grabowskiego. Każdy człowiek dobrej woli może skonfrontować te dwa poglądy – stwierdza wiceprezes IPN dr Mateusz Szpytma.

Według prof. Antoniego Dudka nie do przeceniania jest rola popkultury. – Dobre, podkreślam, dobre filmy fabularne są w stanie zrobić dla polskiej narracji więcej niż wszystkie deklaracje premierów razem wzięte – mówi historyk.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8db3f1bd8

Jakub Ostromęcki

Kłamstwo na wokandzie

FOT. ADOBE STOCK

Na świecie istnieje kilka modeli karania za zaprzeczanie masowym zbrodniom. Przepisy karne w Izraelu należą do jednych z najostrzejszych na świecie

Izraelska ustawa z 1986 r. penalizująca kłamstwo oświęcimskie nie pozostawia wątpliwości: państwo to zadbało, by wyposażyć się w instrument prawny chroniący Żydów przed wypaczaniem historii Holokaustu. Warto przytoczyć najistotniejsze fragmenty ustawy: „Każdy, kto ustnie lub pisemnie publikuje wypowiedź przeczącą lub umniejszającą proporcje czynów popełnionych w okresie reżimu nazistowskiego, które to czyny były zbrodniami przeciwko narodowi żydowskiemu lub zbrodniami przeciwko ludzkości, robiąc to w celu obrony sprawców lub wykazania identyfikacji i sympatii dla nich, podlega karze pozbawienia wolności do lat 5". Takiej samej karze podlega każdy, kto wychwala owe zbrodnie. Cytowanie prac negacjonistów, tak długo, jak nie wyraża się do nich sympatii, nie jest karane.

Literatura oraz światowe i izraelskie media milczą jednak na temat przypadków skazania kogokolwiek w Izraelu na podstawie wyżej wspomnianej ustawy w ciągu ostatnich 30 lat. Ustawa nie jest więc de facto stosowana. Dlaczego? Sprawa jest dość złożona.

Przyjrzyjmy się najpierw najsłynniejszym palestyńskim negacjonistom (z oczywistych względów to nie Żydzi pozostają na celowniku tych przepisów). Jednym z nich był Mahmoud Abbas, późniejszy premier, a następnie prezydent Autonomii Palestyńskiej. W 1984 r. ukazała się jego praca obroniona na Uniwersytecie Lumumby w Moskwie: „Druga strona. Ukryty związek między syjonizmem a nazizmem". Abbas starał się wykazać w niej, że nie ma mowy, aby w czasie Holokaustu zginęło 6 mln Żydów, a co najwyżej kilkaset tysięcy, przed wojną zaś syjoniści byli w zmowie z nazistami.

„NĘDZNY NEGACJONISTA"

W wywiadzie przeprowadzonym po latach dla izraelskiej gazety „Haaretz" Abbas wycofał się z części swoich tez, stojąc jednak na stanowisku, że Holokaust jest zbrodnią przeciw narodowi żydowskiemu i zbrodnią przeciw ludzkości, nie zaś ludobójstwem. W 2018 r. Abbas stwierdził, że Żydzi w Europie byli mordowani przez stulecia z powodu trudnienia się lichwą i ze względu na pozycję, jaką zajmowali w systemie bankowym, a nie z powodu swojego pochodzenia czy też z uwagi na wyznanie. Podważył on również związek Żydów aszkenazyjskich z Semitami, co z kolei zostało uznane za odmawianie prawa europejskim Żydom do identyfikowania się z państwem Izrael. Wywołało to protesty bardzo wielu środowisk żydowskich na całym świecie. Abbas przeprosił „wszystkich ludzi wyznania mojżeszowego". Przeprosiny te odrzucili jednak premier Netanjahu i izraelski minister obrony Awigdor Lieberman. Ten ostatni nazwał nawet na Twitterze Abbasa „nędznym negocjonistą Holokaustu". Na groźbach jednak się skończyło – nikt nie wysłał Abbasowi aktu oskarżenia w związku z ustawą z 1986 r.

Innym słynnym negacjonistą był Ekrima Sa'id Sabri, wielki mufti Jerozolimy w latach 1994–2006. Nazwał on Holokaust „bajeczką" i stwierdził, że w rzeczywistości w drugiej wojnie światowej zginęło dużo mniej Żydów, niż podaje się to oficjalnie. Utrzymywał też, że nienawiść Hitlera do Żydów nie była niczym niezwykłym, ponieważ byli oni wszędzie na świecie nienawidzeni. Mufti był aresztowany bądź zatrzymywany przez izraelskie służby wiele razy, m.in. pod zarzutem wtargnięcia do miejsc kultu zamkniętych przez władze, podżegania do nienawiści czy kontaktów z przywódcami organizacji terrorystycznych, takich jak Hezbollah. Nigdy jednak w zarzutach nie odnoszono się do negacji Holokaustu przez duchownego.

Zarzuty karne w związku z ustawą z 1986 r. może postawić tylko izraelski prokurator generalny. Jest on osobą z nadania politycznego i jest uzależniony od premiera. Oskarżanie o „kłamstwo oświęcimskie" nie może być zatem sprzeczne z pryncypiami polityki wobec Palestyńczyków. Z perspektywy izraelskiej lepiej było zatem zarzucić Abbasowi torpedowanie rozmów pokojowych. Wzmocniło to w ten sposób pozycję negocjacyjną Izraela poprzez pokazanie światu, że to Palestyńczycy zaogniają sytuację. Zarzuty karne nie przyniosłyby żadnego zysku politycznego, nawet pomijając to, że Abbas posiadał immunitet dyplomatyczny.

eprasa.pl c8db3f1bd8

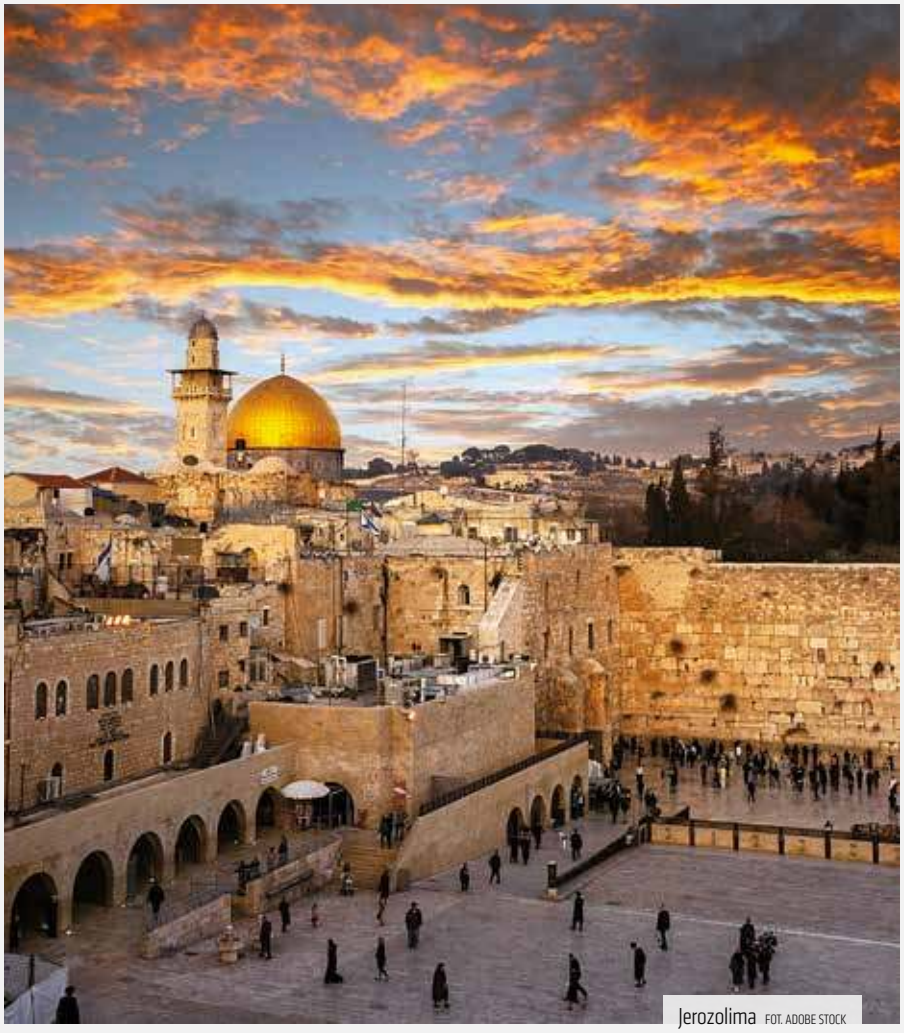

Jerozolima FOT. ADOBE STOCK

W przypadku muftiego, z perspektywy izraelskiej, znacznie groźniejsze były jego czyny i kontakty z Hezbollahem niż same słowa na temat Holokaustu. Władzom Izraelskim zależy na pacyfikacji radykalnych palestyńskich liderów. W tym przypadku dodatkowe wysuwanie zarzutów o negacjonizm niepotrzebnie zaogniłoby sytuację. Innymi słowy, jak długo Palestyńczycy powstrzymują się od czynów, które Izrael uznaje za godzące bezpośrednio w jego bezpieczeństwo, tak długo pewne słowa puszcza się im płazem, na zasadzie wentylu bezpieczeństwa. Potwierdzeniem są tu konkluzje prof. Sammy'ego Smoohy, socjologa z Uniwersytetu w Hajfie.

„Niewiara w Shoah nie jest motywowana nienawiścią do Żydów (zakorzenioną wśród negacjonistów zachodnich), ale raczej formą protestu. Arabowie niewierzący w Shoah wyrażają silny sprzeciw wobec portretowania Żydów jako wyjątkowych ofiar i braku postrzegania cierpienia Palestyńczyków. Odmawiają prawa do istnienia Izraela jako państwa, którego główną siłą sprawczą był Shoah. Arabski brak wiary w istnienie Shoah jest częścią konfliktu izraelsko-palestyńskiego, w przeciwieństwie do ideologicznego i antysemickiego negacjonizmu na Zachodzie, motywowanego pragnieniem zmycia z siebie winy".

PRZERZUCENIE OBOWIĄZKÓW

Według Izraela negacjoniści zachodni są znacznie groźniejsi niż palestyńscy. Korzystna zatem dla Jerozolimy jest sytuacja, w której państwa europejskie same biorą na swoje barki karanie za „kłamstwo oświęcimskie", tworząc odpowiednie ustawodawstwo. W tej sprawie Izrael prowadził w Europie nieformalny lobbing za pomocą instytucji naukowych i edukacyjnych. Takie działania nie były potrzebne w przypadku Niemiec, gdyż jednym z głównych celów RFN od jej powstania było zmycie z siebie winy za zbrodnie III Rzeszy. Nic więc dziwnego, że tamtejsi kanclerze żywo interesowali się każdą sprawą sądową związaną z „kłamstwem oświęcimskim" i byli wyczuleni na każdą uwagę dotyczącą traktowania Żydów w RFN.

Akty normatywne penalizujące negowanie Holokaustu w Europie zamiast słowem „Holokaust" czy „zbrodnie III Rzeszy" posługują się często ogólnym terminem zbrodni ludobójstwa czy zbrodni przeciwko ludzkości. Takimi krajami są Liechtenstein, Szwajcaria czy Portugalia. Szczegółowe odwołanie do Holokaustu, zbrodni państw Osi czy też zbrodni określonych przez Trybunał Norymberski znajdziemy natomiast w kodeksach karnych Włoch, Belgii, Niemiec, Austrii, Rumunii, Francji czy Grecji.

Sytuacja w tym ostatnim kraju jest dość wyjątkowa, ponieważ same słowa negujące istnienie Holokaustu nie są tam przestępstwem. Aby w Grecji skazać negacjonistę, trzeba mu jednocześnie wykazać, że głosząc swoje poglądy, podżegał do nienawiści. Takie rozwiązanie, obarczone dodatkowo bardzo poważnymi zarzutami z kodeksu karnego o naruszanie konstytucyjnej wolności słowa, doprowadziło do sytuacji, w której skazanie kogokolwiek za negowanie Holokaustu w Grecji stało się bardzo trudne.

Istnieje grupa państw, które ograniczają się do karania jedynie za negowanie zbrodni nazistowskich, oraz takie, które do tego katalogu włączają również zbrodnie komunistyczne. Nietrudno zgadnąć, że w tej drugiej grupie znajdą się kraje mające własne, ponure doświadczenia z komunizmem: Litwa, Polska, Czechy, Słowacja i Węgry. Rozwiązanie to zostało niestety bardzo mocno zaatakowane przez część środowisk żydowskich reprezentowanych przez Dovida Katza, mieszkającego w Wilnie historyka pochodzenia amerykańskiego. Katz nawołuje do zwalczania koncepcji podwójnego ludobójstwa – niemieckiego i sowieckiego, twierdząc, że zestawienie takie pomniejsza cierpienie Żydów w czasie drugiej wojny światowej.

W większości wymienionych krajów kary za negowanie Holokaustu wahają się od miesiąca do pięciu lat. Wyjątkiem są Włochy, gdzie za to przestępstwo grozi do sześciu lat pozbawienia wolności, i absolutny rekordzista, czyli Austria, gdzie za negowanie Holokaustu w połączeniu z próbą przywrócenia systemu narodowosocjalistycznego można iść do więzienia na lat 20.

USA twardo trzymają się pierwszej poprawki do konstytucji, która zdefiniowała wolność słowa. Amerykanie uważa-

eprasa.pl c8db3f1bd8

ją, że prawo do opowiadania nieprawdy to też prawo człowieka. Tym samym wolno w USA mówić na temat Holokaustu, co się komu podoba. Środowisko naukowe, sprzyjające w ogromnej części Izraelowi, stosuje tam jednak sankcje nieformalne, pozaprawne wobec osób, które nawet nie tyle negują Holokaust, ile krytykują jego wykorzystanie w celach politycznych. Takim ostracyzmem środowiska naukowego objęto prof. Normana Finkelsteina, autora książki „Przedsiębiorstwo Holocaust".

REZOLUCJA ONZ

20 stycznia 2022 r. Zgromadzenie Ogólne ONZ przyjęło rezolucję przeciwko negowaniu Holokaustu i rozpowszechnianiu fałszywych informacji o zagładzie Żydów. Był to efekt współpracy Izraela i Niemiec. Ułatwiło ją to, że zarówno Niemcy, jak i Izrael mają wspólną definicję pamięci o Holokauście. Oba kraje promują tezę, że cierpienie narodu żydowskiego było wyjątkowe, a sprawcy zagłady rekrutowali się z wielu państw. Arkadiusz Radwan w pracy zbiorowej „Prawda historyczna a odpowiedzialność prawna za jej negowanie lub zniekształcanie" nazwał to indywidualizacją ofiary i uniwersalizacją sprawcy.

Motywy stojące za przyjęciem rezolucji przedstawił w swoim wystąpieniu Gilad Erdan, ambasador Izraela przy ONZ. Wskazał on, że wraz ze śmiercią ostatnich ocalałych Holokaust staje się odległym wspomnieniem. Technologie informacyjne i komunikacyjne sprzyjają zaś rozpowszechnianiu „kłamstwa oświęcimskiego". „Negacja Holokaustu rozprzestrzenia się jak rak i to na naszych oczach" – powiedział Erdan. Inną przyczyną rezolucji były reakcje na wprowadzenie obostrzeń epidemicznych. Ministrowie spraw zagranicznych Niemiec i Izraela – Annalena Baerbock i Ja'ir Lapid – wyrazili zaniepokojenie przypadkami „negowania, zakłamywania i rewidowania Holokaustu, jak również aktualnym zjawiskiem porównywania współczesnych sporów politycznych do Shoah. To przede wszystkim nawiązanie do protestów przeciwników szczepień na COVID-19 i obostrzeń pandemicznych, którzy coraz częściej porównują siebie do prześladowanych w czasie wojny Żydów".

Rezolucja ONZ wzywa kraje członkowskie do stworzenia, w ramach ich systemów edukacji, dodatkowych programów nauczania na temat Holokaustu. Wzywa również światowe media do potępiania negacjonizmu. Najważniejszą funkcję w koordynowaniu owych działań przyznano UNESCO. Jest to podwójny sukces dyplomacji izraelskiej. Wszak organizacja ta była dotychczas skonfliktowana z Izraelem, który w 2019 r. wraz z USA opuścił jej szeregi.

Iran jako jedyny wyraził sprzeciw wobec przyjęcia rezolucji. Państwo to konsekwentnie uważa, że Holokaust wykorzystywany jest przez Izrael jako pretekst do okupacji Palestyny i uwypuklanie go powoduje, iż świat nie zwraca należytej uwagi na cierpienie Palestyńczyków, których protektorem czuje się Iran.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

David Irving FOT. WIKIPEDIA

Jean-Marie Le Pen FOT. WIKIPEDIA

NAJBARDZIEJ JASKRAWE PRZYKŁADY „KŁAMSTWA OŚWIĘCIMSKIEGO":

David Irving
Brytyjski historyk skazany został w 2006 r. w Austrii na trzy lata pozbawienia wolności za zaprzeczanie Holokaustowi. Irving przyznał się do winy i stwierdził, że słowa, które wypowiedział w 1989 r. podczas wykładów w Austrii, były kłamstwem. Historyk powiedział wówczas m.in., że komory gazowe w Auschwitz to „bajki".

Mahmud Ahmadineżad
Były irański prezydent wielokrotnie wypowiadał kłamstwa na temat Holokaustu. W 2009 r. oświadczył na antenie państwowej telewizji, że zagłada to „kłamstwo i mit". W związku z falą oburzenia płynącą niemal ze wszystkich stron świata Ahmadineżad przyznał, że Holokaust to fakt, a on sam niezbyt dobrze zna historię. Równocześnie jednak stwierdził, że świadectwa ofiar niemieckich zbrodni to tylko ich „opinie".

Sylvia Stolz
Niemiecka adwokat, która wielokrotnie była skazywana w RFN za kłamstwa na temat zbrodni dokonanych na Żydach. Broniąc swoich klientów (innych niemieckich rewizjonistów), twierdziła, że Holokaust to „wymysł Żydów". Zdaniem Stolz ustawodawstwo RFN było nielegalne, a Niemców cały czas obowiązywać miało prawo III Rzeszy.

Jean-Marie Le Pen
Były wieloletni lider francuskiego Frontu Narodowego kilkukrotnie stawał przed wymiarem sprawiedliwości za kłamstwa na temat zagłady Żydów. Według niego komory gazowe były jedynie „detalem historii". W 2016 r. paryski sąd skazał go za powtórzenie tych słów na 30 tys. euro grzywny. Le Pen twierdził, że miał prawo tak powiedzieć, ponieważ jego zdaniem „taka była prawda".

Ekrima Sa'id Sabri
W latach 1994–2006 pełnił on funkcję wielkiego muftiego Jerozolimy. Wielokrotnie zaprzeczał zbrodni Holokaustu. W 2000 r., podczas wywiadu z włoską gazetą „La Repubblica", został zapytany o zagładę. „Sześć milionów zabitych Żydów? Nic z tych rzeczy, ofiar było o wiele mniej" – powiedział wówczas wielki mufti Jerozolimy. Ekrima Sa'id Sabri dodał też, że jego zdaniem zagłada to „bajka" wymyślona przez samych Żydów.

eprasa.pl c8db3f1bd8

Polska wielka albo podbita

Rafał A. Ziemkiewicz

Jeśli zdamy historyczny egzamin, to może być to moment założycielski Wielkiej Polski – takiej, która jest w stanie być uczestnikiem międzynarodowej gry, a nie tylko przedmiotem i klientem

Żadnych marzeń, panowie – żadne słowa nie pasują lepiej na motto Rzeczypospolitej okrągłostołowej, istniejącej w latach 1990–2022, niż to sławne pouczenie cara Aleksandra. Ta Polska starała się właśnie nie mieć żadnych marzeń, a przynajmniej żadnych marzeń wielkich. „Nie pragnę wcale, byś była wielka, zbrojna po zęby, od morza do morza… Chcę tylko domu w twoich granicach" – śpiewał jeszcze w czasach PRL jeden z bardów i te słowa doskonale oddawały horyzont marzeń pokolenia, które wydało michnikowszczyznę: jego politycy ujęli to w postulacie „finlandyzacji" i choć historia podarowała im do zagospodarowania znacznie więcej, przez nikogo nieprzeczuwaną niepodległość, to mentalnie nigdy poza ten skromny program nie wyszli.

Pokolenie następne, przez michnikowszczyznę wychowane, nauczone zostało śnić już tylko o „dołączeniu do Zachodu", rozumianego przede wszystkim jako świat dobrze zaopatrzonych hipermarketów, łatwego kredytu i swobodnych obyczajów. Ochoczo podchwyciło więc rozmaite ukute przez michnikowszczyznę mity. Że nastąpił koniec wszelkich „ideologii" i liczy się wyłącznie pragmatyzm, że najlepiej „nie robić polityki", by za to mieć „ciepłą wodę w kranie", że kapitał nie ma narodowości, a państwa – swych narodowych bądź mocarstwowych interesów, ba, że w ogóle polityki już nie ma i próby kultywowania jakiejkolwiek polskiej myśli strategicznej to „myślenie w kategoriach XIX-wiecznych". Przyszedł nowy świat, świat demoliberalnego końca historii, w którym, jak w propagandowej bajce Jana Brzechwy, „nikt nikogo nie napada, nikt na nikim nie zarabia", i nie pozostaje nic poza „implementowaniem" zachodnich wzorców i dyrektyw oraz, oczywiście, dorabianiem się.

Nie był to na szczęście czas całkowicie dla Polski stracony: zanik politycznych ambicji szedł w parze z eksplozją polskiej przedsiębiorczości i niespotykanym rozwojem. Według niedawnego rankingu Forum Gospodarczego w Davos spośród 25 badanych najbardziej rozwiniętych

eprasa.pl c8db3f1bd8

Prezydent Andrzej Duda i wiceprezydent USA Kamala Harris podczas spotkania w Polsce 9 marca FOT. JAKUB SZYMCZUK/KPRP

gospodarek świata Polska jest drugą pod względem osiągniętego w ostatnich 30 latach wzrostu. Ustępujemy pod tym względem tylko Chinom.

Trzeba jednak dodać, że ten historyczny sukces okupiony został wielkimi stratami na innym polu: praktycznym rozpadem wspólnoty narodowej. Reformy MFW i Jeffreya Sachsa, u nas kojarzone z nazwiskiem Leszka Balcerowicza, uruchomiły proces odejścia kraju od założycielskiego mitu „Polski Solidarnej" ku praktyce „Polski Samoobronnej". Ta druga postawa, w największym skrócie dająca się streścić cytatem ze starej piosenki: „Nieważne, czyje co je, ważne to je, co je moje", wbrew medialnemu stereotypowi cechuje nie tylko Lepperowskie chłopstwo, ale przede wszystkim właśnie lewicowo-liberalne, wielkomiejskie elity (kiedyś, wykorzystując lansowane przez ich własnych wyrazicieli określenie „Fajna Polska", nazwałem je „fajnopolactwem" – co zabawne, słowo to używane jest dziś przez krytykujących „libków" publicystów lewicy, zapewne nieznających jego pochodzenia).

Otwarta wrogość wobec polskości, tradycji patriotycznej i narodowych mitów oraz przeniesienie swej lojalności na rzekomo „wyższą", a w istocie abstrakcyjną, a więc niczego niewymagającą wspólnotę „europejskości", stanowiące podstawę tożsamości „antypisowskiej", są konkretyzacją charakterystycznej dla elity III RP niechęci do narzucania jej jakichkolwiek zobowiązań wobec jakiejkolwiek wspólnoty w ogóle. Mental pogardy dla „starych, gorzej wykształconych i z mniejszych ośrodków", czyli „hołoty kupionej za »500+«", maskowany na poły religijnym kultem „dawania na WOŚP" i Owsiaka, darwinistyczna postawa: „Jesteś biedny? – cóż, trzeba było się dorobić" i wszystko, co z niej wynika, będą teraz jednym z największych problemów w staraniach o Wielką Polskę.

POLSKA JAKO WAGONIK

W każdym razie w polskim zaścianku, chwilowo nasyconym, uśpionym bajkami o końcu historii i onieśmielonym przez swoje postkolonialne i prowincjonalne kompleksy, nikt nie czuje dumy z zaświadczonego rankingami Davos rozwoju ani nie zwraca uwagi na udowodniony w ten sposób potencjał. Inaczej jest w Niemczech i Rosji. Częścią neobismarckowskiej polityki Angeli Merkel, obliczonej na odbudowanie dominacji Niemiec nad Europą, oparte na politycznym sojuszu z Rosją i na rosyjskich surowcach energetycznych, było również zapobieżenie uzyskaniu przez nadspodziewanie szybko rozwijającą się Polskę pozycji politycznego podmiotu na miarę tego potencjału i zapobieżenie promieniowaniu polskiego sukcesu gospodarczego na wschód, śmiertelnie niebezpiecznemu dla rosyjskiej mocarstwowości. Tę część geopolitycznego dealu wzięły na siebie Niemcy, z użyciem quasi-państwowego instrumentarium Unii Europejskiej. Pod pozorem „ratowania klimatu" i „zacieśniania integracji", wiodącego ku przekształceniu UE z organizacji państw w „stany zjednoczone Europy", Polska miała zostać trwale sprowadzona do roli jednego z wagoników w pociągu prowadzonym przez niemiecką lokomotywę i maszynistów urzędujących w Brukseli, ale wyznaczanych w Berlinie.

Nasze elity polityczne, zarówno te z PO, jak i, acz mniej entuzjastycznie, te z PiS, wpisały Polskę w powyższy plan, akceptując jego kluczowe punkty: dekarbonizację kraju przy jednoczesnym zaniechaniu starań o własną energetykę jądrową, uzależnienie od rosyjskiego gazu (perspektywicznie: wodoru) dystrybuowanego przez Niemcy, mechanizm „pieniądze za praworządność", stłamszenie rodzimego rolnictwa etc. Wydawało się, że ubiegłoroczne porozumienie Merkel-Putin, zawarte pod auspicjami prezydenta USA Bidena, przewidujące stopniowe wycofanie Ameryki z Europy i oddanie jej pod zarząd sprzymierzonych z Rosją Niemiec, na długo zatrzasnęło wieko nad nowym europejskim porządkiem, stworzonym według niewysłuchanych w swoim czasie wskazań „żelaznego kanclerza".

Skoro tyle cytuję tu bardów z czasów mej młodości, to sięgnę po jeszcze jedną starą balladę – o tym, że gdy marzymy tylko o tym, by pić młode wino i zatrzymać czas, „historia znów zapuka nam do drzwi – pięścią nieproszonych gości". Nieco tylko uściślając metaforę: historia właśnie nie tyle nam „zapukała do drzwi", ile wywróciła stolik, na którym toczyła się gra zmierzająca nieuchronnie do tak bardzo dla Polski niekorzystnego finału.

Kto właściwie i dlaczego to zrobił, pozostaje tematem na inne zupełnie dociekania. Być może Putin potrzebował wojny, by ratować swój zagrożony tron, być może czując na karku siódmy krzyżyk, dał upust szaleństwu i zapragnął zapisać się w historii jako odnowiciel imperium, a być może jest coś na rzeczy w twierdzeniach modnego na polskiej prawicy prof. Mearsheimera, że został do agresji sprowokowany przez USA (faktem jest, że bez cichego wyszkolenia i dozbrojenia Ukrainy oraz wsparcia wywiadowczego przekłucie propagandowego balonu o militarnej potędze Rosji nie byłoby możliwe). Pewne jest tylko to, że wraz z ukraińskimi miastami legła w gruzach cała opisana wyżej neobismarckowska konstrukcja. Przede wszystkim zdemaskowany został cynizm polityki niemieckiej. Najboleśniej doświadczyli tego Ukraińcy, przez ostatnie lata utrzymywani w przekonaniu, że to Niemcy właśnie są ich głównym protektorem, ci tymczasem zagrali wedle starego pruskiego wzorca, dokładnie tak jak w XVIII w. Fryderyk II, który zaoferował nam „protekcję" przeciwko Rosji, by podbić swą cenę i za zmianę sojuszy

eprasa.pl c8db3f1bd8

wytargować od carycy swój kawałek Rzeczypospolitej. „Pięć tysięcy hełmów", które bodaj w końcu na Ukrainę nie dotarły, i zbutwiałe rakiety z zapasów NRD, których wysłać się nie dało, bo skorodowały już zanadto, by je w ogóle ruszać, na długi czas pozostaną wymownymi symbolami germańskiej zdrady.

NOWY PARTNER DLA USA – POLSKA

Jest nie tylko to powód do moralnego potępienia, które w polityce ma instrumentalne jedynie znaczenie, lecz także utrata przez Niemcy wiarygodności jako politycznego partnera. USA, które z kolei w obecnym rozdaniu udowadniają, że ogłaszanie śmierci „światowego żandarma" po jego ucieczce z Afganistanu było grubo przedwczesne, powinny szukać w Europie nowego partnera. I tym partnerem musi być postulowana tu Wielka Polska. Jako lider i broker interesów obszaru Trójmorza, a bardziej jeszcze jako przyszły lider Europy Środkowej, odbudowujący jako wspólną strefę wolności gospodarczej i cywilizacyjnego rozwoju obszar pojagielloński i wypychający zeń Rosję.

Innym symbolem tego, co się dzieje, jest Charków. Miasto uważane zawsze za bodaj najbardziej rosyjskie na całej Ukrainie, zmiażdżone rosyjskimi rakietami, w którym nikt dzisiaj nie powie już ani słowa po rosyjsku. Chcąc nie chcąc, Ukraina została wspólnym wysiłkiem niemieckiej zdrady i rosyjskiego bandytyzmu wepchnięta w ramiona Polski. Podobnie stanie się w przewidywalnej przyszłości z Białorusią, gdzie reżim nie przetrwa przecież ani dwóch dni po upadku Putina i gdzie polskie impulsywne poparcie dla stłumionej rewolucji, krytykowane za brak politycznego realizmu, może okazać się w nowej architekturze geopolitycznej trafną inwestycją z długoterminowym zwrotem.

Niemcy i inspirowana przez nich eurokracja, której polskim głosem jest lewicowo-liberalna opozycja skupiona wokół Tuska, po krótkiej dezorientacji wydają się zrywać do rozpaczliwej próby wymuszenia na Polsce poddania się suwerenności projektowanego „państwa europejskiego". Widać wyraźnie, że zwyciężyło tam przekonanie, iż napływ milionów uchodźców i zawirowania na rynku walut, surowców energetycznych oraz kredytów stanowią niepowtarzalną okazję, by, używając argumentu „zagłodzenia", rzucić szybko nasz kraj na kolana i wymóc podporządkowanie się unijnej „praworządności". To oczywiście oznacza pogłębienie polskich kłopotów, ale perspektywicznie otwiera szansę skompromitowania Europy w oczach Polaków i wyleczenia ich z baraniej wiary „fajnopolactwa", że nie ma dla Polski innej przyszłości niż bezwzględne podporządkowanie „starszym braciom" z Zachodu.

Aby wyjść z próby zwycięsko, musimy szybko przebudować wszystkie dziedziny życia, aż do polityki historycznej i narracji tożsamościowych

Przed Polską jest wiele problemów i wyrzeczeń, ale reakcje na nie „prawicowych" elit pozostają na razie zadziwiająco skarlałe (o ujadaniu obitej przez rzeczywistość neotargowicy „Europejczyków polskiego pochodzenia" szkoda tu nawet pisać). Jedni sycą się satysfakcją z faktu, że Lech Kaczyński i Jarosław mieli rację, trafnie zapowiadali, świat musi dziś to przyznać etc., i najwyraźniej zamierzają się tak nasładzać, aż polskie pięć minut w światowej polityce, wywołane wojną, minie. Inni labidzą nad rujnującymi skutkami benzyny po 10 zł za litr i dolara po 5 zł, nad kosztami utrzymania uchodźców i potencjalnym paraliżem służby zdrowia oraz innych służb państwowych i z zajadłością typową dla ludzi, którzy nie potrafiąc ogarnąć szerszego obrazu, skupiają całą uwagę na detalach, pastwią się nad każdym potknięciem organizacyjnym PiS czy żenującą próbą przemycenia w specustawie o uchodźcach „bezkarności urzędniczej".

WYKORZYSTAĆ MOMENT

W istocie jest to czas, kiedy trzeba uświadomić sobie, że koszty, które musimy ponieść – i nie mamy i tak możliwości ich uniknąć – powinny być poniesione nie w imię abstrakcyjnej „słuszności", a w imię przyszłych zysków. Skarlałe, skromne marzenie pokolenia michnikowszczyzny o pokornym ssaniu unijnego cyca i moszczeniu się na niemieckim przypiecku, mówiąc brutalnie, szlag trafił. Trzeba wykorzystać ten moment do stworzenia polityki zupełnie innej. Przede wszystkim do odbudowania przedsiębiorczości i rynku pracy – na imigrantów patrzeć trzeba jak na ludzi gotowych współtworzyć wspólny dobrobyt, a nie tylko klientów opieki społecznej; w związku z czym trzeba już teraz, według sprawdzonych wzorców, rozwinąć system włączania ich w polskie życie publiczne. Wojna za naszą wschodnią granicą (oby tylko „za") jest okazją do wycofania się przez obecny rząd z twarzą z etatystycznych i „urawniłowkowych" zapędów Polskiego Ładu na rzecz polityki prorozwojowej, proinnowacyjnej, uwolnienia gospodarki i umożliwienia jej uczestnictwa w odbudowie zniszczonego wojną wschodu. Aby wyjść z próby zwycięsko, musimy szybko przebudować właściwie wszystkie dziedziny życia publicznego, aż do – last but not least – polityki historycznej i naszych narracji tożsamościowych.

Czy możemy? Wspominałem już o obliczeniach Forum Gospodarczego w Davos. Dodajmy, że przed wybuchem wojny Polska wymiana handlowa z Niemcami była trzy razy większa niż wymiana handlowa Niemiec z Rosją. A wymiana handlowa Niemiec z krajami Grupy Wyszehradzkiej, łącznie, o jedną trzecią większa niż ich obroty z Chinami.

Dlaczego zatem nikt w Unii nie liczy się z Polską i jej potencjalnym regionalnym zapleczem, a wszyscy nadskakują Rosji i Chinom? Odwróćmy to pytanie: A dlaczego mieliby się z nami liczyć, jeśli nam samym do głowy od 30 lat nie przyszło, że ktokolwiek się z nami liczyć powinien?

Marzenie o Wielkiej Polsce, czyli, mówiąc językiem współczesnym, „odzyskaniu sprawczości", nie jest romantyzmem ani megalomanią. Jest uświadomieniem sobie twardego uwarunkowania naszego państwowego bytu. Wyjąwszy krótkie chwile dobrej koniunktury, Polska nie jest w stanie przetrwać jako państwo wyzute z ambicji i małe. Nie możemy być Węgrami ani Czechami. Nie w tym punkcie mapy. Jeśli nie chcemy być wielcy – to nie chcemy być w ogóle. Jeśli, jak kusi współczesna targowica, zechcemy sprzedać narodowe interesy, wolność i suwerenność za bezpieczeństwo i dobrobyt, to nie będziemy mieli ani wolności, ani dobrobytu. Taka właśnie jest lekcja, którą w tej chwili odbieramy.

Aby raz jeszcze posłużyć się słowami przywoływanej już starej ballady: „Historia zrobi bohaterów z nas albo zrobi z nas naleśnik". Trzeciej opcji nie ma, ucieczki przed historią – również.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8db3f1bd8

O szanse pokoju

Marek Jurek

Wojny na Ukrainie nie można traktować jako „nie naszej", skoro jej przebieg i wynik mają bezpośredni wpływ na bezpieczeństwo Polski

W XVIII w. Polska nie brała udziału w konfliktach międzynarodowych i przemianach geopolitycznych. Kończyła się rywalizacja francusko-habsburska, Prusy zdobywały Śląsk, Rosja uzyskiwała dostęp do Bałtyku. Polska od tych konfliktów się izolowała. Skończyło się to dla Rzeczypospolitej fatalnie.

W miarę swych możliwości mamy obowiązek wpływać na wydarzenia, nie tyle ze względu na emocje, które budzą, ile na konsekwencje, które niosą. Oczywiście nie należy też lekceważyć względów ludzkiej solidarności, nawet jeśli w polityce ustępują często interesom. Patrząc jednak na tę wojnę, musimy cały czas myśleć o następstwach, jakie przyniesie Polsce. Cel pierwszy więc to uniknięcie trwałej okupacji rosyjskiej na Ukrainie. Cel drugi – zatrzymanie katastrofy humanitarnej, która w tej chwili bezpośrednio nas dotyka. Cel najważniejszy to zmniejszenie ryzyka przyszłej agresji rosyjskiej na Polskę.

POŻYTKI I GRANICE PRZYMIERZY

Izolacjoniści często powołują się na argument 1939 r. Należy o nim zawsze pamiętać i należy go dobrze rozumieć. Nasi alianci wypowiedzieli wprawdzie Niemcom wojnę, ale nie podjęli działań wojennych, do których się zobowiązali. Państwa bałtyckie, które nie miały zabezpieczeń sojuszniczych, wyszły jednak z wojny znacznie gorzej. Skończyły jako republiki sowieckie.

Sojusze nie zastąpią obrony, są tylko wartością dodaną, często jedynie gwarancją umiędzynarodowienia konfliktu. To wcale niemało. Przy czym państwo, które zakłada, że zostanie w całości obronione przez sprzymierzeńców, które zapomina, że niepodległości broni się przed wrogami, a niezależności przed sojusznikami, traci kontrolę nad własną przyszłością.

Jak pisałem tydzień temu w „Do Rzeczy" – nawet jeśli w wypadku konfliktu globalnego państwa NATO (być może przy bardzo ograniczonym udziale zajętych na innych frontach Amerykanów) rozpoczną wojnę w obronie Polski, to nie wiadomo, czy będą ją kontynuować, gdy „ceną" deeskalacji będzie akceptacja „tymczasowej" okupacji Suwałk, Elbląga i Łomży. Całość naszych granic zależy w ogromnym stopniu od zdolności odparcia pierwszego uderzenia wroga i szybkiego stłumienia działań dywersyjnych na naszym terytorium, ale przede wszystkim – od przywrócenia i zachowania pokoju w Europie.

Sojusze nie zastąpią obrony, są często jedynie gwarancją umiędzynarodowienia konfliktu

LEKCJA TURECKA

Nie należy przeciwstawiać obrony i dyplomacji. Turcja daje doskonały przykład działania na obu tych płaszczyznach. Już w styczniu, we wczesnej fazie koncentracji wojsk rosyjskich na granicach Ukrainy, prezydent Erdoğan zaprosił prezydentów Rosji i Ukrainy do Ankary. Zaoferował własną mediację, która wtedy nie została podjęta. Jednocześnie zapowiadał pomoc dla Ukrainy w wypadku konfliktu i pełną solidarność ze sprzymierzeńcami z NATO. Turcja już wcześniej sprzedała Ukrainie drony Bayraktar, które były głównym narzędziem azerskiego zwycięstwa w ostatniej wojnie w Górskim Karabachu. Ich nowe dostawy – jak twierdzi kmdr Maksymilian Dura – mogłyby zasadniczo wpłynąć na przebieg wojny.

Turcy zachowali nie tylko instrumenty presji, lecz także możliwości dyplomatyczne, bo było i jest jasne, że zabiegają przede wszystkim o bezpieczeństwo regionalne, własne i Ukrainy. To może mniej atlantycka polityka, ale za to znacznie bardziej ludzka i bardziej efektywna. W czwartek bowiem doszło do podjęcia rozmów w Antalyi między ministrami spraw zagranicznych Turcji, Ukrainy i Rosji. Na najwyższym do tej pory poziomie, z mediacją wiarygodnego państwa trzeciego, poza obszarem działań wojennych. Prowadzący mediację Mevlüt Çavuşoğlu, minister spraw zagranicznych Turcji, uznał je za „ważny początek" i techniczny krok do przesądzających rozmów na jeszcze wyższym szczeblu. Czas pokaże, czy to jedynie dyplomatyczny optymizm. W każdym razie Turcja pracuje dla pokoju.

Nasze władze chciały prowadzić politykę prometejską. Premier Morawiecki mówił, że jesteśmy „reżyserem sankcji". Wicemarszałek Terlecki zapewniał Ukraińców, że „nie wyobraża sobie NATO bez Ukrainy". Ale skoro nawiązują do szkoły, to warto zapytać o mistrza: Czy taką politykę prowadziłby Piłsudski? Zapewne, jak zawsze, testowałby partnerów. Mógłby nawet zapowiedzieć, że Polska udzieli pełnego wsparcia Ukrainie, w takich formach i przede wszystkim w takich proporcjach jak zaangażowanie USA i NATO. Deklaracja rządu „o gotowości przeniesienia wszystkich polskich migów do Ramstein, do dyspozycji Stanów Zjednoczonych", z apelem „do innych państw o podobne działanie", to pierwszy przykład takiego realizmu. Demonstracja gotowości daleko idącego zaangażowania, z zachowaniem świadomości, że nasze decyzje nie mogą zastępować ani uchylać odpowiedzialności innych. Oby po tym pierwszym znaku zrozumienia ceny wojny przyszedł czas na konkretne myślenie o przyszłym pokoju. ©℗

eprasa.pl c8db3f1bd8

FOT. RICCARDO MUSACCHIO/VATICAN POOL/EAST NEWS

Ratzinger pod pręgierzem

Tomasz Rowiński

Przypadki oskarżeń skierowanych wobec Benedykta XVI powinny zostać szczegółowo zbadane. Bez tego sprawa zakończy się nie sprawiedliwością, a medialnym samosądem

Sprawa oskarżeń, które w ostatnich tygodniach były kierowane pod adresem Benedykta XVI, jest z jednej strony złożona, a z drugiej jednak dość prosta. Nie ulega bowiem wątpliwości, że posłużyła ona licznym przeciwnikom papieża emeryta, by zarówno zdyskredytować jego dzieło duchowe czy intelektualne, jak i podważyć rzeczywiste aktywne zaangażowanie tej wybitnej postaci świata katolickiego w sprawy osób pokrzywdzonych z powodu przemocy seksualnej w Kościele.

Równocześnie jednak reakcja Benedykta XVI i jego współpracowników na niezwykle obszerny raport kancelarii Westpfahl Spilker Wastl (WSW), opublikowany 20 stycznia br. i opisujący zaniedbania w zakresie przypadków przemocy seksualnej w diecezji monachijskiej, była rzeczywiście nieudolna. Do tego stopnia, że wielu ludzi mediów i ich odbiorcy, a także zapewne liczne grono katolików nabrali przekonania, że papież emeryt kłamał. Na podstawie zamieszania wynikającego z błędów faktograficznych zawartych w memorandum wydano liczne publicystyczne wyroki dotyczące meritum sprawy, czyli tego, czy kard. Ratzinger tuszował przestępstwa seksualne. To oczywiście nieuprawnione przeniesienie. Nawet gdyby Ratzinger skłamał dziś, nie znaczy to, że ukrywał przestępstwa seksualne na przełomie lat 70. i 80.

Warto więc teraz, gdy widzimy już stosunkowo pełne spektrum okoliczności ataku na Benedykta XVI, zrekonstruować przebieg sprawy, a także spróbować odpowiedzieć na niektóre pytania. Po pierwsze, jak to możliwe, że w przygotowywanym przecież przez prawników-kanonistów, abp. Georga Gansweina i wreszcie samego papieża seniora, dokumencie wyjaśniającym znalazł się niedopuszczalny błąd faktograficzny, i po drugie, jaka jest odpowiedzialność papieża seniora wobec oskarżeń WSW.

SKUTKI NIEKOMPETENCJI SPRZED LAT

Oskarżenia dotykające lat posługi Ratzingera jako ordynariusza Monachium (1977–1982) dotyczyły przede wszystkim sprawy ks. Petera H. z diecezji Essen i tego, czy kard. Ratzinger udzielił mu „schronienia" na swoim terenie, wiedząc o jego pedofilii. Peter H. trafił do Monachium dlatego, że miał – na prośbę swojego ordynariusza – odbyć tam psychoterapię. Sprawę rzetelnie relacjonował na portalu Więź świetnie znający realia niemieckiego Kościoła Tomasz Kycia. „Podczas posiedzenia rady administracyjnej archidiecezji monachijskiej 15 stycznia 1980 r. zapadła decyzja o przyjęciu tego kapłana. Raport jednak – cytując protokół ówczesnego posiedzenia – nie wykazuje jednoznacznie, ani że na temat ks. Petera H. odbyła się wtedy jakakolwiek dyskusja, ani że uczestnicy tego spotkania wiedzieli, iż przyjmują człowieka stwarzającego zagrożenie" – pisał Kycia w artykule „Czy Benedykt XVI, »współpracownik prawdy«, kłamał?" opublikowanym 31 stycznia br.

Informację o tym, że ks. Peter H. może być niebezpieczny, przed 15 stycznia 1980 r. posiadał – wedle relacji Tomasza Kyci – tylko ks. Gerhard Gruber, wikariusz diecezjalny w Monachium. On jednak na samym feralnym spotkaniu nie był obecny. Gruber przekazał uczestnikom jedynie zdawkową notę o prośbie diecezji Essen, nie podał jednak szczegółów sprawy, które z dzisiejszej perspektywy wydają się być najważniejsze. Obrona przed insynuacjami mówiącymi o „karygodnej odpowiedzialności Ratzingera za przebieg zdarzeń z roku 1980" byłaby o wiele prostsza, gdyby nie faktograficzna niekompetencja osób,

eprasa.pl c8db3f1bd8

które przygotowywały wspomniane już memorandum.

Według raportu WSW kard. Ratzinger na omawianym spotkaniu był obecny, a jednak – co wywołało konfuzję komentatorów i publiczności – w memorandum kanonistów podpisanym przez Benedykta XVI wielokrotnie temu faktowi zaprzeczono. Okoliczność ta została natychmiast wykorzystana do nowej fali oskarżeń – tym razem o kłamstwo – które miały oczywiście wzmacniać wiarygodność zarzutów mówiących o chronieniu przez Ratzingera przestępców seksualnych. Sprawa rzekomego kłamstwa jednak od początku wydawała się dziwna. W wydanej w roku 2020 bardzo obszernej biografii Josepha Ratzingera/Benedykta XVI, której autorem jest Peter Seewald, dziennikarz od lat współpracujący z papieżem seniorem, spotkanie i sprawa ks. H. zostały dość dokładnie opisane. I tam obecność kard. Ratzingera na diecezjalnej radzie administracyjnej nie była kwestionowana. Nie jest wielką tajemnicą, że to, co pisze Seewald, zwykle jest przez papieża emeryta autoryzowane. Nie ma podstaw sądzić, że tym razem było inaczej. I faktycznie, 24 stycznia br. Benedykt skorygował treść memorandum, mówiąc równocześnie, że doszło do błędu redakcyjnego. Zapowiedział też publikację obszerniejszego odniesienia ze swojej strony.

Rzecz jasna, nie wyjaśniło to wcale sprawy, wręcz podgrzało jeszcze nastroje. Widok papieża plączącego się w zeznaniach trzeba było uznać za – w najlepszym razie – wizerunkową wpadkę. Dla innych było to po prostu potwierdzenie winy. Była to wpadka bardzo poważna, wydatnie pomagająca licznym autorom, szczególnie w Niemczech, w publicznym demontażu dzieła życia Benedykta XVI. Dzieła, którego ważną częścią pozostawała praca na rzecz ofiar przemocy seksualnej.

Sprawa uzyskała pewnego rodzaju wyjaśnienie 8 lutego br., kiedy oświadczenie wydali prawnicy, do których o pomoc w zredagowaniu odpowiedzi na raport WSW zwrócił się papież emeryt. „Prawnicy przyznają, że to oni przez pomyłkę wprowadzili do memorandum tę nieprawdziwą informację. Szczegółowo opisują, jak do niej doszło, przypominając, że tylko jeden z nich uzyskał dostęp do liczących niemal 8 tys. stron akt i to wyłącznie w formie elektronicznej. Mógł się z nimi skonsultować, ale nie mógł ich drukować czy skanować. Prawnicy zapewniają, że w tej sprawie nie konsultowali się z Benedyktem XVI" – relacjonował Krzysztof Bronk z Vatican News. Sprawę bardziej szczegółowo, ale nieco inaczej przedstawił abp Ganswein. Sekretarz papieża emeryta wziął na siebie odpowiedzialność za błąd w memorandum. „Kiedy [Benedykt XVI – przyp. T.R.] zapytał mnie: »Czy to prawda, że nie byłem obecny [na spotkaniu – przyp. T.R.]?«. [Odpowiedziałem] »Tak, tak jest napisane, tak mówią akta«. I to było błędem".

Nawet gdyby ustalono jakiś rodzaj winy Ratzingera, różnica między świadomym ukrywaniem a choćby nieumyślnym zaniedbaniem obowiązków jest kolosalna

PYTANIA O INTENCJE

Można wobec powyższego zapytać o intencje prawników z WSW ograniczających dostęp do tekstu przedstawicielom osoby, którą zamierzali obciążyć oskarżeniami. To zresztą problem – można powiedzieć fundamentalny – wielu raportów, którym nadaje się niezwykły, niemal rozstrzygający autorytet z powodu ich tzw. niezależności. Tymczasem ich metodologia niejednokrotnie pozostawia wiele do życzenia. Zwróciła na to uwagę Paulina Guzik w tekście „Lekcje Ratzingera" opublikowanym 14 lutego br. na portalu deon.pl. „Zarówno papież emeryt, jak i Jan Paweł II mieli żelazną zasadę, że każdy zasługuje na uczciwy proces. A jeśli w stan oskarżenia stawia się byłego papieża, to uczciwie należałoby dać mu dostęp do akt, aby wiedział, do czego dokładnie ma się odnosić [...]. Raporty takie jak monachijski mają ukazać prawdę, poszukując jej jednak, nie można karykaturalnie traktować śledztwa, a takim jest niepoważne traktowanie człowieka, którego konsekwentne działania doprowadziły do tego, że takie śledztwa są w ogóle dzisiaj możliwe".

Tego samego dnia, w którym pojawiło się oświadczenie prawników papieża seniora, Benedykt XVI opublikował list wieńczący sprawę osobistą i teologiczną refleksją. Określił w nim również zakres własnej odpowiedzialności. „We wszystkich moich spotkaniach, zwłaszcza w czasie moich licznych podróży apostolskich, z ofiarami nadużyć seksualnych popełnianych przez kapłanów patrzyłem w oczy konsekwencjom bardzo wielkiej winy i nauczyłem się rozumieć, że my sami jesteśmy wciągani w tę bardzo wielką winę, kiedy ją lekceważymy lub kiedy nie stawiamy jej czoła z konieczną stanowczością i odpowiedzialnością, jak to się nazbyt często działo i dzieje. Podobnie jak podczas tamtych spotkań po raz kolejny mogę jedynie wyrazić wszystkim ofiarom wykorzystywania seksualnego mój głęboki wstyd, mój wielki ból i moją szczerą prośbę o przebaczenie. Niosłem wielką odpowiedzialność w Kościele katolickim. Tym większy jest mój ból z powodu nadużyć i błędów, które miały miejsce w czasie sprawowania przeze mnie posługi w poszczególnych miejscach. Każdy przypadek wykorzystywania seksualnego jest straszny i nie do naprawienia. Ofiarom wykorzystywania seksualnego składam wyrazy najgłębszego współczucia i ubolewam nad każdym poszczególnym przypadkiem" – napisał papież emeryt.

POTRZEBNA OSTROŻNOŚĆ

Sprawa ks. Petera H. i pozostałe przypadki oskarżeń skierowanych wobec Benedykta, co do których raport nie dostarcza dowodów, a jedynie – według opinii kanonistów papieża seniora – mówi o „przypuszczeniach i wysokim prawdopodobieństwie", powinny oczywiście zostać szczegółowo zbadane dla dobra wszystkich zaangażowanych w sprawę. Bez tego sprawa zakończy się nie sprawiedliwością, a medialnym samosądem. Rozpoznawanie stopnia odpowiedzialności jest także elementem procesu przywracania sprawiedliwości, nie wystarczą samo oskarżenie i empatia wobec ofiary.

Nawet gdyby ustalono jakiś rodzaj winy Ratzingera – do tego potrzebny byłby proces – różnica między świadomym ukrywaniem, a choćby nieumyślnym zaniedbaniem obowiązków jest kolosalna. Dziś, gdy często w bardzo poważnych sprawach przestępstw seksualnych oraz ich ukrywania króluje moralne oburzenie, zupełnie się o tym zapomina. Od niesławnego przypadku fałszywie oskarżonego i niesprawiedliwie więzionego kard. Pella opinia publiczna, a publicyści tym bardziej, powinna zachowywać wiele ostrożności, zanim wyda jednoznaczny wyrok.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8db3f1bd8

Jakie piękne carobójstwo

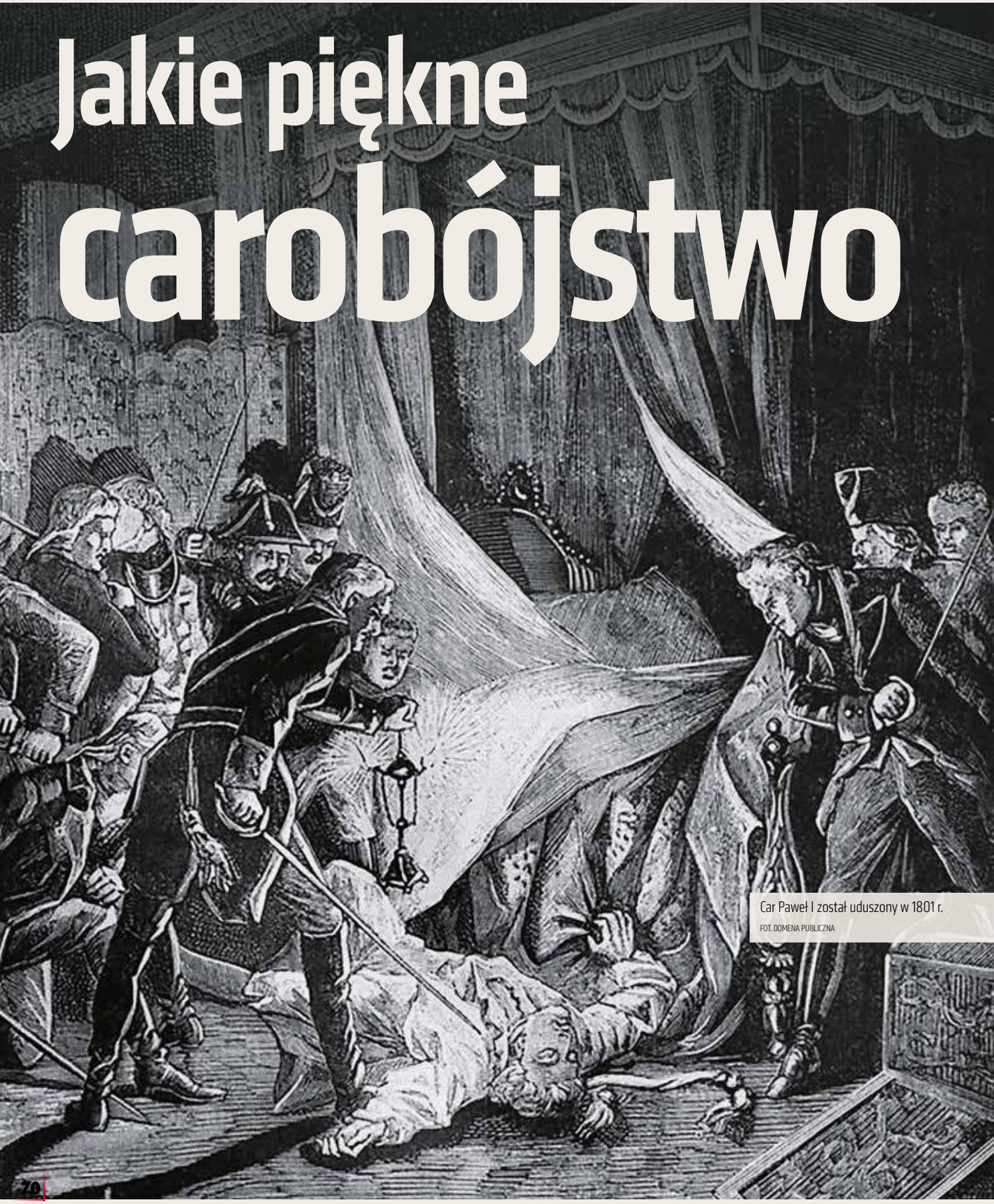

Car Paweł I został uduszony w 1801 r.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl c8db3f1bd8

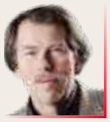

Maciej Rosalak

Obecny władca Kremla najbardziej boi się zapewne zamachu na swoje życie. Ma powody. Ma też przykłady z historii imperium moskiewskiego...

Władimir Władimirowicz Putin sprawia ostatnio wrażenie, jakby był nieco nieswój. Tuż przed atakiem na Ukrainę spotkał się na przykład z prezydentem Francji. Usiadł z jednej strony długiego stołu, a gościa posadził po przeciwnej – daleko, daleko od siebie. Czyżby przypomniał sobie scenę z „Ojca chrzestnego III", gdy podczas wizyty u jednego z mafijnych bossów wysłannik konkurencji, mimo uprzedniej dokładnej rewizji, zabił gospodarza, wsadzając mu w oko jego własne okulary? Choć Emmanuel Macron posturą nie przypomina tamtego zabijaki i konkurencja z niego po prawdzie żadna, to licho nie śpi. Zwłaszcza w pałacu – czy to Kremlowskim, czy Zimowym.

Dwieście sześćdziesiąt lat temu cara Piotra III udusił Aleksiej Orłow, brat Grigorija – kochanka Katarzyny, żony mordowanego cara. Na pytanie wpływowej damy dworu, która 40 lat później martwiła się: „Co zrobić z takim potworem? Przecież się go nie udusi?" – mając na myśli panującego akurat cara Pawła I, syna tejże Katarzyny – Aleksiej odparł ze zdziwieniem: „A dlaczego nie, mateczko?". A był to przecież oficer carskiej gwardii, przybocznej ochrony. Może obecny władca Rosji dokładnie analizuje takie przypadki, wyciąga niepokojące go wnioski i dlatego sadza nawet najbliższych swych podwładnych jeszcze dalej od siebie niż gościa z Paryża. Ostatnio tak posadził generała armii Siergieja Szojgu – było nie było, ministra obrony Federacji Rosyjskiej, którego sam na to stanowisko powołał. Jeszcze dalej od siebie odsunął Siergieja Ławrowa, od 2004 r. szefa resortu spraw zagranicznych FR, godnego następcę Wiaczesława Mołotowa i Andrieja Gromyki – obu ze stalinowskiej szkoły dyplomacji, zmyślnej jak konstrukcja cepa.

Prawie zawsze zamachy na życie władców imperiów – niemal bez wyjątku samowładnych despotów – knuli ludzie z ich najbliższego otoczenia. Tak w Rzymie postradali życie Cezar oraz Neron i Kaligula. Wykonawcami bywali albo pomysłodawcy osobiście, albo żołnierze z formacji przybocznych. Dlatego władcy Rzymu lękali się pretorianów, a Osmanowie ze Stambułu – janczarów. Cesarze bizantyjscy od X do XII w. chętnie najmowali do ochrony Waregów (czyli wikingów) nie tylko dla ich siły i bitności, lecz także dlatego, że jako obcy byli mniej podatni na wpływy rodzimych koterii. Cóż, gen. Szojgu jest etnicznym Tuwińcem urodzonym przy granicy z Mongolią.

I jeszcze ważna cecha ofiar – cesarzy, sułtanów i carów nie można było usunąć ze stanowiska w sposób legalny.

CZAS WIKINGÓW, CERKWI I MONGOŁÓW

Z latopisu Nestora wynika, że pod koniec IX w. „wybrali się trzej bracia z rodami swoimi i wzięli ze sobą wszystką Ruś, i przyszli do Słowien najprzód, i siadł najstarszy, Ruryk, w Nowogrodzie… I od tych Waregów przezwała się ziemia ruska". Skandynawscy wikingowie zwali się bowiem Rusami.

Kijów stał się głównym ośrodkiem rozległego państwa Ruryka dzięki Olegowi – opiekunowi jego syna Igora. Oleg na początek uśmiercił dwóch wikingów, którzy ów gród nad Dnieprem samowolnie zajęli. Potomkiem Igora został w czwartym pokoleniu Włodzimierz Jasne Słoneczko, nazwany Wielkim dzięki podbojowi kolejnych ziem i łupieżczym wyprawom w brutalnym i bezwzględnym stylu wikińskim oraz przyjęciu chrztu z prawosławnego Bizancjum (989 lub 989 r.). O wyborze tego wyznania zadecydowało, wedle kronikarza, imponujące bogactwo obrzędów religijnych, które bardziej przypadło do gustu Włodzimierzowi niż ceremonie katolików, muzułmanów i izraelitów. Ale także pozycja cesarza bizantyjskiego – jako władcy w pełni samowładnego wobec poddanych, z reguły mającego do dyspozycji wsparcie Cerkwi prawosławnej – przypadła do gustu kniaziowi z wikińskim rodowodem.

Aby zostać kniaziem całej Rusi, zamordował on przyrodnich braci – Jaropełka i Olega, którzy nim pogardzali jako zrodzonym z niskiego stanu Maluszy, konkubiny Światosława, tatusia wszystkich trzech. Notabene Malusza została czarownicą i dożyła stu lat. Z Olegiem jej synkowi poszło gładko, ale przed Jaropełkiem sam uciekł do Skandynawii, tam zebrał drużynę, wrócił z nią w 977 r. na Ruś, zdobył liczne grody, z Połockiem, Smoleńskiem i Kijowem, a w 980 r. zgładził Jaropełka.

Kronikarz przechodzi nad zamordowaniem braci do porządku, choć też za mord braci potępi Świętopełka – zięcia Bolesława Chrobrego, do którego Świętopełk uciekł przed zemstą przyrodniego brata Jarosława Mądrego i sprowadził teścia na pomoc. Ten zajął i złupił Kijów, a siostrę Jarosława – Peredsławę, która wcześniej odrzuciła jego konkury – zniewolił. Jej matka, księżniczka połocka Rogneda, odrzuciła niegdyś oświadczyny Włodzimierza (ojcu wytłumaczyła: „Nie chcę rozzuć syna służebnicy"), czym sprowokowała atak Włodzimierza na Połock oraz zabójstwo przezeń jej ojca i dwóch braci. A do Włodzimierzowego łoża trafiła po niewoli…

W połowie XIII w. Batu-chan – wnuk Czyngis-chana – ujarzmił kilkudziesięciu Rurykowiczów mających własne księstwa. Książęta jeździli z hołdami i donosami na krewnych do Saraju, stolicy Złotej Ordy założonej przez Batu-chana w celu uzyskania jarłyku – zgody chana na sprawowanie władzy wielkoksiążęcej – ale nikt tego nie czynił tak przekonująco jak późniejszy bohater narodowy i święty prawosławny Aleksander Newski w latach 40. XIII w. Wszyscy przechodzili przez ogień, aby się oczyścić, i przed władcą Złotej Ordy padali na kolana, ale biada tym, którzy – jak książę Czernihowa Michał – zapominali pokłonić się na południe duchowi Czyngis-chana. Czekały ich trucizna bądź stryczek…

Książę Nowogrodu, a następnie wielkoksiążęcego Włodzimierza – Aleksander – za nieposłuszeństwo wobec Mongołów karał brata i własnego syna, sprowadzał na innych książąt karne, śmiertelne dla nich ekspedycje mongolskie, bezwzględnie ściągał należne chanowi daniny. Jego polityka „łączyła bizantyjską ideę Monomacha i mongolską ideę Czyngis-chana… wykorzystywał i przystosowywał do aktualnych warunków doświadczenia dwóch wielkich imperiów… Rodzi się rosyjska myśl polityczna, pojawiają się czynniki stale obecne w przyszłej polityce Rosji" – pisze w „Historii Imperium Rosyjskiego" Michaił Heller. Wyjaśnia też, że z czasem

eprasa.pl c8db3f1bd8

książęta Moskwy pojęli najlepiej, że tylko pokorna, wierna służba mongolskim panom zapewni im życie i pozycję.

Drogą tą kroczyli potomkowie Aleksandra. Wnuk – książę włodzimierski Iwan I Kalita – w 1328 r. siedzibę wielkoksiążęcą przeniósł do Moskwy, której pozycja wzrastała, natomiast potencjał Złotej Ordy rozszarpanej walkami wewnętrznymi malał. W połowie XV w. zwierzchność tatarską zrzucono ostatecznie. Pozostał mongolski ślad, niezatarty do dziś w mentalności Wielkorusów – tworzenie państwa drapieżnego, żyjącego w znacznej mierze z podbojów, którego poddani są gotowi cierpieć w posłuszeństwie, byle tylko ich władcy powiększali moc imperium.

Po upadku Konstantynopola (1453) Iwan III Srogi ożenił się z Zofią Paleolog, bratanicą ostatniego cesarza Konstantyna XI, i uznał się jego dziedzicem. Moskwę ogłosił nową stolicą prawosławnego świata, „Trzecim Rzymem" ze złotym bizantyjskim dwugłowym orłem w godle oraz bizantyjskim ceremoniałem dworskim, tak lubianym i stosowanym dziś przez Putina. Wielkie Księstwo Moskiewskie zaczęło „zbierać ziemie ruskie", a z czasem następne dookoła. Celował w tym Iwan IV Groźny, pierwszy moskiewski władca, który tytułował się carem. Władimir Władimirowicz idzie za nim wikińsko-bizantyjsko-mongolskim śladem.

SMUTA

O Aleksandrze Newskim i Iwanie IV Józef Stalin kazał Eisensteinowi kręcić panegiryczne filmy. Z Romanowów cenił najbardziej Piotra I oraz Katarzynę II, najbardziej zasłużonych w budowie imperium moskiewskiego. Największym bohaterem Putina jest zaś Iosif Wissarionowicz Stalin. Za rządów wszystkich wymienionych dochodziło do największego terroru wewnętrznego i krwawych zbrodni.

Iwan IV w napadzie szału zabił rodzonego syna – też Iwana – słynną laską okutą żelazem (1581). Stanął on bowiem w obronie brzemiennej żony, którą teść uderzył za to, że chodziła tylko w koszuli (we własnej komnacie, do której nagle wtargnął). Syn umarł, a pobita synowa poroniła. Ów władca zgotował straszny los 15 tys. mieszkańców Nowogrodu podejrzanego o spisek na życie cara. Banda carskich oprycznikow (coś jak NKWD w ZSRS) torturowała ich, rżnęła, rozrywała końmi lub topiła pod lodem w rzece. W całej Rosji ci patologiczni oprawcy wymordowali 100 tys. ludzi, zanim Iwan IV, obsesyjnie lękający się spisków na własne życie, opryczniny (1564–1572) nie rozwiązał. W pamięci ludu rosyjskiego przetrwał jednak jako „dobry car".

Podejrzewano, że jego urodzonego w 1582 r. synka Dymitra kazał zamordować w Ugliczu (1691) Borys Godunow, doradca Iwana IV, sprawujący faktycznie rządy za jego syna Fiodora I Iwanowicza. Po jego bezpotomnej śmierci nienależącego do bojarskiej elity Borysa wybrał na cara (1598–1605) sobór ziemski. Wówczas jego bojarscy oponenci przypomnieli fakt, że po śmierci Iwana IV (1584) maleńkiego Dymitra kazał zesłać wraz z matką do Uglicza właśnie Godunow. W Rosji rozpoczął się okres zamętu – potęgowanego buntami, nieurodzajem, epidemią i walkami o tron – nazwany smutą. I wtedy objawił się nagle „cudownie ocalony" Dymitr Iwanowicz, w rzeczywistości Jurij Bogdanowicz Otrepiew, mnich zbiegły z monasteru, którego wyprawę po moskiewską koronę poparły rody Wiśniowieckich i Mniszchów – ale bez zgody króla Zygmunta III. Ruszyła tam zbieranina kresowych awanturników, z których większość mówiła – jak stwierdza Heller – po rusku (słowa „Ukraina" jeszcze nie znano).

Pięćdziesięciotrzyletni Borys Godunow zmarł nagle 1 kwietnia 1605 r. Podejrzewano nie bez podstaw, że go otruto lub popełnił samobójstwo, a za życia na współrządcę wyznaczył syna Fiodora. Wojewoda Piotr Basmanow, dowodzący wojskiem pod Kromami, na przedpolach stolicy kazał żołnierzom złożyć mu przysięgę jako nowemu carowi. Tak wielka jednak wzrosła niechęć do rodziny Godunowów, a bojarski spisek pod przewodem Wasyla Szujskiego działał skutecznie, że żołnierze armii moskiewskiej albo odmówili walki i uciekli, albo przeszli do obozu „prawowitego cara" Dymitra Samozwańca. Kiedy ten z triumfem wkroczył na Kreml, nieszczęsnego, opuszczonego przez wszystkich Fiodora Borysowicza już tamże uduszono.

W tym gnieździe żmij nasz Samozwaniec też nie miał szans na długie życie. 8 maja 1606 r. odbył się ślub „Dymitra" z Maryną Mniszech, a już nocą z 16 na 17 maja nie kto inny, jak Wasyl Szujski wpuścił podjudzony tłum na Kreml, uprzednio „w imieniu cara" redukując straże. Czy własnoręcznie udusił Samozwańca czy „tylko" kierował akcją, trudno powiedzieć. Zwłoki „Dymitra Iwanowicza" posiekano na kawałki, spalono, a popiół wystrzelono z działa, nie przypadkiem skierowanego na zachód. Kolejnym carem został – no kto? – a któżby inny, jak nie Wasyl IV Iwanowicz Szujski… Tak w Rosji następowała zmiana najwyższej władzy.

Rozpoczęło się panowanie nowej dynastii Romanowów. Po Michale I i Aleksym I (zm. 1676) po władzę na Kremlu sięgały rody Miłosławskich (których córka Maria była pierwszą żoną cara) i Naryszkinów (których córka Natalia była kolejną). Maria urodziła trzech chorowitych chłopców, z których dwóch dość szybko umarło (tylko Fiodor III został carem: 1676–1682), natomiast Natalia wydała na świat chłopca niezwykle silnego i fizyczne, i umysłowo, który jedyny nadawał się na cara. To przyszły Piotr I (1672–1721).

Gdy miał 10, lat klanowi Naryszkinów udało się wprowadzić go na tron z matką jako regentką. Miłosławscy jednak z pomocą buntu strzelców (jakby moskiewskich janczarów) wprowadzili na siedem lat jako regentkę przyrodnią siostrę Piotra – Zofię. Piotr dojrzewał wśród intryg, grozy i śmierci. Gdy w 1689 r. udany przewrót jego z kolei wyniósł do władzy, sprawował ją z brutalnością, okrucieństwem i bezwzględnością, które kosztowały życie tysięcy jego poddanych. Z buntem strzelców w 1698 r. rozprawił się wyjątkowo krwawo, torturując w śledztwie i dokonując egzekucji ok. 1,2 tys. żołnierzy. Pięciu car ściął własnoręcznie toporem. Dalsze dochodzenia i egzekucje trwały do 1707 r.

Rodzony syn Aleksy (ur. 1690) opuścił Rosję i uciekł w 1717 r. do Wiednia. Chciał żyć spokojnie poza ojcowską Rosją, z ukochaną służącą Jefrosiniją. Cesarz Karol VI mu nie pomógł, a carski dyplomata Piotr Tołstoj zdołał go przekonać do powrotu. Piotr I tak bał się spisku przyjaciół carewicza i zamieszek, że trzy bataliony wiernego pułku preobrażeńskiego strzegło go na Kremlu, kiedy dotarł tam konwój z więźniem. Dochodzenie objęło dziesiątki osób, które w nieludzkich torturach ujawniały (zmyślały?) spisek i zdradę. Simon Montefiore opisuje („Romanowowie 1613–1918") rodzaje tortur i kaźni na moskiewskim placu Czerwonym. Biskupa Rostowa z trzema służącymi łamano kołem i pozostawiono z pogruchotanymi kośćmi, by szczeźli. Kochanka pierwszej

eprasa.pl c8db3f1bd8

Piotr III został zmuszony do abdykacji, a potem najprawdopodobniej zamordowany FOT. DOMENA PUBLICZNA

żony cara bito knutem, przypalano i na dwa dni przybito do deski. Doradcę carewicza po połamaniu kołem pozostawiono w mękach, aż Piotr nie chciał już słyszeć jego jęków i kazał ściąć mu głowę. Innego wbito na pal i przykryto futrami, by nie zamarzł i dłużej cierpiał. Aleksego po przewiezieniu do Petersburga przesłuchiwał sam car. Tylu razów, ile dostał knutem, nie wytrzymałby mężczyzna silniejszy od niego (knut to bicz ze splecionych rzemieni na krótkiej rękojeści). Syn błagał o przebaczenie i wydawał kolejnych „spiskowców", aż w końcu wyznał, że namawiał Karola VI do wojny z carem. Zatłuczono go za zdradę na śmierć w Twierdzy Pietropawłowskiej, podobno z udziałem samego cara.

W rzeczywistości Piotr I zamordował pierworodnego następcę tronu zapewne dlatego, że ten miał dosyć jego panowania i chciał zupełnie innej Rosji. Wasilij Kluczewski, autor „Historii Rosji", pisał na początku XX w. o zagadce kwadratury koła, jaką od czasów Piotra I było rosyjskie dążenie do połączenia despotyzmu i wolności, oświaty i niewolnictwa.

KATARZYNA BIERZE WSZYSTKO

Piotr III (1728–1762) miał w sobie krew wielkiego imiennika po matce Annie, a po niemieckim ojcu odziedziczył księstwo Holsztynu. W 1742 r. caryca Elżbieta sprowadziła go do Rosji jako swego następcę, a trzy lata później wydała za niego niemiecką księżniczkę Zofię von Anhalt-Zerbst (1729–1796). Nie miała w żyłach ani kropli krwi Romanowów, ale po jego zamordowaniu potrafiła zająć tron carów jako Katarzyna II. Do męża – oszpeconego ospą, chuderlawego i dziwacznego – czuła bezgraniczną odrazę jako młoda kobieta o wielkim temperamencie. Po urodzeniu syna Pawła (1754) małżonkowie w ogóle zaniechali stosunków małżeńskich i zajęli się – zwłaszcza ona – romansami na boku.

Poddanych wszystkich stanów odstręczała od cara jego pogarda wobec Rosjan, prawosławia i rosyjskiego języka, otaczanie się Niemcami i obsesyjne uwielbienie Prus, pruskiej armii oraz pruskiego króla Fryderyka II. Czarę goryczy przelało po jego intronizacji (1762) natychmiastowe wycofanie armii rosyjskiej z wojny siedmioletniej, gdy po klęsce pod Kunersdorfem Fryderyk II znalazł się w śmiertelnym potrzasku. Podczas siedmiomiesięcznego zaledwie panowania zdołał tym postanowieniem zrazić do siebie armię, a sekularyzacją dóbr kościelnych i uproszczeniem liturgii – Cerkiew prawosławną. Kiedy zaś zapowiedział likwidację gwardii – ferment powstał wśród tych, którzy go chronili.

W wyniesieniu Katarzyny na tron najbardziej znaczący okazał się związek miłosny z Grigorijem Orłowem, oficerem gwardii, bratem trzech innych Orłowów – chłopów na schwał. Spiskowcy mieli już wcześniej plan odsunięcia od władzy Piotra i zastąpienia go ośmioletnim synkiem z Katarzyną jako regentką, ale groźba wykrycia planów skłoniła ich w końcu czerwca 1762 r. do zawiezienia Katarzyny w towarzystwie kochanka do koszar pułku izmaiłowskiego, obudzenia żołnierzy, zmuszenia ich do wznoszenia okrzyków: „Niech żyje cesarzowa!" i zaprzysiężenia wierności Katarzynie na krzyż. A Piotr III zachował się jak przyłapany na złym uczynku chłopiec. Zamiast odwołać się do ludu w stolicy lub – jak radził feldmarszałek Burkhard von Münnich – wsiąść na okręt i udać się do armii w Meklemburgii, uciekł do pałacu w Oranienbaumie pod Petersburgiem i stamtąd napisał pokorny list do zamachowców, w którym prosił o pozostawienie mu „czterech najdroższych rzeczy: skrzypiec, ulubionego psa, służącego Murzynka i kochanki Jelizawiety Woroncowej". Akt zrzeczenia się tronu posłusznie podpisał i otrzymał, o co prosił – poza Woroncową, którą wysłano do Moskwy i wydano za mąż. Ale życiem cieszył się już niedługo: 17 lipca 1762 r. zamordowali go oficerowie gwardii. Udusił go własnoręcznie Aleksiej Orłow – ten, którego rozmowę o łatwości duszenia opublikowałem na wstępie.

Samo istnienie prawowitego cara byłoby groźne dla władzy Katarzyny, niemającej do tego formalnie żadnych uprawnień. W niewyjaśnionych okolicznościach dwa lata po objęciu przez nią władzy wartownicy Twierdzy Szlisselburskiej – wykonując podpisaną przez nią instrukcję – zabili podczas próby uwolnienia prawnuka przyrodniego brata Piotra I – Iwana, też mającego prawa do tronu.

Podobnie jak Piotr III życie stracił syn Katarzyny – Paweł I, który rządził od 1796 do 1801 r. Naraził się szlachcie, zdecydowanie ograniczając jej przywileje, wojsku – odziewając je w pruskie mundury i znieważając oficerów, Cerkwi – sympatią darząc Kościół katolicki.

Pracował w pośpiechu, wydając bez przerwy nowe przepisy. Heller obliczył, że „w ciągu 1568 dni sprawowania władzy wydał 2179 manifestów, dekretów, rozporządzeń i innych aktów wykonawczych, dwa razy więcej niż Katarzyna przez 34 lata swych rządów". Sprawił, że całe otoczenie miało go dosyć, bało się go, ale i zeń drwiło. Narodził się spisek, którym kierował gubernator Petersburga i szef tajnej policji Peter von Pahlen i do którego wciągnięto następcę tronu Aleksandra. Paweł I tuż przed zamachem na swoje życie zapytał o spisek Pahlena, a ten odpowiedział przytomnie: „Tak, najjaśniejszy panie, chcą to zrobić. Wiem o tym, sam należę do spisku. Trzymam w rękach wszystkie nici…". I przekonał Pawła, że nie ma się czego obawiać.

Do sypialni cara w Pałacu Michajłowskim poprowadził spiskowców – wśród których rej wodzili tym razem prymitywni bracia Zubow – nocą 11 marca 1801 r. gen. Leoncjusz Benningsen, człek twardy i zimny jak stal. Według jednego ze świadectw to Mikołaj Zubow, mężczyzna ogromnego wzrostu i siły, najpierw uderzył imperatora tabakierą w twarz, aż oko wypłynęło, a potem udusił go szarfą zerwaną znad łoża. Inni znęcali się nad Pawłem, mszcząc się za wszystkie doznane od niego zniewagi, a wśród nich znajdował się drugi Zubow – Płaton, ostatni faworyt carycy Katarzyny. Aleksander nie uczestniczył w kaźni dokonywanej w sypialni. Siedział i rozpaczał – trochę może z żalu po ojcu, ale bardziej ze strachu, ponieważ ustawieni w dwuszeregu gwardziści wahali się, co czynić. Płaczącego carewicza znalazł i złapał mocno za rękę gen. Panin. Powiedział: „Dość mazgajstwa! Proszę iść panować, pokazać się gwardii".

Tak to w Rosji bywało. Może się powtórzyć. Samodzierżawne imperium się jeszcze nie skończyło…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8db3f1bd8

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Twierdza Przemyśl

Jest taki stary dowcip.
– Po co Bóg stworzył armię Austro-Węgier?
– Po to, żeby armia włoska mogła kogoś bić.

Dowcip ten – który często opowiada się również w drugą stronę – jest niesprawiedliwy. Armia austro-węgierska wcale nie była taka słaba. O czym pod Isonzo przekonali się sami Włosi. Takie książki i filmy jak „Przygody dobrego wojaka Szwejka" czy „C.K. Dezerterzy" ugruntowały jednak fatalną opinię wojsk cesarza Franciszka Józefa.

Fragmenty książki są niezwykle aktualne

Dlatego warto przeczytać „Twierdzę" znakomitego brytyjskiego historyka wojskowości Alexandra Watsona. Opowiada ona o trwającym pół roku (!) oblężeniu Przemyśla w latach 1914–1915. Siłą oblegającą byli Rosjanie, stroną broniącą – żołnierze monarchii Habsburgów.

Odcięci od świata obrońcy byli nie tylko bombardowani, lecz także zmagali się ze straszliwymi brakami zaopatrzenia, głodem i chorobami. Mimo to stawiali zacięty opór. Gdy wreszcie twierdza skapitulowała, do Przemyśla przybył sam car Mikołaj II, aby uświetnić triumf swojej armii.

Książka Watsona przedstawia te straszne pół roku z perspektywy generałów i monarchów. Ale również z perspektywy zwykłych żołnierzy walczących po obu stronach oraz cywilnych mieszkańców Przemyśla. Ludzi, którzy dostali się między młot a kowadło.

Fragmenty książki są zaś niezwykle aktualne: „Rzeczy, które uznajemy za pewne, solidne, stabilne i trwałe, mogą czasami zawalić się szokująco gwałtownie – pisze Watson. – Latem 1914 roku wybuchła wojna, która objęła zasięgiem całą Europę. Wszyscy widzieli, jak na horyzoncie zbierają się gradowe chmury, ale tak naprawdę prawie nikt nie wierzył w to, że kataklizm konfliktu między mocarstwami może faktycznie nastąpić. Najmodniejszym słowem tamtej epoki był »postęp«. Ostatnia naprawdę wielka wojna toczyła się sto lat wcześniej. W miasteczkach i wioskach Starego Świata ludzie żyli tak, jakby Armagedon nie miał nigdy nadejść. Pracowali, robili kariery i interesy. Zakochiwali się i wychowywali dzieci. W 1914 r. wszystko to miało jednak pogrążyć się w wojennej zawierusze. Stara cywilizacja miała rozpaść się na kawałki, marzenia zostać zniweczone, a ludzkie życiorysy ulec gwałtownemu skróceniu".

Brzmi złowieszczo… ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Dzień Kobiet w sądzie w Nowym Targu

Jerzy Kalibabka uwielbiał płeć piękną, ale jeszcze bardziej kochał złoto. Jego wspólniczki twierdziły, że na widok szlachetnego metalu „coś dziwnego się z nim działo" i zachowywał się jak człowiek uzależniony. Poza tym tryb życia, jaki prowadził, wymagał stałego dopływu dużych środków finansowych, a wyroby jubilerskie najłatwiej było spieniężyć.

„Gdyby pan miał żonę i kochankę – tłumaczył przed swoim procesem dziennikarzowi Leszkowi Konarskiemu – musiałby pan kombinować, jak zdobyć pieniądze. A gdyby pan miał, jak ja, równocześnie pięć lub sześć dziewcząt, musiałby pan być złodziejem. Przecież ja każdą z tych dziewcząt musiałem żywić w dobrych restauracjach, ubierać w Pewexie, chodzić z nimi na dansingi, płacić za kwatery, jeździć taksówkami. Do tego trzeba olbrzymiej ilości pieniędzy. Należało na to wszystko zarobić".

Uwodziciel nieco konfabulował, bo z zeznań świadków i poszkodowanych wynika, że w skład jego gangu wchodziły z reguły dwie, najwyżej trzy dziewczyny. Nie zmienia to jednak faktu, że podobny tryb życia wymagał dużych nakładów i Kalibabka korzystał z każdej nadarzającej się okazji. Okradał i wyłudzał zawsze, gdy tylko była taka możliwość, a jego ofiarami z reguły były młode dziewczyny. Nigdy właściwie nie miał problemów z ich oczarowaniem,

Najchętniej łączył kradzieże i wyłudzenia z seksem, był jednak mężczyzną wybrednym i nie każda ofiara dostępowała „zaszczytu" współżycia erotycznego. Seks ze swoimi ofiarami traktował zresztą dość instrumentalnie, bo poza zaspokojeniem dawał mu on swoistą „gwarancję bezpieczeństwa". Nastolatki bez oporów zgłaszały na milicję straty materialne, gdy jednak w grę wchodziło współżycie erotyczne, to sprawa wyglądała już zupełnie inaczej. Wiele jego ofiar obawiało się utraty dobrej opinii w miejscu zamieszkania, w niewielkich miejscowościach, gdzie wszyscy praktycznie się znali. Dlatego przed dokonaniem gwałtu i okradzeniem fotografował się w ubraniu na tle nagiej dziewczyny (najczęściej w lesie), grożąc, że jeżeli zgłosi sprawę na milicję, to jej rodzinna miejscowość zostanie oplakatowana kompromitującymi zdjęciami.

Prowadził swoją działalność przez ponad cztery lata, w tym czasie zatrzymywano go 11 razy (!), ale za każdym razem udawało mu się uciec z aresztów lub komisariatów. Gdy wreszcie stanął przed sądem w Nowym Targu, postępowanie odbywało się przy drzwiach zamkniętych. Wyrok skazujący go na 15 lat więzienia zapadł w Dniu Kobiet (!!!), 8 marca 1984 r. Najwyraźniej ktoś, ustalając harmonogram rozpraw, miał specyficzne poczucie humoru… ©℗

eprasa.pl c8db3f1bd8

Trendy w sektorze nieruchomości w epoce postcovidowej

Agnieszka Maciejowska – Project Manager inwestycji w Hiszpanii

Więcej otwartych przestrzeni, wirtualizacja wizyt, aplikacje do rezerwowania miejsc pracy, biura w domu... Koronawirus przyniósł nowe zastosowania dla nieruchomości, większą digitalizację usług oraz promocję takich sektorów jak logistyka i wynajem mieszkań, które właśnie przeżywają swoją chwilę chwały.

W ciągu zaledwie kilku miesięcy pandemia COVID-19 zmieniła nasze życie na poziomie zdrowotnym, społecznym i zawodowym. To transformacja, która w sektorze nieruchomości zakłada pojawienie się nowych usług w parze z digitalizacją, uderzeniem w e-commerce, co oznacza ożywienie logistyki, większy popyt w sektorze wynajmu mieszkań i lifting modelu biurowego. Zobaczmy, jakie są trendy w nieruchomościach w epoce postcovidowej.

SEKTOR MIESZKANIOWY: WZROST INWESTYCJI POD WYNAJEM

Po początkowym spadku wskaźników ze względu na obawę przed utratą pracy, nasileniu niepewności zatrudnienia i opóźnieniach decyzji zakupowych spowodowanych przez pandemię obecny obraz sektora mieszkaniowego pokazuje wzrost zainteresowania i popytu.

Oprócz rynku kupna nieruchomości rozpędu coraz bardziej nabiera Built to Rent, czyli projekty mieszkaniowe przeznaczone wyłącznie na wynajem.

Zainteresowania inwestorów nie brakuje, widać było już formuły mieszane, w których fundusze instytucjonalne i deweloperzy idą ramię w ramię w realizacji projektów.

Optymizacja wizyt komercyjnych za pomocą oprogramowania z wirtualną rzeczywistością i technologią sztucznej inteligencji była czymś, z czym już eksperymentowano, ale teraz zyskuje na sile, aby ponownie przyciągnąć popyt. W ten sam sposób przyspieszona zostanie cyfryzacja wyceny, co pozwoli dotrzeć do klienta w rekordowym czasie.

Jeśli chodzi o przyszłe osiedla mieszkaniowe, to już teraz zawierają miejsca do telepracy w strefach wspólnych i/lub w samych domach.

SEKTOR BIUROWY: PRZEJŚCIE DO TELEPRACY

Rynek biurowy przeżywał ożywienie dzięki przenoszeniu się organizacji z peryferii do centrów miast i coworkingu. Ale musiała nadejść pandemia, abyśmy zrozumieli, że możemy pracować zdalnie z taką samą lub większą wydajnością.

Telepraca stała się dla wielu z nas rzeczywistością, a to sprawiło, że tysiące metrów kwadratowych biur pozostało niewykorzystanych. Zostały one przekształcone w przestrzenie coworkingowe lub też znalazły inne zastosowania. To ostatnie dotknęło te budynki, które ze względu na swoje cechy lub wiek nie mogły być przystosowane do potrzeb firm. Minimalna bezpieczna odległość zmniejszyła pojemność biur o połowę, zmuszając zespoły do zarządzania na zmianę w systemie rotacyjnym. Każdego dnia towarzyszy nam laptop, a my zajmujemy stolik, który wcześniej zarezerwowaliśmy przez aplikacje. Aplikacje pozwolą nam na wykorzystanie wszystkich pomieszczeń i usług w budynku, usprawniając użytkowanie budynków.

Korytarze jednokierunkowe, zarządzanie częściami wspólnymi, technologia zbliżeniowa... Biurowce bez wątpienia będą coraz bardziej inteligentne.

SEKTOR LOGISTYKI: OSTATNIA MILA

Segment, który okazał się kluczowy podczas kryzysu zdrowotnego, to logistyka. Bliskość z klientem była kluczem do zagwarantowania dystrybucji zamówień, tej ostatniej mili, która dziś stała się przewagą konkurencyjną w handlu detalicznym, fizycznym lub internetowym.

Tu pozostaje jeszcze wiele do zrobienia. Duże miasta cierpią z powodu braku silnego zaplecza logistycznego, nie tylko w centrach miejskich, lecz także na obrzeżach. Brak dużych magazynów poza miastami zmusza nas do szukania formuł na zaspokojenie popytu na nowy trend, który zmniejszył lęk przed e-handlem.

Formuły Click & Collect w sklepach czy na parkingach przy centrach handlowych to tylko niektóre z inicjatyw, które już zostały wcielone w życie, ale są zdecydowanie niewystarczające do tego, co ma nadejść.

SEKTOR SPRZEDAŻY DETALICZNEJ: DOŚWIADCZENIA SENSORYCZNE ORAZ BLISKOŚĆ Z KONSUMENTEM

Wciąż odczuwamy potrzebę obejrzenia, dotknięcia, powąchania, bezpośredniego doświadczenia wszystkimi zmysłami... Daleki od upadku sektor sprzedaży detalicznej, który przechodził już lifting, przyspieszy zmianę swojego wyglądu, którą podejmował, by stawić czoła handlowi on-line, stając się przestrzenią rozrywki dla konsumentów.

Gigantom tego segmentu ukazał się nowy rywal, który przed pandemią wydawał się skazany na zagładę. Handel lokalny przekonał się, że bliskość z klientem, którą trudno osiągnąć dużym firmom z sektora, była ich wielkim atutem w dostarczaniu zamówień do domu. W ten sam sposób segment restauracyjny był również w stanie wykorzystać swoją bliskość, by zdigitalizować się i wprowadzić dostawy zamówień on-line.

MATERIAŁ PARTNERA

Grupa Inwest
HM FACTORY Sp. z o.o.

eprasa.pl c8db3f1bd8

Propagandowa klęska

Maciej Pieczyński

Niezależnie od militarnego wyniku wojny w pewnym sensie Ukraina już zwyciężyła. W 2014 r. południowy wschód kraju witał Rosjan z kwiatami, dziś żegna ich legendarną frazą obrońców Wyspy Węży. Separatyzm już nie przejdzie. Propagandowo Putin przegrał Ukrainę

W momencie, gdy piszę te słowa, Chersoń jest jedyną stolicą obwodu okupowaną przez Rosjan. Rosyjskojęzyczne, wielkie miasto bez wyraźnych ukraińskich tradycji narodowych. Położony niedaleko Krymu, w części kraju nazywanej Jugowostokiem (południowym wschodem). Tereny te zostały zajęte przez imperium carów XVIII w. i nazwane Noworosją. Od tamtego czasu intensywnie i skutecznie rusyfikowane. Określenie to powróciło do słownika moskiewskiej propagandy w 2014 r. Wtedy Putin stwierdził, że Jugowostok to Noworosja, a co za tym idzie – że powinien „wrócić" pod rosyjskie panowanie. Kreml podbił „jedynie" Krym i część Donbasu – tam udało się stworzyć przekonujące pozory szerokiego poparcia społecznego dla okupantów.

Antyukraiński przekaz w dużej mierze trafił na podatny grunt. Putin miał na czym budować podstawy separatyzmu. Na czele tzw. republik ludowych Donieckiej i Ługańskiej stali podporządkowani Moskwie, ale jednak pochodzący z Donbasu watażkowie. Wielu mieszkańców udało się przekonać, że w Kijowie rządzi faszystowska junta, której celem jest fizyczna likwidacja rosyjskojęzycznej ludności Jugowostoku. „Rosyjska wiosna", jak przez analogię z arabską tę separatystyczną rebelię nazywała kremlowska propaganda, ogarnęła wiele miast południowego wschodu – od Charkowa do Odessy – i początkowo nie było oczywiste, jak daleko sięgnie Noworosja.

PRZEKLEŃSTWA ZAMIAST KWIATÓW

Putin, ogłaszając „operację specjalną", najpewniej liczył nawet nie tylko na szybkie militarne zwycięstwo, lecz także na poparcie rosyjskojęzycznej ludności południowego wschodu, która jakoby tylko czekała na wyzwolenie spod „nazistowskiej okupacji". A jeśli nie na poparcie, to przynajmniej na bierną, neutralną postawę. Tymczasem Jugowostok nie przywitał Rosjan kwiatami, tylko legendarną frazą marynarzy z Wyspy Węży. Opór Ukraińców nie ustaje nawet na już zajętych przez okupanta terenach. „Wstyd!", „Wracajcie do domu!", „Putin – chujło!", „Faszyści!", „Chwała Ukrainie!" – z takimi hasłami kilka tysięcy mieszkańców Chersonia wyszło na centralny plac miasta. Rosyjscy żołnierze oddali strzały w powietrze, ale demonstrantów nie udało się zastraszyć. O masowej pacyfikacji na razie nie ma mowy.

Nagrania z demonstracji szybko obiegły Internet. Morze ukraińskich flag w zajętym przez Rosjan mieście pokazało, że nie mogą oni liczyć na ciepłe przyjęcie. Był też – kompromitujący dla okupantów – przypadek, kiedy jeden z mieszkańców wskoczył na rosyjski transporter opancerzony i zaczął wymachiwać ukraińską flagą. Cywile wręcz śmieją się najeźdźcom w twarz. Przynajmniej na razie.

Dwa dni wcześniej pojawiła się informacja, że okupanci przygotowują manifestację pod hasłem „Popieramy ChRL", czyli Chersońską Republikę Ludową. Według Kijowa Moskwa planowała powtórzyć scenariusz donbaski. W tym celu do miasta miała zostać przywieziona grupa prowokatorów z Krymu. Ich zadaniem było wcielić się w rolę lokalnych mieszkańców wdzięcznych „wyzwolicielom". Tego typu akcje próbowano organizować również w innych podbitych miejscowościach.

ROZPACZLIWE INSCENIZACJE

Gdy wojenne realia nijak nie dają się przedstawić w formie korzystnej dla najeźdźców, ci sami kreują alternatywną rzeczywistość. Taką, w której są „wyzwolicielami" czyniącymi dobro dla wdzięcznych mieszkańców Jugowostoku.

W Chersoniu uruchomili nadawanie 24 kanałów telewizji rosyjskiej i trzech

eprasa.pl c8db3f1bd8

Putina

Ukraińcy pokazują w Internecie m.in. zniszczone lub porzucone pojazdy agresora FOT. SERGEI BOBYLEV/TASS/FORUM

rosyjskich radiostacji. W zajętym Berdiańsku okupanci zapowiedzieli rozdawanie rosyjskich paszportów i umorzenie długów za opłaty komunalne. Jednocześnie w Melitopolu najeźdźcy ogłosili rozpoczęcie sezonu nasiennego na polach, a także obiecali „rolnikom na wyzwolonych terytoriach" pomoc oraz dostęp do rosyjskich rynków zbytu.

Szef wojskowej (ukraińskiej) administracji obwodu zaporoskiego Ołeksandr Staruch poinformował, że w Berdiańsku okupanci zmuszają lokalnych dziennikarzy pod lufami automatów do rozpowszechniania na radiowej antenie rosyjskiej propagandy. Według relacji Starucha w Melitopolu Rosjanie zorganizowali wyreżyserowaną akcję rozdawania pomocy humanitarnej. „Nikt nie przyszedł, były tylko dwa autobusy z dyżurnymi babuszkami, które wyszły, odebrały (pomoc), opowiedziały, jak to dobrze jest w Rosji, i to nagrali i puścili w telewizji" – stwierdził Staruch w oświadczeniu opublikowanym na YouTube. Podobną inscenizację Rosjanie próbowali zrobić w Chersoniu. Na rozpowszechnionym w Internecie nagraniu widać, że po szumnie ogłoszoną pomoc humanitarną zgłosiło się ledwie kilka osób. Grupa mieszkańców przyszła też na miejsce, żeby oznajmić okupantom, że niczego od nich nie potrzebuje, dodając sakramentalne: „Rosyjski okręt wojenny – idź w ch.j!".

W jednym ze swoich wystąpień Wołodymyr Zełenski wspomniał o rosyjskich żołnierzach, którzy na okupowanych terytoriach najpierw rabują sklepy, a następnie ukradzione towary rozdają okolicznym mieszkańcom jako pomoc humanitarną. Nie wiadomo na pewno, czy dokładnie taka jest kolejność i na ile to powszechna praktyka. Ale te dwa fakty osobno zostały bardzo dobrze udokumentowane. W Internecie można znaleźć nagrania z monitoringu miejskiego lub z kamer sklepowych, na których widać, jak rosyjscy żołnierze kradną nie tylko towary z półek, lecz także okradają bankomaty. Oczywiście te wszystkie świadectwa to tylko wycinek rzeczywistości, widziany głównie z ukraińskiej perspektywy.

Jednak rosyjska perspektywa jest ledwo widoczna. Rosjanie nie dokumentują masowo swoich sukcesów, bo też nie za bardzo mają się czym chwalić. Faktem jest, że Rosjanie nie publikują materiałów, które by dowodziły, że miejscowa ludność masowo okazuje im wdzięczność i poparcie. Mnóstwo zaś jest materiałów wideo, na których widać, jak miejscowa ludność przeciwko Rosjanom protestuje. Propagandowa inicjatywa jest zdecydowanie po stronie Kijowa.

Próby inscenizacji rzekomego poparcia ludności podbitych terenów dla Rosjan są bardzo nieśmiałe i nieudolne. Obrazki z frontu niezbyt nadają się na materiał do obróbki propagandowej. Brakuje zarówno przekonujących zwycięstw militarnych, jak i dobrze udokumentowanych przykładów poparcia Ukraińców dla okupanta. Co symptomatyczne, bardzo długo Moskwa nie podawała informacji o stratach własnych, jedynie lakonicznie informując, że są, ale o wiele mniejsze niż po stronie przeciwnika. To również mogło dowodzić, że najwyraźniej nie ma się czym chwalić. Tymczasem Ukraińcy analogiczne dane podawali regularnie, chwaląc się każdym sukcesem na froncie. Oczywiście ze względów propagandowych straty armii rosyjskiej podawane przez Kijów są z pewnością mocno zawyżone, ale i tak są wysokie. Moskwa nie tylko oszczędnie na ich temat informuje, lecz także próbuje zamknąć usta tym, którzy w ogóle mówią o jakichkolwiek stratach.

FAKTY KONTRA CENZURA

Ukraińcy od samego początku postawili na ofensywę informacyjną, masowo publikując filmy, zdjęcia, teksty dokumentujące z jednej strony własne sukcesy militarne, z drugiej strony – pokazujące determinację i patriotyzm obrońców, z trzeciej strony – dowodzące rosyjskich zbrodni wojennych przeciwko cywilom. Rosjanie przeciwnie – przyjęli raczej taktykę informacyjnego embarga. Zabronili rosyjskim mediom, relacjonującym „operację specjalną", powoływać się w swoich materiałach na jakiekolwiek źródła poza tymi, które podaje oficjalna Moskwa. A że oficjalna Moskwa od początku w swoich komunikatach była niezwykle lakoniczna, Rosjanie niewiele o wojnie mogli się dowiedzieć. Poza tym, że armia Federacji Rosyjskiej prowadzi na Ukrainie „specjalną operację wojskową", której celem jest denazyfikacja i demilitaryzacja. Słowo „wojna" jest zakazane. Chyba że chodzi o działania Zachodu wymierzone w Rosję. Władimir Putin do wojny porównał antyrosyjskie sankcje. W ten sposób ośmieszył własną narrację. W Internecie pojawiło się mnóstwo

eprasa.pl c8db3f1bd8

ironicznych komentarzy sugerujących, że przecież – zgodnie z logiką Kremla – Zachód nie prowadzi przeciwko Rosji wojny, tylko „specjalną operację ekonomiczną". Ten oczywisty brak konsekwencji i logiki w rozumowaniu Kremla nie jest powszechnie dostrzegany w Rosji.

Rzecz jasna, państwowe kanały telewizyjne i radiowe w Rosji nie informują swoich odbiorców o zbrodniach wojennych na Ukrainie. Moskwa próbuje ograniczać dostęp do Internetu, ale wciąż jest on możliwy, a Rosjanie od pierwszych chwil inwazji mogli z alternatywnych źródeł dowiedzieć się, że „operacja specjalna" to propagandowy eufemizm. Ulicami większych miast przeszły antywojenne demonstracje. To jednak w skali Rosji bardzo niewielka i mało znacząca siła. Średnio jednorazowo protestowało od kilku do kilkuset osób. W Moskwie i Petersburgu – kilka tysięcy. Demonstracje zakończyły się brutalnymi zatrzymaniami i aresztowaniami. Rosjanie protestowali też w Internecie. Antywojenna petycja, zainicjowana przez opozycyjną partię Jabłoko, zebrała w ciągu czterech dni 80 tys. podpisów. Wezwanie do natychmiastowego przerwania działań wojennych, zamieszczone przez obrońców praw człowieka na stronie Change.org, zostało w tym samym czasie poparte przez ponad milion internautów. Nie wiadomo jednak, ilu spośród nich to Rosjanie. Protestują ludzie kultury, tacy jak pisarze Borys Akunin, Dmitrij Głuchowski, protestuje też laureat pokojowego Nobla, redaktor naczelny opozycyjnej „Nowej Gaziety" Dmitrij Muratow. To jednak żadne zaskoczenie, a już tym bardziej nie są to głosy, które mogą zmienić bieg historii.

Bardziej wymierny jest sondaż przeprowadzony przez Wszechrosyjskie Centrum Badania Opinii Publicznej (WCIOM). Aż 68 proc. respondentów raczej popiera „specjalną operację wojskową". Zdanie przeciwne wyraziło 22 proc. badanych. Badanie przeprowadziła państwowa instytucja, niemniej jednak niezależni od Kremla komentatorzy są raczej zgodni, że wyniki właściwie oddają rzeczywistość. Putin rekordy popularności bił po aneksji Krymu. Dziś takiej tendencji nie widać – brakuje zauważalnego wzrostu poparcia, ale nie widać też absolutnie spadku.

Błędem poznawczym jest twierdzenie, jakoby wojna na Ukrainie była wojną Putina, nie zaś „zwykłych Rosjan". Ci ostatni popierają politykę zagraniczną Kremla. Symptomatyczna była sonda uliczna przeprowadzona przez opozycyjną telewizję Nastojaszczeje Wriemia. Dziennikarze pokazywali przechodniom zdjęcia przedstawiające ogrom zniszczeń na Ukrainie i pytali o opinię. Większość „zwykłych Rosjan" albo nie chciała oglądać fotografii, albo kwestionowała sprawstwo Rosjan. A gdy już godzili się przyznać, że za cierpienia odpowiada Putin, stwierdzali, że to rzeczywiście straszne, ale tak trzeba było, bo Rosja musi bronić się przed ukraińskimi nazistami.

Przekonanie o tym, że brunatna Ukraina zagraża Bogu ducha winnej, pokojowo nastawionej Rosji, jest jednym z ważniejszych kodów kremlowskiej propagandy. Moskwa, jak wiadomo, nigdy nie atakuje, zawsze tylko się broni. Ta stara zasada obowiązuje nawet dziś, gdy oczywiste jest, że Rosja napadła na Ukrainę niesprowokowana.

TOPORNA PROPAGANDA

W skrócie rzecz ujmując, Kreml forsuje narrację, w myśl której agresorem nie jest Moskwa, lecz Kijów. Rządowe media nie mówią nic o cywilach zabijanych przez okupanta. Uparcie za to powtarzają, że Ukraińcy „bombardują Donbas" i dokonują tam ludobójstwa. Gdy rosyjskie bomby spadły na szpital położniczy w Mariupolu, ambasador FR we Francji wypalił, że ataku dokonali „ukraińscy nacjonaliści". Siergiej Ławrow z kolei twierdził, że to Rosjanie celowo zbombardowali szpital, ale dlatego, że… był „okupowany przez batalion Azow". Ponadto Ławrow kłamał, że Rosja wcale nie napadła na Ukrainę.

Z drugiej strony, Moskwa co i rusz próbuje przedstawić dowody na to, że Kijów szykował się do inwazji na Rosję. To oczywiste, że obie strony konfliktu posługują się dezinformacją. Rosjanie robią to topornie, nieumiejętnie, nieprzekonująco, wręcz groteskowo. Nie starając się przy tym w żaden sposób przekazu uwiarygodnić, tak by miał szansę trafić do kogoś innego niż wychowani na rosyjskiej telewizji wyborcy Władimira Putina.

Rosjanie rozgłaszali teorie spiskowe, jakoby niektóre miasta były szturmowane, ponieważ znajdują się tam amerykańskie laboratoria broni biologicznej.Istotnie, Ukraińcy prowadzą wspólnie z Amerykanami badania, ale nie nad bronią biologiczną, tylko nad redukcją zagrożeń biologicznych. Ponadto nawet gdyby rewelacje Moskwy okazały się prawdą, ciężko byłoby w ten sposób uzasadnić bombardowanie obiektów cywilnych, na co dowodów jest przecież mnóstwo. Niezbyt wiarygodnie brzmi również, jakoby „operacja" była konieczna z uwagi na rzekome prace nad bronią jądrową na Ukrainie.

Polityka informacyjna Kijowa zdaje się o wiele bardziej finezyjna i skuteczna zarazem. Świat obiegła informacja o zbombardowaniu przez Rosjan miejsca kaźni Żydów w Babim Jarze. Okazało się, że to nieprawda, ale sprostowanie już takiej siły rażenia nie miało. Zełenski i jego współpracownicy skutecznie kreślą obraz Putina jako nowego Hitlera, porównując napaść na ich kraj z najazdem III Rzeszy na ZSRS, co trafiać musi na podatny grunt wśród tych „niezdecydowanych" geopolitycznie Ukraińców, z szacunkiem wspominających sowiecką epokę. Również historia marynarzy z Wyspy Węży okazała się przekoloryzowana – obrońcy przeżyli i dostali się do niewoli. A jednak fraza: „Rosyjski okręcie wojenny – idź w ch.j", choć najpewniej zmyślona, zyskała niesamowitą popularność. Internet podbiły też przypadki kradzieży rosyjskiego sprzętu wojskowego przez ukraińskich rolników, co oczywiście nie przysparza chluby Putinowi i jego armii.

Rosjanom pozostają niezbyt wiarygodne fejki i siła cenzury. Nawet jeśli w końcu Ukraina skapituluje, to jej ewentualna okupacja będzie dla Kremla koszmarem. Nie ma mocnego kandydata na „ukraińskiego Kadyrowa". Ktokolwiek sprawowałby w imieniu Moskwy władzę nad częścią bądź całością podbitego terytorium, musiałby liczyć się z nieprzejednaną nienawiścią absolutnej większości ludności i perspektywą licznych zamachów na własne życie. „Rosyjska wiosna" się nie powtórzyła.

Propaganda Kremla nie ma szans trafić na podatny grunt. Rosjanom pozostaje naga i brutalna siła, która najpewniej będzie tylko wzmagać opór. Nawet jeśli w samej Rosji nie ma perspektyw na znaczącą zmianę nastrojów, to Putin stracił swój najważniejszy atut, czyli umiejętność rozgrywania przeciwnika w białych rękawiczkach. W 2014 r. mógł jeszcze grać na sentymencie do języka rosyjskiego, na strachu przed „banderowcami". Ale przez osiem lat wojny Ukraińcy okrzepli, wzmocnili się również mentalnie, zauważyli, że kontrolowane przez Moskwę Krym i Donbas to nie są krainy mlekiem i miodem płynące, a gdy Putin zamiast propagandowej marchewki użył militarnego kija, ostatecznie ich „przekonał", że nie jest ich obrońcą, wyzwolicielem, tylko agresorem i okupantem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8db3f1bd8

FOT. SEAN GALLUP/GETTY IMAGES

KANCLERZE NAGLE NIEKOCHANI

Wspaniali kanclerze Niemiec – Gerhard Schröder i Angela Merkel – okazali się jednak złymi. I to dla samych Niemców. Zastępca redaktora naczelnego dziennika „Bild" napisał, że „Merkel powinna wreszcie publicznie wyjaśnić, dlaczego przez cały okres sprawowania urzędu kanclerza całkowicie uzależniła Niemcy od rosyjskiego gazu i świadomie odrzuciła alternatywne rozwiązania, takie jak terminale gazu płynnego". Z kolei prokuratura w Hanowerze złożyła wniosek o postawienie w stan oskarżenia Schrödera. Oskarżenie ma dotyczyć zbrodni przeciw ludzkości.

JAK UCHODŹCÓW WITA WIELKA BRYTANIA

Brytyjska prasa pokazała, jak Wyspy otwarte są teraz na uchodźców z Ukrainy. Pewna rodzina spędziła w sumie osiem dni we Francji – tak długo zmagała się tam z brytyjskimi urzędnikami, którzy wydają wizy. W sumie osiem razy musieli odwiedzić brytyjskie centrum przetwarzania wiz w Paryżu, dwa razy odwiedzić konsulat oraz raz udać się także do brytyjskiej ambasady. Głowa tej rodziny ma obywatelstwo brytyjskie. Mężczyzna po żonę i córkę pojechał na granicę ukraińsko-polską. Okazało się, że ucieczka z bombardowanego kraju dla jego żony i córki była łatwiejsza niż wydostanie się potem z Francji.

BIEG PO OSTATNIĄ KANAPKĘ

Rosjanie nie wiedzą, że ich kraj napadł na Ukrainę. Dobrze za to wiedzą, że zamykają się (choć precyzyjniej – zawieszają tylko działalność) restauracje McDonald's. Dlatego w ostatnim dniu ustawiali się przed lokalami w długich kolejkach. Część tych, którzy załapali się na ostatnie frytki, wystawiała potem jedzenie na aukcjach w rosyjskich serwisach internetowych.

ROSYJSKIE „ZWYCIĘSTWO"

W kontrolowanej przez rosyjski MON telewizji Zwiezda pewien wojskowy powiedział za dużo – zaczął mówić, że rosyjscy żołnierze bohatersko giną na Ukrainie. Prezenter natychmiast na niego nakrzyczał.– Nie umierają, ale miażdżą gada! Triumf rosyjskiej broni! Odrodzenie Rosji! – prostował.

NAPAD Z XIX WIEKU

Od początku rosyjskiej agresji Ukraińcy obśmiewają stary sprzęt, którym wtoczyło się im do kraju rosyjskie wojsko – m.in. wozy bojowe z połowy ubiegłego stulecia. Jednak na fotografiach zarejestrowano też żołnierza z przewieszonym przez ramię karabinem Mosin. I to już prawdziwy zabytek – skonstruowany w 1891 r. i w ZSRS produkowany do 1948 r. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Bayraktar

Bayraktar TB2 – tak nazywa się bezzałogowy rozpoznawczo-bojowy dron produkcji tureckiej, który stał się postrachem Rosjan atakujących Ukrainę. To właśnie nagrania z tych maszyn, ukazujące, jak ukraińska armia niespodziewanie niszczy z powietrza rosyjskie wyrzutnie rakiet, czołgi, cysterny z paliwem etc., zyskały popularność wśród internautów z całego świata. Błyskawicznie przebojem stała się też piosenka „Bayraktar", opowiadająca o obracaniu wniwecz sprzętu okupantów i walce z rosyjskim najeźdźcą. Spadająca nagle z nieba śmierć została uznana za rękę sprawiedliwości. „Kara Bayraktar w imieniu dzieci Ukraińców, Gruzinów, Syryjczyków, Czeczenów i Tatarów krymskich" – napisała ukraińska armia, udostępniając w mediach piosenkę, która może reprezentować Ukraińców podczas tegorocznej Eurowizji. Gdyby tak się stało, szansę na wygraną Ukraińcy mieliby duże, bo słowa przetłumaczono już na kilka języków, a prosty refren zapada w pamięć po pierwszym odsłuchaniu utworu.

Drony owiane sławą maszyn, które „dają życie" obrońcom Ukrainy, mają 150 km zasięgu, potrafią przenosić bomby kierowane i pozostawać w powietrzu nawet 27 godzin.

Według mediów ukraińscy żołnierze są też zachwyceni polskimi zestawami przeciwlotniczymi Piorun. Przenośne wyrzutnie przeciwlotnicze są przez obrońców wykorzystywane do zwalczania śmigłowców i samolotów. Piorun potrafi obrócić w perzynę maszynę lecącą na pułapie od 10 m do 4 km z odległości od 500 m do ponad 6 km. I to właśnie w rozwój tego typu technologii polski rząd powinien jak najszybciej i jak najwięcej inwestować. Dziś wojen nie wygrywają bowiem wielkie armie, lecz inżynierowie, którzy tworzą nowe typy broni. Znakomitych wynalazców nigdy zaś w Polsce nie brakowało. ©℗

eprasa.pl c8db3f1bd8

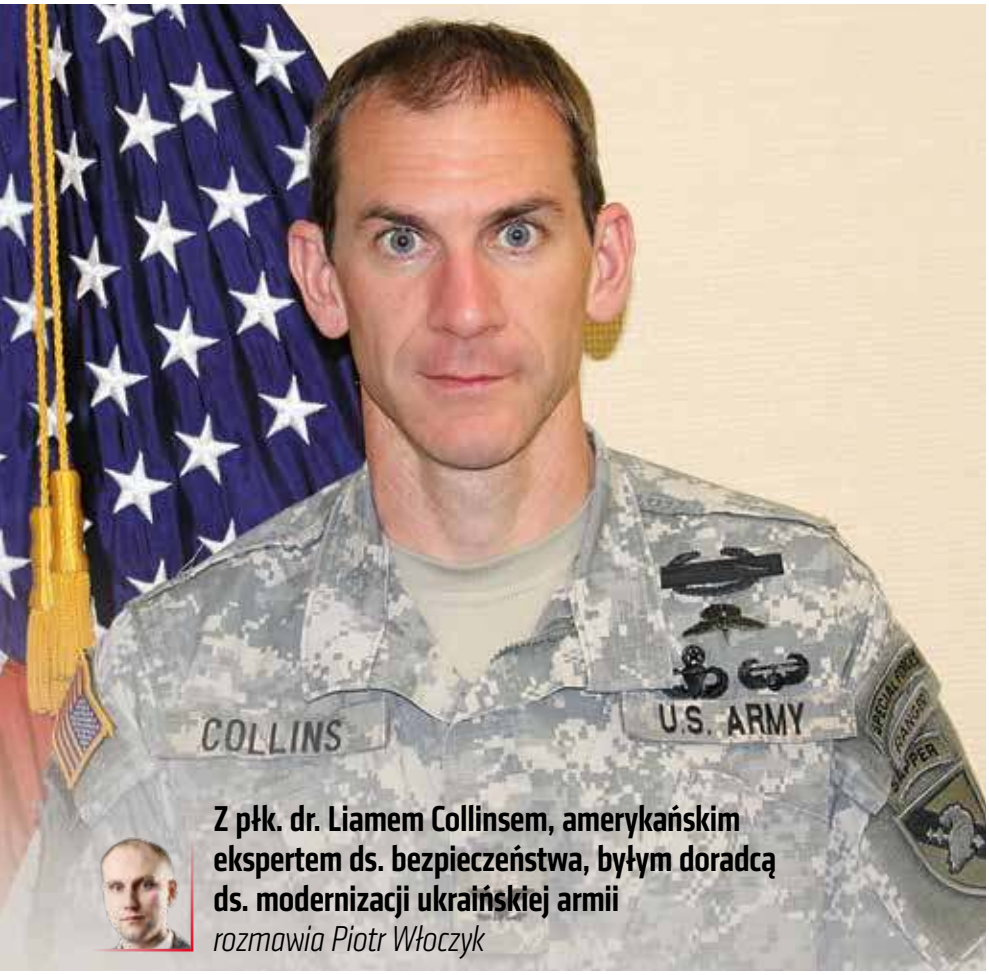

Z płk. dr. Liamem Collinsem, amerykańskim ekspertem ds. bezpieczeństwa, byłym doradcą ds. modernizacji ukraińskiej armii
rozmawia Piotr Włoczyk

FOT. MODERN WAR INSTITUTE

Nie lekceważmy Rosji

PIOTR WŁOCZYK: W Polsce widać sporo optymizmu w kwestii tego, jak przebiega rosyjska inwazja na Ukrainę. Czy faktycznie jesteśmy świadkami początku końca rosyjskiego projektu odrodzenia imperium?

PŁK DR LIAM COLLINS: Cały czas przestrzegam wszystkich dokoła: Rosjanie mają generalnie lepsze wojsko niż to, co pokazują ich siły walczące na Ukrainie. Początek tej inwazji został tragicznie przeprowadzony na poziomie strategicznym i taktycznym, ale to nie jest reprezentatywny obraz całości rosyjskich sił zbrojnych. Nie popełniajmy błędów Putina i nie lekceważmy przeciwnika. To się nigdy nie kończy dobrze.

Czyli pańskim zdaniem powinniśmy się szykować na długie lata powstrzymywania Rosji przed kolejną agresją?

Tak, nie wolno nam opuścić gardy. Rosja to zużywająca się potęga wojskowa z prymitywną gospodarką żyjącą ze sprzedaży surowców, rosyjska populacja wymiera w bardzo szybkim tempie, ale na razie nie spieszyłbym się ze składaniem Rosji do grobu. Sankcje na pewno zostaną z nami na dłużej i będą miały katastrofalne skutki dla rosyjskiej gospodarki, ale – choć wszystko może się jeszcze zdarzyć – szykujmy się jednak na długi okres powstrzymywania rosyjskich zapędów. Jedno jest pewne: Putin dodał NATO co najmniej 50 lat życia. Chociaż jeszcze niedawno wielu przekonywało, że sojusz jest już nikomu niepotrzebny, to dziś nie ma już chyba nikogo, kto wierzyłby, że wojny w Europie to temat jedynie dla historyków.

Nie brakuje też ekspertów, którzy twierdzą, że – próbując jakoś wykaraskać się z blamażu na Ukrainie – przyparty do muru Putin może zechcieć uciec do przodu. Czy powinniśmy się obawiać nagłego otwarcia przez Rosję drugiego frontu, np. w państwach bałtyckich?

To absolutnie niemożliwe. Putin ugrzązł na Ukrainie i robi teraz wszystko, żeby się jakoś ratować. Ostatnią rzeczą, którą chciałby teraz robić, to otwieranie drugiego frontu, szczególnie z państwem NATO-wskim. A jeżeli ktoś się martwi, bo Putin zasygnalizował wyższy stopień gotowości sił jądrowych, to uspokajam: w ten sposób mocarstwa komunikują się ze sobą. Putin chce w ten sposób wyznaczyć pewną granicę w konflikcie z Ukrainą, dać znać NATO, że nie życzy sobie większej interwencji ze strony sojuszu. Zimna wojna pokazała, że państwa nuklearne nie walczą ze sobą w sposób bezpośredni. Akceptują jednak, że druga strona może zbroić ich przeciwnika. I tak też jest tym razem. Tak jak on nie zaatakuje teraz państwa NATO-wskiego, bo rozumie, że to zbyt ryzykowne, tak samo daje nam znać, żebyśmy bezpośrednio nie interweniowali na Ukrainie. Za taką czerwoną linię Putin uznaje na pewno ustanowienie przez NATO nad Ukrainą strefy zakazu lotów.

Nie powinniśmy się więc zastanawiać, czy Putin postradał zmysły?

Wydaje się, że Putin to wciąż racjonalny polityk. Atomowe groźby – poza funkcją standardowej „komunikacji" z USA – to także oznaka, że ta inwazja nie idzie po jego myśli. Tak nie zachowuje się gracz pewny swoich sił.

eprasa.pl c8db3f1bd8

Jak w ogóle do tego doszło? Chyba mało kto spodziewał się, że rosyjska inwazja będzie wyglądała tak fatalnie.

Tak, eksperci mieli przed oczyma przejęcie Krymu w 2014 r. Rosyjskie „zielone ludziki" w absolutnie perfekcyjny sposób zajęły półwysep. To była podręcznikowa operacja, w związku z czym można się było spodziewać, że Rosjanie znów będą niesamowicie efektywni. Tymczasem w zdumiewający sposób spadli z poziomu mistrzowskiego do ligi amatorskiej, gdzie bez ładu i składu wygania się żołnierzy na drugą stronę granicy. Symbolem tego bałaganu na zawsze pozostaną rosyjscy poborowi wzięci do niewoli, którzy nie wiedzieli, po co zostali wysłani na Ukrainę, i nie rozumieli, jakie postawiono przed nimi cele.

Co się stało z rosyjską inwazją? Jak można tak źle zaplanować wojnę?

Zachód był pod wrażeniem „zielonych ludzików" z Krymu, ale Putin jeszcze bardziej utknął mentalnie w 2014 r. Wydawało mu się, że armia ukraińska to wciąż ta stara postsowiecka zardzewiała machina, którą pamiętał z okresu, gdy zajmował Krym i wspierał separatystów na wschodzie Ukrainy. Putin fatalnie ocenił też morale ukraińskich żołnierzy oraz nastawienie ludności cywilnej. Efektem błędnych kalkulacji było przekonanie, że wjazd rosyjskiej kolumny do Kijowa wystarczy, aby ukraińskie państwo rozsypało się w pył.

Rosyjska strategia, którą widzimy teraz, wygląda już bardziej jak operacja, której spodziewałem się od samego początku. Rosjanie przegrupowują się, bombardują miasta i zazwyczaj omijają je, próbując przeć do przodu. Początkowo nie chcieli niszczyć infrastruktury cywilnej i osiedli, ale teraz widzimy, że już im wszystko jedno. To bardzo zły znak.

Rosja to jednak mocarstwo – przynajmniej regionalne – które ma potężny aparat wywiadowczy. Co się stało z „oczami" i „uszami" Putina, że początek inwazji był tak fatalny?

To pytanie, nad którym głowią się eksperci na całym świecie, i ciężko dać tu jednoznaczną odpowiedź. Podejrzewam, że Kreml ufał tylko tym raportom, które potwierdzały Putinowską wizję Ukrainy. Ale tu już wchodzimy w sferę psychologii. Wydaje się, że podobnie było w przypadku wojny w Iraku w 2003 r. Wielu decydentów autentycznie wierzyło, że Saddam ma broń masowego rażenia, więc wszelkie raporty, które przeczyły temu, były traktowane z nieufnością. Putin był przekonany, że Ukraina nie jest pod względem wojskowym żadnym przeciwnikiem i w związku z tym ludzie, którzy przynosili mu na biurko raporty, ignorowali wszelkie ostrzeżenia, z których wynikało, że jest inaczej. Wiedzieli, czego oczekuje ich szef, i zapewne tylko takie „informacje" do niego trafiały.

W latach 2016–2018 pomagał pan z ramienia Pentagonu w reformowaniu ukraińskiej armii. Jak duży postęp zrobili na tym polu Ukraińcy?

W 2014 r. ukraińska armia była w stanie rozkładu. Prawdę mówiąc, Ukraińcy powstrzymali wówczas separatystów ze wschodu głównie dzięki rzeszy ochotników. Zwykli ukraińscy cywile stawiali się na front z własnym uzbrojeniem i ekwipunkiem! Dzielnie utrzymywali linie obronne, dając czas regularnemu wojsku, by pozbierało się i zaczęło robić to, co do niego należy. W 2016 r. Ukraińcy dokonali kompleksowego przeglądu stanu swoich sił zbrojnych i zidentyfikowali największe problemy trawiące ich wojsko. Założyli też, że do 2020 r. osiągną standard NATO-wski. Kijów postawił przed sobą ekstremalnie ambitne zadanie, tym bardziej że cały czas prowadził przecież wojnę na wschodzie kraju. Ukraińcom nie udało się w pełni zreformować wojska, ale jednak w większości zrealizowali plan. Najważniejsze, że chęć zmiany wyszła od nich i dopiero potem pojawili się doradcy z zagranicy, głównie z USA, Wielkiej Brytanii, Kanady, Litwy, a także z Polski. Nie do przecenienia jest to, jak Ukraińcy zmienili proces decyzyjny w swoim wojsku. W 2014 r. był on skonstruowany wciąż na modłę sowiecką, tzn. dowodzący plutonami czy kompaniami nie mieli dużego pola manewru i musieli w bardzo sztywny sposób realizować wytyczne z góry. Jak widzimy to dziś w starciu z Rosjanami, ta zmiana okazała się niezwykle istotna.

Co doradzałby pan dziś, po dwóch tygodniach rosyjskiej inwazji na Ukrainę, polskim wojskowym?

Wydawajcie mądrze pieniądze na armię. Może nie warto tworzyć dużej floty powietrznej, skoro Rosja dysponuje potężną obroną przeciwlotniczą?

Powinniśmy polegać w tej kwestii na „większych" sojusznikach z NATO?

Tak myślę. Po co wam wiele supernowoczesnych myśliwców, jeżeli w czasie wojny, granicząc bezpośrednio z Rosją, nie da się nimi latać? Może lepiej kupić 30 dronów z bombami i rakietami niż supernowoczesny myśliwiec? Nawet mając żelazne gwarancje NATO, które są moim zdaniem jak najbardziej realne, musicie sprawić, by Rosjanie bali się postawić stopę na polskiej ziemi. Już widzimy, że Rosjanie rozumieją, jak bardzo kosztowne są dla nich nowoczesne zachodnie lekkie pociski przeciwpancerne i przeciwlotnicze. Musicie mieć cały arsenał takiej broni. Wojska Obrony Terytorialnej to drugi element. Rosjanie muszą wiedzieć, że w przypadku wejścia do Polski, poza reakcją NATO, polskie wsie, miasteczka i miasta pełne będą uzbrojonych, przeszkolonych obywateli, którzy na każdym kroku będą stawiali agresorowi opór i raportowali do dowództwa o ruchach wrogich wojsk. Nie oszukujmy się – Rosja może przed rozpoczęciem wojny zlokalizować „duże" systemy obrony, np. patrioty lub jednostki pancerne. Istnieje zagrożenie, że Rosjanie mogą je wyeliminować, zanim jeszcze pierwszy rosyjski żołnierz przekroczy granicę Polski. Ale jeżeli będą wiedzieli, że w każdym cywilnym samochodzie może być przewożony ręczny pocisk przeciwpancerny, z każdego dachu ktoś może odpalić w kierunku ich samolotów lub helikopterów stingera, to może to być decydujący argument przeciw inwazji.

Czy Ukraina ma jeszcze realne szanse obronić się w tej wojnie?

Rosja ma wciąż potężną armię i wydaje na zbrojenia 10 razy więcej niż Ukraina. Na tym etapie wojny jeszcze niemal wszystko może się zdarzyć, ale myślę, że jeden scenariusz można już raczej wykluczyć. Rosji nie uda się zainstalować na Ukrainie swojej marionetki, opór ludności jest zbyt zacięty, by mogli myśleć o okupowaniu tego kraju. Putin będzie teraz zapewne szukał jakiegoś politycznego wyjścia z wojny, które pozwoliłoby mu ratować twarz przed Rosjanami. Ale czy będzie w stanie uratować swój wizerunek w oczach świata? Wydaje się, że nie. Jeżeli Rosja faktycznie chciałaby po tej wojnie otworzyć nowy rozdział w stosunkach ze światem, to z Putinem u władzy będzie to niemożliwe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Pułkownik doktor Liam Collins** jest emerytowanym oficerem sił specjalnych US Army, wieloletnim wykładowcą akademii w West Point, dyrektorem Viola Foundation oraz członkiem Council on Foreign Relations. W latach 2016–2018 płk Collins pełnił z ramienia Pentagonu funkcję doradcy ds. modernizacji sił zbrojnych Ukrainy.*

eprasa.pl c8db3f1bd8

Szefa BND Bruna Kahla wybuch wojny „zaskoczył" w Kijowie. Musiał salwować się ucieczką samochodem przez Polskę do Niemiec

FOT. STEFFI LOOS/GETTY IMAGES

Niemiecki wywiad we mgle?

Jan Bogatko z Berlina

Wywiad niemiecki uważa się za najlepszy na świecie. Jak każdy wywiad zresztą. Wydarzenia ostatnich dni wskazują jednak na to, że to przechwałki. Niemców zaskoczyła agresja Rosji na Ukrainę. I to do tego stopnia, że szef BND (Bundesnachrichtendienst), niemieckiego wywiadu, Bruno Kahl, przebywający z wizytą w Kijowie, zaskoczony atakiem Rosjan musiał salwować się ucieczką samochodem ze stolicy Ukrainy

Scena jak z filmu z agentem 007. Prezes BND, niemieckiego wywiadu, Bruno Kahl, najlepiej poinformowany polityk w Niemczech, wybrał się z wizytą do Kijowa bezpośrednio przed napaścią Rosji na Ukrainę, i to mimo ostrzeżeń kolegów z amerykańskiego wywiadu. Wiara niemieckiego polityka w doniesienia własnych agentów z Ukrainy okazała się znacznie większa od ciężaru amerykańskich doniesień z Kijowa. Cel był szlachetny: Kahl chciał w ten sposób wyrazić solidarność z Ukrainą i partnerstwo (słowo wytrych) z Kijowem. Nie była to własna inicjatywa szefa Bundesnachrichtendienst, lecz odpowiedź na osobiste zaproszenie jego ukraińskich kolegów, wyrażone w kuluarach ostatniej Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium.

Kahl planował wprawdzie dawno temu wizytę w Kijowie, ale jej realizacja przeciągała się w nieskończoność. Ukraińcy poprosili Kahla, by nie odkładał jej na jakiś dalszy, nieokreślony czas. Szef BND dotrzymał danego w Monachium słowa. I tak w środę 23 lutego Kahl wraz z niewielką delegacją odleciał do Kijowa. Należy tutaj przypomnieć, że szef BND jest jedynym w Niemczech szefem federalnego urzędu dysponującym własnym samolotem. Powrót z Kijowa okazał się znacznie trudniejszy, niż zakładano. Ponieważ z uwagi na działania wojenne zamknięto obszar powietrzny nad Ukrainą, Kahl musiał udać się w drogę powrotną do Polski samochodem, co okazało się niełatwym i czasochłonnym przedsięwzięciem z uwagi na falę uchodźców z teatru wojny, kierujących się też do Polski.

GDZIE JEST PUTIN?

Wojna na Ukrainie jest obecnie głównym (obok Rosji) celem pracy niemieckiego wywiadu. W centralach BND w Pullach pod Monachium i w Berlinie światła palą się całą noc. Niemieccy agenci wywiadu i eksperci Bundeswehry analizują informacje z Rosji i z Ukrainy. W jakim kierunku będzie rozwijać się wojna? Czy pozostanie konfliktem regionalnym, czy

eprasa.pl c8db3f1bd8

Putin podpali świat? Wartość odpowiedzi na te pytania jest wprost proporcjonalna do wartości danych wyjściowych. Moskwa jest zdecydowana na kontynuację operacji przeciwko „nazistom" na Ukrainie. Pomaga jej w tym niewątpliwie wsparcie Pekinu, oficjalnie przeciwnika rozwiązania siłowego w Europie Wschodniej. Rozmowy rosyjsko-ukraińskie dotyczą w zasadzie – wobec absurdalnych żądań rosyjskiego agresora – spraw humanitarnych, m.in. organizacji korytarzy dla uchodźców, a zatem nie przynoszą najmniejszej nadziei na pokojowe rozwiązanie. Analitycy z Pullach i z Berlina (mimo absencji chorobowej prawie połowy pracowników) badają i oceniają tysiące zdjęć satelitarnych, raporty agentów BND, doniesienia medialne, telewizyjne i prasowe, zdjęcia zrobione przez drony, a także informacje zamieszczane na portalach społecznościowych. Eksperci z Bundeswehry analizują przemieszczanie się rosyjskich wojsk na terytorium Ukrainy i w strefie przygranicznej (Białoruś) oraz skuteczność ukraińskiej obrony. Wyłania się z tego w opinii niemieckiego wywiadu mało optymistyczny przebieg dalszych działań wojennych – podają niemieckie media.

Zdaniem specjalistów Bundesnachrichtendienst Rosja zamierza przede wszystkim poddać kontroli Kremla wschodnie tereny Ukrainy. To jest tak oczywiste, że nie wymaga oceny specjalistów wywiadu. Widać to gołym okiem! Również nie trzeba być analitykiem, by zdać sobie sprawę z tego, że Rosjanie chcą, i to jak najszybciej, zdobyć Kijów. Ciekawe są dopiero wywody analityków BND, kiedy przechodzą oni do oceny przyszłej sytuacji i jej rozwoju w wojnie Rosji z Ukrainą. Bundesnachrichtendienst zwraca uwagę na to, że Rosjanie nie rzucili do walki jeszcze tych sił, które oczekują na rozwój sytuacji na granicy z Ukrainą, a także systemów broni, które występowały chociażby w niedawnych manewrach, po których to miały one jakoby powrócić do baz. Były takie media w Niemczech, które informacje Putina przyjęły wówczas za dobrą monetę. Ukraina – ku zaskoczeniu niemieckich mediów – nadal się broni, także przy użyciu zachodniego uzbrojenia (o darach ze strony niemieckiej wypada raczej milczeć), dotkliwie uderzając w Rosjan, którzy w swych mediach zaniżają liczbę poniesionych strat i ofiar. BND jest zdania, że rosyjskie informacje utrzymujące, że Moskwa straciła zaledwie 500 żołnierzy, to czcza propaganda.

Pytanie, które sobie zadają Niemcy, brzmi: Gdzie jest Putin? Niemieckie media spekulują, czy dyktator „czysty jak diament" (wedle słów byłego kanclerza Niemiec, Gerharda Schrödera, dla którego Putin jest nadal demokratą) jest zdrowy. Zdaniem BND spekulacje te, pozbawione wszelkich dowodów, nie mają najmniejszego sensu. Także to płonne nadzieje, by wyborowy strzelec wyeliminował z akcji pułkownika KGB: otoczenie Putina jest lojalne wobec swego wodza, jego władza pozostaje nieuszczuplona; dyktator zajmuje się w skupieniu (od miesięcy!) lekturą pism filozoficznych i przelewa na papier własne przemyślenia. Niczym innym się raczej nie zajmuje – utrzymuje BND. Ciekawa jest konkluzja Bundesnachrichtendienst, że w rosyjskich kręgach wojskowych narasta frustracja wojną. Blitzkrieg się Rosjanom nie udał. Wojskowi narzekają jakoby na błędy logistyczne w trakcie operacji „wyzwalania Ukrainy od nazizmu". Kuleje aprowizacja dla wojska, brakuje paliwa dla pojazdów wojskowych i amunicji. Zdaniem ekspertów Bundesnachrichtendienst wiarygodne są zeznania rosyjskich jeńców i dezerterów. BND nie odpowiada na pytanie: Kto w takim razie prowadzi tę wojnę, skoro wódz pracuje nad nową edycją bestsellera „Mein Kampf"?

A może owa „nieudolność" armii rosyjskiej w walce z Ukraińcami to zabieg propagandowy? Może Moskwa chce uśpić czujność ukraińskich żołnierzy broniących swego kraju przed „ostatecznym rozwiązaniem kwestii Ukrainy"? Bundesnachrichtendienst zwraca uwagę na to, że Rosjanie początkowo z rozmysłem i celowo rzucili do walki na froncie młodych, niedoświadczonych żołnierzy, nierzadko poborowych. Moskwa liczyła się z tym, że polegną. A kiedy ich szeregi zgodnie z planem Kremla przetrzebiono, generalicja wprowadziła do walki doświadczone jednostki, którym powierzono oblężenie wielkich miast, tak jak np. stolicy Ukrainy, Kijowa. Bundesnachrichtendienst jest zdania, że Kijów jest nie do obrony, że Rosjanie go w końcu zdobędą. Jak swego czasu Grozny. Czyli z Kijowa nie zostanie nic. Nawet kamień na kamieniu. Plan Rosjan jest następujący: przed szturmem wykażą się wolą humanitarnego rozwiązania niedoli cywilnych mieszkańców tysiącletniej stolicy Rusi. Pozwolą na tzw. korytarz dla chętnych do opuszczenia miasta. Reszta zostanie skazana na fizyczną zagładę, eksterminację, jak mieszkańcy Groznego podczas wojen czeczeńskich. Zanim Kijów padnie, Rosjanie pozbawią pozostałych w nim mieszkańców żywności, wody i elektryczności.

DWA TYSIĄCE AGENTÓW

Niemieccy dyplomacji już opuścili Kijów. Ambasadę „przejściowo" zamknięto, ważne dokumenty zniszczono i spalono. Karawana samochodów z Brunem Kahlem na czele rankiem 24 lutego, w czwartek, ruszyła w kierunku Polski. Dopiero w piątek szef BND, po uciążliwej podróży, przybył do Berlina. W stolicy Niemiec czeka na niego mnóstwo pracy. Niemieckie służby bezpieczeństwa ostrzegają przed setkami rosyjskich szpiegów w Niemczech. BND ma pod stałą obserwacją ok. 200 agentów pobierających pensję z Rosji. Eksperci są zdania, że jest ich jednak znacznie, znacznie więcej. Zdaniem znawców materii Putin ma w Niemczech ok. 2 tys. agentów, którzy pracują w kraju jego przyjaciółki Angeli Merkel. Bundesnachrichtendienst czyta też prasę codzienną. Na przykład wysokonakładową gazetę „Bild". Tabloid ten cytuje wypowiedź byłego szefa agenta 007, Johna Sawera z M16. Z rozbrajającą szczerością as wywiadu Jej Królewskiej Mości przyznaje, że „dostrzegamy skalę agresywnej działalności rosyjskiego wywiadu w całej Europie. Znamy może 10 proc. tego, co oni wyczyniają". Agenci Kremla zbierają i wysyłają do Moskwy informacje o politykach, prezesach firm oraz krytykach Rosji. Zdaniem eksperta do spraw polityki wewnętrznej rządzącej SPD wykonują oni też inne usługi dla zleceniodawców z Moskwy. Mają za zadanie wywołać niepokój wśród mieszkańców Niemiec oraz „wbić klin w społeczeństwo". „BILD" informuje, że agenci Putina nie cofają się przed brutalnymi zbrodniami. Nie dziwi w tej sytuacji nikogo, że szef związku zawodowego policji, Reiner Wendt, z zawodu główny inspektor policji kryminalnej, obawia się zamachów na bazy wojskowe.

Sytuacja jak w najgorętszych latach zimnej wojny: niemieckie organa bezpieczeństwa obawiają się akcji sabotażowych ze strony rosyjskich agentów. Stephan Mayer, polityk z CSU, wzywa Urząd Ochrony Konstytucji (niemiecki kontrwywiad) do ścisłej inwigilacji podejrzanych rosyjskich agentów. Nie ustają obawy o bezpieczeństwo baz NATO w Niemczech – dodaje Rainer Wendt. A zatem – lokalna wojna na Ukrainie czy globalne zagrożenie ze strony Rosji?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8db3f1bd8

Olivier Bault

Czy prorosyjska europejska prawica wreszcie zmieni zdanie na temat Putina?

To już nie ten sam Władimir?

Mając wśród „znajomych" w mediach społecznościowych wielu Francuzów, którym jest bliżej do Zemmoura i Le Pen niż do Macrona, po ataku Rosji na Ukrainę byłem zszokowany tym, ilu wśród nich bezkrytycznie powiela w swoich postach propagandę rosyjską. Niektórzy nie umieli nawet ukrywać swojego entuzjazmu i swojej radości wobec silnego uderzenia „Świętej Rusi" w odpowiedzi – jak twierdzą – na ekspansję USA i NATO na Wschód.

Dla tych moich rodaków nie ma żadnej wątpliwości, że ukraiński Euromajdan na przełomie lat 2013 i 2014 był inspirowany i finansowany przez Stany Zjednoczone i że doszło wtedy do puczu, po którym demokratycznie wybranego prezydenta zastąpiono neonazistowską juntą, jak przekonują od lat propagandyści z Kremla.

Powielana jest również nieprawdziwa liczba 14 tys. ofiar cywilnych w Donbasie, które miały zostać zabite w ciągłym ostrzale rosyjskojęzycznych republik przez armię ukraińską oraz narracja o nadchodzącym ludobójstwie, co rzekomo miało zmusić Rosję do interwencji. Przypominane są wojny wszczynane przez USA i NATO od 30 lat, a przede wszystkim bombardowanie Serbii w 1999 r. przez samoloty NATO-wskie w celu oderwania Kosowa od tego kraju pod pretekstem rzekomych zbrodni serbskich przeciwko Albańczykom (które okazały się później tak samo zmyślone jak rzekome ludobójstwo z rąk Ukraińców w Donbasie) oraz najazd na Irak w 2003 r. przez armię amerykańską i jednostki sprzymierzonych krajów (w tym i Polski) pod fałszywym pretekstem obecności w Iraku broni masowego rażenia i związków reżimu Saddama Husajna z Al-Kaidą, których w rzeczywistości nigdy nie było. Co ciekawe, autorzy wypowiedzi i postów nie widzą sprzeczności w fakcie, że tym razem stoją po stronie agresora, a jednocześnie nadal zaciekle potępiają bezprawne i niszczycielskie ataki na Serbię i Irak.

Zarzuty te wobec USA i NATO bywały często wysuwane przez Marine Le Pen i Érica Zemmoura. W Polsce są postrzegani jako politycy prorosyjscy i proputinowscy m.in. ze względu na postulat opuszczenia przez Francję struktur wojskowych NATO i z powodu otwartego przeciwstawienia się przystąpieniu Ukrainy i innych krajów byłego ZSRS do sojuszu północnoatlantyckiego.

„NA TWOIM TALERZU"

Jeszcze w niedzielę przed atakiem rosyjskim Zemmour mówił w telewizji, że nie wierzy w inwazję rosyjską. „Choć mogę się mylić" – doprecyzował, dodając, że „jest dużo propagandy" ze strony Rosji i Stanów Zjednoczonych. Jego sposób na utrzymanie pokoju w regionie? Zażądać od Rosji przestrzegania granic Ukrainy, w zamian za co Zachód obiecałby, że Ukraina nigdy nie wejdzie do NATO. W przeszłości Zemmour twierdził zresztą, m.in. w rozmowie dla „Do Rzeczy", że NATO straciło rację bytu wraz z upadkiem Związku Sowieckiego, ale że chce, aby Francja w nim pozostała właśnie po to, aby zablokować przystąpienie Ukrainy do niego.

Po ataku z 24 lutego Zemmour wyraził podziw dla patriotyzmu i odwagi Ukraińców oraz prezydenta Zełenskiego i stwierdził, że „Rosja jest tu jedynym agresorem. Jest różnica między wskazaniem agresora a definiowaniem odpowiedzialności. Historycy ją ocenią, ale nie czas na taką ewaluację. Agresorem jest Władimir Putin". Nie zmienia to faktu, że zdaniem Zemmoura Paryż powinien prowadzić politykę niezależną od Waszyngtonu i Moskwy oraz zaproponować nowy traktat pomiędzy Rosjanami, Europejczykami a Amerykanami, aby zagwarantować, że NATO nie będzie się dalej rozszerzać. Powtórzył ten postulat na wiecu wyborczym 27 lutego, czyli podczas trzeciego dnia trwania inwazji rosyjskiej. „Co by Amerykanie powiedzieli – zauważa Zemmour – gdyby Rosjanie zainstalowali rakiety w Meksyku lub na Kubie?". Zemmour jest też przeciwny nałożeniu sankcji na Rosję. Uważa,

eprasa.pl c8db3f1bd8

FOT. GONZALO FUENTES/REUTERS/FORUM

że zaszkodzą bardziej Francuzom niż Rosjanom. „W momencie, gdy wychodzimy z kryzysu sanitarnego, cena gazu gwałtownie wzrośnie, cena benzyny wzrośnie, a cena zbóż poszybuje w górę" – przekonywał 27 lutego. „Na twoim talerzu, w twojej firmie, na stacji benzynowej konsekwencje mogą być poważne i bardzo konkretne. Interes narodowy polega na ochronie Francji i Francuzów!".

Podobnie jak Zemmour Marine Le Pen nie wykazuje entuzjazmu dla sankcji podjętych wobec Rosji i reżimu Putina: „W zależności od charakteru zastosowanych sankcji mogą wystąpić przerażające konsekwencje dla siły nabywczej Francuzów, zwłaszcza w dziedzinie energii i surowców" – mówiła 25 lutego. „Nie wolno nam tego ignorować. Francuzi są dziś wyjątkowo bezbronni ze względu na spadek siły nabywczej i wzrost cen energii. Jeśli nie weźmiemy pod uwagę tej sytuacji, to ceny podwoją się lub pójdą jeszcze bardziej w górę".

Le Pen zawsze przeciwstawiała się możliwości rozszerzenia NATO na Ukrainę i w przeszłości twierdziła nawet, że Krym nigdy nie wróci do Ukrainy i rosyjską aneksję półwyspu trzeba będzie kiedyś uznać.

Po 24 lutego jednoznacznie potępiła agresję rosyjską i wyraziła swoje uznanie dla siły oporu Ukraińców, przyznając nawet, że przez to, co się stało, dziś inaczej postrzega prezydenta Rosji. „Władimir Putin sprzed pięciu lat nie jest dokładnie tym samym Władimirem Putinem co dzisiaj" – powiedziała Marine Le Pen, odpowiadając na zarzut dziennikarza dotyczący jej podróży sprzed kilku lat do Moskwy na zaproszenie włodarza Kremla. Zapewniała, że dziś nie przyjęłaby już takiego zaproszenia.

Sondaż instytutu Ifop opublikowany 4 marca pokazuje, że wbrew wrażeniu stworzonemu przez aktywnych zwolenników Putinowskiej Rosji w mediach społecznościowych i we francuskich prawicowych mediach alternatywnych w Internecie znaczna większość wyborców Le Pen i Zemmoura stoi po stronie ukraińskiej. 72 proc. tych, którzy zamierzają głosować w pierwszej turze wyborów prezydenckich na Le Pen, popiera Ukraińców w tym konflikcie, a tylko 3 proc. popiera Putinowską Rosję. U wyborców Zemmoura stosunek ten wynosi 58 proc. do 8 proc., a dla ogółu wyborców wszystkich kandydatów stosunek wynosi 74 proc. do 3 proc. (reszta nie popiera ani Ukrainy, ani Rosji).

SALVINI PACYFISTA, ALE PRZECIW SANKCJOM

Podobne reakcje na agresję rosyjską można obserwować na prawicy posądzanej o szczególną słabość do Rosji we Włoszech czy w Niemczech (hiszpański VOX raczej nigdy nie miał skłonności proputinowskich na poziomie liderów politycznych, choć część jego elektoratu może żywić sympatię dla Putina).

Liderka Fratelli d'Italia Giorgia Meloni oznajmiła 26 lutego na konferencji CPAC organizowanej corocznie przez amerykańskie środowiska konserwatywne, że „w obliczu tego niedopuszczalnego ataku obecność tutaj to sposób, by pokazać, po której stronie jesteśmy w tym konflikcie. Jesteśmy po stronie prawa, jesteśmy po stronie wolności i jesteśmy po stronie dumnego narodu, który teraz uczy świat, co to znaczy walczyć o wolność".

Partia Meloni wyprzedza dziś Ligę Salviniego w sondażach i zalicza się, podobnie jak Liga, do sygnatariuszy deklaracji o przyszłości Europy podpisanej w lipcu 2021 r. przez 15 partii z 14 krajów, m.in. przez PiS i Fidesz oraz RN Marine Le Pen.

Liderowi Ligi Matteo Salviniemu zarzuca się dziś, że w 2019 r. stwierdził, iż „Putin jest obecnie jednym z najlepszych rządzących na ziemi... obok Trumpa". Czy zmienił zdanie? W komunikacie opublikowanym przez Ligę 24 lutego można przeczytać, że partia Salviniego „potępia agresję militarną Rosji na Ukrainę" oraz że „nie ma [dla niej] usprawiedliwienia; potrzebujemy wspólnego zaangażowania, by natychmiast położyć kres przemocy".

Salvini przyjął postawę pacyfistyczną i humanitarną, apelując o zaprzestanie wojny i angażując się na rzecz pomocy dla ukraińskich uchodźców, udając się nawet bezpośrednio na granicę polsko-ukraińską. Jako jedyny lider liczącej się partii we Włoszech – drugim, skądinąd, kraju Europy Zachodniej najbardziej uzależnionym od rosyjskiego gazu po Niemczech – Salvini opowiedział się przeciwko sankcjom. W przeciwieństwie do niego liderka Fratelli d'Italia opowiedziała się po rozpoczęciu rosyjskiej agresji za sankcjami, jeśli będą one skuteczne i bardziej bolesne dla Rosji niż dla Włoch. Jeszcze w styczniu była przeciwna sankcjom już wówczas nałożonym na Rosję, które jej zdaniem szkodziły gospodarce włoskiej.

Najbardziej prorosyjska w najbardziej prorosyjskim – obok Włoch – kraju Unii Europejskiej przeżywa prawdopodobnie największe trudności po ataku Rosji na Ukrainę. Alternatywa dla Niemiec (AfD) to bowiem partia mało jednolita ideologicznie. Już od kilku lat żądała zniesienia sankcji nałożonych na Rosję po aneksji Krymu. Zbyt wyraźna prorosyjskość AfD jest jednym z powodów, dla którego partia ta nie mogła się znaleźć wśród sygnatariuszy ubiegłorocznej deklaracji europejskich partii konserwatywnych o przyszłości Europy, gdyż postawa, którą reprezentuje, jest dla PiS nie do zaakceptowania.

Podobnie jak wśród zwolenników Zemmoura czy Le Pen we Francji albo wśród zwolenników Ligii i FdI we Włoszech oraz VOX w Hiszpanii popularny jest w AfD pogląd, jakoby to USA i NATO od lat prowokowały Rosję, dążąc do włączenia Ukrainy do struktur euroatlantyckich. Dziś część liderów tej formacji, jak np. przewodnicząca grupy AfD w Bundestagu Alice Weidel, opowiada się za sankcjami. Inni wciąż są im przeciwni. Natomiast komunikaty prasowe liderów AfD jednoznacznie potępiły rosyjską inwazję krótko po jej rozpoczęciu.

Warto przypomnieć, że o ile AfD oficjalnie opowiada się za wyjściem z UE, o tyle optuje jednak za pozostaniem Niemiec w NATO. Obecnie AfD nie tylko popiera decyzję o zwiększeniu wydatków na obronę, lecz także słychać, jak czołowi jej politycy mówią, że dobrze jest być w tym sojuszu militarnym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8db3f1bd8

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE MINISTER ANNY MOSKWY

Z Anną Moskwą, ministrem klimatu i środowiska
rozmawia Łukasz Warzecha

Zielony Ład przyspieszy

ŁUKASZ WARZECHA: Czy wojna na Ukrainie zmienia coś w podejściu do polityki klimatycznej i Zielonego Ładu?

ANNA MOSKWA: Niedawno na Radzie UE ds. Energii przyglądaliśmy się pierwszym reakcjom. Większość państw uznała, że konieczna jest derusyfikacja polityki energetycznej UE. Państwa na tym spotkaniu z pewnym zdziwieniem raportowały, w jakim procencie są uzależnione od Rosji.

I jaki to był procent?

Różnie. Są kraje, które nie wyobrażają sobie życia bez rosyjskiego gazu. Austria, Czechy, Estonia, Łotwa importują gaz tylko z Rosji. Niemcy są tu szczególnie uzależnione, a jednocześnie rezygnują z atomu.

Chyba że to się zmieni, ale podczas spotkania występujący przede mną wicekanclerz Robert Habeck podkreślał, że nie ma o tym mowy. To było ponad tydzień temu, a sytuacja jest dynamiczna. Niemcy zawsze bardzo pilnowali swoich pieniędzy, więc może i w tym wypadku wezmą to pod uwagę.

Co mówią Niemcy w sprawie Nord Stream 2? Jest skasowany czy tylko zawieszony?

Podczas wizyty u nas minister do spraw europejskich poprosiłam ją o wyklarowanie, co Berlin dokładnie ma na myśli. Wyraźnie padło stwierdzenie, że nie ma decyzji o zamknięciu, tylko o zawieszeniu. My oczywiście naciskamy, żeby Niemcy jasno zadeklarowały, że projekt jest skończony na zawsze. I że nie posłuży ściąganiu wodoru z Rosji, bo to przecież również byłoby budowanie zależności od Rosji.

eprasa.pl c8db3f1bd8

Czyli ton wypowiedzi Niemiec w sprawach energetycznych aż tak bardzo się nie zmienił?

Niemcy wciąż powtarzają, że transformacja energetyczna jest „za wszelką cenę”. Co oznacza, że jeśli Berlin nie będzie miał na czas wystarczającego procentu energii ze źródeł odnawialnych – a to nie jest możliwe – to będzie wodór importować. Zatem skąd? Odpowiadają, że z Hiszpanii, z Maroka, z krajów arabskich. Czyli już dzisiaj ogłaszają, że będą wchodzić w kolejną pozaeuropejską zależność energetyczną. I wreszcie doceniają LNG, który my od dawna u siebie mamy.

Można było sądzić, że wojna wywoła jednak głębszą refleksję nad tym, że gorset Zielonego Ładu trzeba poluzować.

Jest przeciwnie. Większość państw mówi o konieczności intensyfikacji i przyspieszenia, gdy idzie o odnawialne źródła energii. Natomiast nowym wątkiem jest skroplony gaz – LNG. Kiedy mówiliśmy o naszych inwestycjach w tej dziedzinie, Komisja Europejska udawała, że nie słyszy. Długo trwały odpowiednie procedury, był problem z finansowaniem tych inwestycji, a tymczasem teraz okazało się, że to wspaniała technologia, trzeba przyspieszyć inwestycje, sprawdzić możliwości magazynowania.

Tu jesteśmy do przodu, bo mamy gazoport.

Tak, natomiast Komisja Europejska miała cały czas wątpliwości, czy gaz uznawać za „zielone” paliwo. Teraz to się zmieniło, LNG jest już absolutnie w porządku, pojawiają się pytania, czy mamy możliwości dzielenia się nim, jaka jest przepustowość naszego terminalu, co z magazynowaniem i tak dalej.

A co z węglem? Czy sytuacja nie powoduje, że następuje jego odczarowanie? Mieliśmy ciekawe pomysły na wykorzystanie naszego węgla, ale zostały porzucone wobec polityki klimatycznej UE.

„Węgiel” był słowem zakazanym w instytucjach europejskich. Za to bardzo dobrze przyjmowanym słowem jest „dekarbonizacja”. Jednak zgodnie z ostatnimi wypowiedziami komisarza Timmermansa w obliczu ataku Rosji na Ukrainę dopuszczalne jest wykorzystywanie węgla w celu zmniejszenia zależności od gazu z Rosji. W tym kontekście widzimy dużą zmianę w podejściu europejskich urzędników. Chociaż czas i szczegóły kryjące się za tą deklaracją pokażą, na ile jest ona prawdziwa.

Czyli praktyka rozjeżdża się z ideologią i teorią. Co na to sami Niemcy?

Odpowiadają, że przecież robią wszystko, żeby doprowadzić do dekarbonizacji. Twierdzą, że nawet jeśli gdzieś jakieś pozytywne decyzje dotyczące węgla się pojawiają, to nie są elementem strategii. Że chcą się pozbyć węgla „za wszelką cenę”. Pytałam ostatnio, czy naprawdę to musi być „za wszelką cenę” i czy jednak nie warto poczekać kilka lat dłużej, aż pojawią się krajowe i europejskie technologie i źródła. Może też nie warto uzależniać się od energii z OZE z innych państw, poczekać na europejski wodór w odpowiedniej ilości.

Jaki odzew?

Odzew jest żaden albo znikomy. Zresztą bardzo mało mówi się w tych rozmowach o człowieku i jego życiu. Ważna jest „planeta”. Planeta cierpi. Nie do końca rozumiem, dlaczego planeta musi być uratowana akurat do 2050 czy 2040 r. Ważne jest podejmowanie działań, ale róbmy to w sposób odpowiedzialny, z poszanowaniem bezpieczeństwa energetycznego, gospodarek i kieszeni obywateli.

Mówi pani bardzo niepoprawne politycznie rzeczy.

Ale przez te właśnie ideologie doszliśmy do takiego uzależnienia od Rosji, jakie dziś mamy.

Czy wojna zmieniła coś, jeśli chodzi o pakiet „Fit for 55”? Koalicjant PiS, Solidarna Polska, twierdzi, że można go zawetować, a pani mówiła, że się nie da. Jak to w końcu jest?

Wiele osób w Polsce bardzo by chciało, żebyśmy mogli go zawetować. Ja też bym chciała. Zwłaszcza że w obecnej postaci „FF55” kosztowałby nas ogromne pieniądze. Według analiz Komisji Europejskiej realizacja w Polsce podwyższonych celów będzie wiązała się z dodatkowymi kosztami dla gospodarki na poziomie ok. 0,7–1,1 proc. PKB rocznie w latach 2025–2030. Krajowe szacowania pokazują, że w samym sektorze wytwarzania energii elektrycznej wkład do „Fit for 55” zwiększać będzie potrzeby inwestycyjne przynajmniej o 25 proc. do 2030 r. Wysiłek jednak musi być poniesiony przez wszystkie sektory gospodarki, w tym elektroenergetykę, ciepłownictwo, transport, budownictwo, przemysł czy rolnictwo, co de facto pomnaża wyzwania.

Pamiętajmy, że „Fit for 55” to pakiet 14 dokumentów, wśród których są albo nowelizacje dyrektyw, albo dyrektywy nowe. Poza jedną dyrektywą, o podatku energetycznym, pozostałe będą przyjmowane większością kwalifikowaną. O sposobie przyjmowania decyduje wnioskodawca, którym jest Komisja Europejska. To KE stwierdziła, że głównym celem tych dokumentów jest przeciwdziałanie zmianom klimatycznym i nie istnieją tu wprost cel fiskalny ani bezpośredni cel polegający na zmianie miksu energetycznego. A jeśli dany przepis nie ma celu fiskalnego lub nie wpływa bezpośrednio na miks energetyczny, to nie podlega wetu. Dlatego zawetować w tej chwili moglibyśmy tylko jeden dokument, ten o podatku energetycznym. Natomiast Polska uważa, że w przypadku wielu dokumentów z pakietu mamy do czynienia z wpływem na miks energetyczny, a więc powinniśmy jednak mieć prawo weta. Obecna eskalacja rosyjskiej agresji, w tym jej skutki dla sektora energii, angażuje uwagę społeczności globalnej, również Komisji Europejskiej czy Międzynarodowej Agencji Energii. Z pewnością zasadne jest głębsze pochylenie się nad kwestią bezpieczeństwa energetycznego UE i włączenia do agendy dyskusyjnej tematów „derusyfikacji” na równi z „dekarbonizacją”, a nawet z priorytetem tej pierwszej, bo to jest równoznaczne z bezpieczeństwem energetycznym.

Czyli powinniśmy się przeciwstawić interpretacji KE. Mamy tu jakieś możliwości?

Robimy, co się da. Wysłaliśmy nawet do Komisji szczegółową analizę językową propozycji, pokazując dokładnie, w którym miejscu jest wpływ na miks energetyczny. Niestety, działamy sami, ponieważ żadne z państw nie chce zapowiadać już dzisiaj, że będzie coś z tego pakietu wetować. Mają nadzieję, że może ugrają jeszcze jakieś pieniądze albo ustępstwa.

I obecna sytuacja wojenna nie zmienia niczego w tym układzie?

Liczyliśmy na to. Jednak państwa członkowskie, mówiąc w dużym uproszczeniu, uważają teraz, że mają do wyboru rosyjski gaz albo odnawialne źródła energii, na które mogą jeszcze dostać pieniądze europejskie. A skoro tak i skoro ich pozycja wyjściowa jest lepsza niż nasza, bo tylko my mamy 70-procentowy udział węgla w miksie, to sądzą, że bardziej opłaca im się teraz powalczyć o więcej pieniędzy. Jest też czynnik społeczny – w wielu krajach presja na klimat i ekologię jest bardzo silna. W Polsce nie, u nas nie wygrywa się wyborów „zielonymi”

eprasa.pl c8db3f1bd8

tematami. To się przekłada również na stosunek do nas: wyborcy w tamtych krajach oczekują, że ich politycy będą walczyć z tymi, którzy nie chcą dość szybko odchodzić od „brudnej” energii.

Wykładanie teraz przez Polskę pieniędzy na szybką dekarbonizację to mniej funduszy na obronność, a bezpieczeństwo stało się błyskawicznie priorytetem. Czy nasi partnerzy tego nie rozumieją? Czy zamierzamy używać tego argumentu?

Tak, ale w Unii obowiązuje ścisły podział tematów pomiędzy poszczególnymi radami UE. Jeśli w naszej radzie zajmujemy się klimatem i bezpieczeństwem energetycznym, to nie wolno mi tam mówić o bezpieczeństwie militarnym. Jest to bardzo źle widziane.

Zamierzamy się do tego stosować?

My wręcz nie możemy się do tego stosować. Ale musimy mieć też na uwadze wrażliwości naszych partnerów przy budowaniu koalicji wokół ważnych dla nas tematów. Dla przykładu takim tematem jest ciepłownictwo systemowe. Elektrociepłownia Siekierki ma moc 6 GW i nie da się tego zastąpić OZE. Pokazujemy to innym krajom, które mają ciepłownictwo systemowe: Bułgarii, Rumunii, Niemcom, gdzie takie rozwiązania występują na wschodzie. Kiedy pytam o alternatywną technologię, słyszę, że może wiatraki i fotowoltaika. Tymczasem w styczniu 2020 r. przez prawie dwa tygodnie nie było słońca i nie wiało. Nie da się.

A wodór?

Faktycznie, wszyscy o nim mówią, ale nie można rekomendować transformacji w krótkoterminowej perspektywie, opierając się na technologiach, które jeszcze nie są rozwinięte.

Nie bardzo rozumiem. Ludzie, którzy powinni się na tym znać, sugerują nam rozwiązania kompletnie nieadekwatne do problemu? Jak to możliwe?

W tym konkretnym przypadku trzeba wiedzieć, że polskie ciepłownictwo systemowe jest bardzo specyficzne, np. Hiszpan czy Włoch może nie mieć świadomości, jak to wygląda. Dlatego niedawno zorganizowaliśmy wizytę studyjną pracowników KE od ciepłownictwa w polskich ciepłowniach.

Jeśli dobrze rozumiem, gdy Polska pyta, jak konkretnie ma osiągnąć stawiane przed nami cele, to odpowiedzi nie ma?

Najlepszym rozwiązaniem byłaby rewizja dyrektywy w sprawie ETS i to się dzieje w ramach „Fit for 55”

Odpowiedź brzmi: musimy być ambitni.

To jakaś nowomowa.

Tak, ale to też zapewne „przekaz dnia”, bo powtarza to każdy z komisarzy. Pojawia się też rada, żeby cel redukcji o 55 proc. rozłożyć na różne dziedziny: transport, budynki – ale u nas tak się również nie da. Koszty byłyby druzgocące.

Ale Unia ma zamiar pomagać w ponoszeniu tych kosztów.

Ma powstać Europejski Fundusz Społeczny, który z uprawnień do emisji nakładanych na transport i budynki ma finansować pomoc dla obywateli w najtrudniejszej sytuacji. Czyli dochodzimy do absurdu: zakłada się rozbudowę wsparcia socjalnego, które ma się stać trwałym elementem mechanizmu transformacji energetycznej, zamiast poczekać na lepsze technologie i wtedy te środki przeznaczyć właśnie na nie.

Polska chce reformy systemu ETS. Czy są na to szanse? Mamy sojuszników?

W ramach Grupy Wyszehradzkiej mamy pełne poparcie reformy systemu. Problem zauważyła też ostatnio Estonia. W ubiegłym roku przekazaliśmy KE nasze propozycje kluczowych zmian, które ograniczyłyby gwałtowny wzrost cen. Głównym jego elementem było wyłączenie instytucji finansowych z obrotu uprawnieniami do emisji. To pytanie, na które nikt nie jest w stanie mi odpowiedzieć: Dlaczego te instytucje w ogóle w systemie są?

KE ma raport, który ma dowodzić, że udział tych instytucji nie ma znaczenia dla cen uprawnień.

Ten raport stwierdza, że ceny wzrosły w wyniku ożywienia po COVID, a poza tym wydarzyło się jeszcze coś, ale nie wiadomo co i to coś będzie badane do kwietnia. Co konkretnie jest badane – nie wiemy.

Co formalnie możemy zrobić w tej sprawie?

Najlepszym rozwiązaniem byłaby rewizja dyrektywy w sprawie ETS i to się dzieje w ramach „Fit for 55”. Co prawda, chodzi o nałożenie systemu na transport i budynki, co byłoby dla nas nieszczęściem, ale traktujemy to jako okazję do wprowadzenia zmiany dla nas korzystnej. Absurd systemu polega też na tym, że musimy dokupować potrzebne nam uprawnienia, bo nasza pula nam nie wystarcza, od najbardziej już „zielonych” państw, takich jak Szwecja, dokładając się do ich budżetu. Czyli potrzebne nam pieniądze przekazujemy państwom, które potrzebują ich znacznie mniej. W ubiegłym roku luka ETS kosztowała nas ok. 30 mld euro. KE obiecała, że nam tę lukę wyrówna, ale nie zapowiedziała kiedy. To jednak, jak sądzę, jesteśmy w stanie wywalczyć.

Czy ma pani samochód, a jeśli tak, to jaki?

Mam skodę z 2020 r., z silnikiem benzynowym.

Nie wiem, czy ten model ma wystarczająco dużą szybę, żeby pomieściły się tam wszystkie naklejki, które trzeba tam będzie umieścić w związku z utworzeniem stref czystego transportu w wielu polskich miastach. Każde będzie przecież miało własną. Kto to wymyślił? Jeśli te strefy w ogóle muszą istnieć, to dlaczego nie ujednolicić wzoru naklejek?

Ustawa o elektromobilności nie nakazuje tworzenia stref. Chcieliśmy też dać samorządom prawo do samodzielnego ustalania, jakie samochody chcą do strefy wpuszczać. Dlatego nie ma możliwości utworzenia jednolitego wzoru naklejki. Mam nadzieję, że rozwiązaniem tego problemu stanie się aplikacja.

Czy my w ogóle musimy uczestniczyć w tym trendzie? Przecież elektromobilność nie działałaby bez dotacji, ulg oraz obciążeń nakładanych na samochody spalinowe. To sztucznie kreowana tendencja.

No ale ta tendencja jest faktem i w tę stronę idą producenci samochodów. Uważam, że kluczowy będzie efekt skali. Rzeczywiście, w Polsce to nie idzie szybko, ale pewnie przyspieszy, kiedy będziemy mieli w Polsce więcej OZE.

Czy spotkała pani kiedyś Gretę Thunberg?

Tak, przelotnie. Została kiedyś wprowadzona z honorami należnymi głowie państwa na radę UE, w której uczestniczyłam. Wtedy akurat musiałam wyjść z sali i nie miałam okazji wysłuchać na żywo wystąpienia nastolatki. Tak się jakoś złożyło.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8db3f1bd8

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Silny złoty to broń Polski

Wojna za miedzą w żadnym wypadku nie może uzasadniać braku troski o stan budżetu Polski i o stan polskiej waluty ani tym bardziej być wykorzystywana jako kolejna (kolejna po COVID-19) okazja do rozluźniania dyscypliny fiskalnej i monetarnej. Wręcz przeciwnie – wojna za miedzą powinna skłaniać do jeszcze większej troski o stan zarówno publicznej kasy, jak i polskiej waluty. Bo zdrowe finanse publiczne i silny złoty to dziś nasza główna broń w wojnie ekonomicznej, która już rozgorzała i toczyć się będzie z coraz większą intensywnością.

A nie będziemy dysponować tą bronią, stracimy ją – złoty już jest dramatycznie słaby, a to może być dopiero przedsmak tego, co nas wkrótce czeka – jeśli pilnie nie zrewidujemy dotychczasowej, rozdawniczej polityki rządu. Czyli szybko nie zrezygnujemy z części wydatków socjalnych – np. z zasiłku „500+" dla zamożnych, czyli bez kryterium dochodu w rodzinie, z 13. i 14. emerytur itd. A także nie zaprzestaniemy dalszego, nadmiernego powiększania wydatków publicznych – nawet w takich sprawach jak pomoc uchodźcom z Ukrainy; jeśliby bowiem miały zostać zrealizowane, składane dziś przez rząd jedna po drugiej, obietnice zasiłków „500+", „darmowej" opieki medycznej, „darmowej" nauki i innych „darmowych" dodatków dla milionów przybyszów – to czy to mogłoby skończyć się dla finansów publicznych Polski dobrze? Tym bardziej że w tej samej chwili – na jednym oddechu – rząd ogłasza, iż chce szybko – i słusznie, że wreszcie chce szybko – zbudować silną armię. Tyle że jednocześnie dodaje, iż zamierza przy tej okazji dalej psuć finanse publiczne Polski, ponieważ rozbudowę sił zbrojnych chce finansować nie z budżetu państwa – jak być powinno, lecz w znacznej części – jak wskazuje Ustawa o obronie ojczyzny – na kredyt, ze znajdującego się poza budżetem państwa, a więc i kontrolą parlamentu specjalnego, funduszu. A czy niekontrolowany wzrost zadłużenia może się dla Polaków dobrze skończyć?

Podobnie: Czy może się dobrze skończyć dla Polaków tak koszmarnie niemrawo – zważywszy na sytuację – prowadzona przez Radę Polityki Pieniężnej i Narodowy Bank Polski walka z potężniejącą inflacją i ze słabnącym w oczach złotym? A dziś tej walki po prostu nie da się wygrać, utrzymując realnie ujemne stopy procentowe, nie da się wygrać bez błyskawicznego i radykalnego ich podniesienia, czego – jak się wydaje – większość członków RPP wciąż nie chce przyjąć do wiadomości i proponuje leczenia raka aspiryną. A to oznacza, że wkrótce za jednego dolara, jedno euro, jednego franka i za jeden litr paliwa płacić będziemy po 10 zł, ze wszystkimi tego fatalnymi konsekwencjami dla szybko ubożejących Polaków.

A gdy mocny, budzący zaufanie rynków złoty i zdrowe finanse publiczne Polski odejdą do historii i przestaną być naszą bronią – co nią będzie? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Bezkarność Plus

Przeszliśmy do kolejnego etapu zmagania się z wojną na Ukrainie. Entuzjazm się powoli kończy, podobnie jak kończą się siły wolontariuszy czy wyczerpują listy chętnych do przyjęcia uchodźców w domach. Prawdopodobnie również dlatego, że konflikt może się przeciągnąć, a rząd nie ma, jak się wydaje, żadnego pomysłu na kolejne miliony napływających Ukraińców. Rozmów o funduszach z UE w tej sprawie nie ma, rozmów o relokacji nie ma. Są za to sparaliżowane dworce i narastająca frustracja Polaków.

Polska gospodarka się zapada. Inflacja ma wynieść kilkanaście procent. Napływ uchodźców grozi zapaścią służby zdrowia i administracji

Przejawem swoistego powrotu do normalności jest wzrastający polityczny jazgot, którego brak w Polsce wydawał się aż ogłuszający. O jego przywrócenie bardzo postarali się rządzący, pakując do specjalnej ustawy o pomocy uchodźcom przepis o urzędniczej bezkarności. Był to bardzo bezczelny manewr. Najpierw bowiem komisja sejmowa zarekomendowała skreślenie odpowiedniego artykułu ustawy (82), ale potem projekt skierowano do komisji ponownie i już wtedy artykuł o bezkarności urzędników, umieszczający ją również w kontekście epidemii, został przywrócony. Ostatecznie poprawka nr 98 przeszła większością dwóch głosów.

Tego dość ordynarnego zabiegu nie da się nie widzieć w kontekście całości sytuacji. Polska gospodarka się zapada. Inflacja ma wynieść kilkanaście procent. Napływ uchodźców grozi zapaścią służby zdrowia i administracji. Władza wciąż chwali się brakiem obozów, choć dla każdego trzeźwo myślącego jasne jest, że należy je teraz organizować na gwałt. Tymczasem priorytetem dla rządzących okazuje się przemycenie w ustawie dotyczącej czegoś całkiem innego – gwarancji własnej bezkarności w związku ze stanem epidemii. Który, nawiasem mówiąc, wciąż obowiązuje, co w obecnej sytuacji jest grzmiącym absurdem.

W piśmie skierowanym do wszystkich centralnych urzędów administracji państwowej pan premier apeluje, żeby na rzecz uchodźców przekazać „wszystkie zasoby lokalowe […], które nie są niezbędne do prowadzenia statutowej działalności". Rozwiązaniem sprawy drugiego miliona uchodźców i kolejnych ewentualnie ma być położenie ich w hallu kancelarii premiera? ©℗

eprasa.pl c8db3f1bd8

Dress for success

Joanna Bojańczyk

Spodnie dresowe wyparły dżinsy. O ile dżinsy były łącznikiem ze światem pracy fizycznej, o tyle dres wyraża postawę luzacką. Pandemia przyspieszyła jego asymilację i ekspansję

Nosisz dres? Wiesz, co to oznacza? To biała flaga, poddajesz się, zawiadamiasz, że jesteś nikim" – mówi Jerry Seinfeld do swego przyjaciela George'a, wiecznego nieudacznika, obecnie bezrobotnego, wdającego się zawsze w nierozwiązywalne tarapaty. To scenka z „Kronik Seinfelda", serii skeczów mego ulubionego komika, amerykańskiego stand-upera Jerry'ego Seinfelda.

Dialog pochodzi z lat 90. i dziś zapewne nie mógłby mieć miejsca. Bo takie były kiedyś dresy. Pokazać się w nich poza domem i salą ćwiczeń oznaczało przyznanie się do życiowej porażki. „Dres jest symbolem porażki" – powiedział Karl Lagerfeld. Minęły jednak dwie dekady i ich status społeczny się zmienił. Znajdują się w ofercie marek mody premium, takich jak Demna Gvasalia, Dior, Helmut Lang, Alexander McQueen czy superelitarny Brunello Cucinelli. Pandemia dokonała ostatecznej nostryfikacji dresu jako ubrania uniwersalnego, wygodnego i – co ważne – pozbawionego dawnych fatalnych skojarzeń. Spodnie dresowe nosi się dzisiaj z eleganckim wełnianym płaszczem i miejskimi butami. Dostosowały się do wymagań poprawności – są niebinarne, bo płeć ma być passé. Najlepiej także, żeby wszystkie sylwetki obsługiwał jeden rozmiar.

Dres stał się gatunkiem rozbudowanym estetycznie w stopniu, który wcześniej trudno było przewidzieć. Istnieją komplety welurowe, bawełniane, polarowe, kaszmirowe, syntetyczne, mieszane. Bluzy rozpinane i wkładane przez głowę, szerokie w stylu lat 80. oraz kuse, à la lata 2000. W zakresie wzornictwa wyróżnić można: kolorowe wstawki, hafty, cekiny, kryształki, aplikacje i oczywiście napisy. W dresy ubierają się emeryci, nastolatki, pacjenci w szpitalach, miejscy spacerowicze, nocni wyprowadzacze

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl c8db3f1bd8

psów i oczywiście kibice piłkarscy. Gdy oglądamy policyjne zatrzymanie przestępców, możemy mieć pewność, że zasłonią twarz kapturem.

Tej modzie nie oparli się nawet najwięksi romantycy. Wygenerowała ona nowy styl ubierania się oraz nowe słowo w języku angielskim: „athleisure". Oznacza ono ubrania, które nie są par excellence sportowe, a jedynie zrobione na wzór sportowych, jednak przeznaczone do noszenia pozatreningowego. W roku 2016 słowo pojawiło się w słowniku Webstera, co oznacza całkowite uprawomocnienie nowo narodzonego gatunku.

Athleisure wyewoluował z długiej historii strojów sportowych. Kiedyś były one dopasowane do poszczególnych dyscyplin. Ale żadne z nich nie śmiało aspirować do kategorii modnego ubrania.

Całkiem niedawno sport nie był powszechną rozrywką, składnikiem życia współczesnego człowieka, obowiązkiem wobec zdrowia i kondycji. Był domeną sportowców. Biegali zawodnicy na stadionach, gimnastyczki owijały się wokół drążków w salach gimnastycznych, karatecy przewracali się na matach. O maratonach czytało się w podręcznikach historii starożytnej. Strój treningowy oznaczał luźne szorty dla sportów letnich, na chłodniejszą porę nieco grubsze bawełniane gatki. Tylko tenisistki obroniły swoje prawo do elegancji. Ponieważ było nie do pomyślenia, żeby grały w spodniach, w roku 1921 spódniczki zaprojektował dla nich Francuz Jean Patou. Na kortach Wimbledonu zagrała tak ubrana Susanne Lenglen, mistrzyni tenisa. Nasza tenisistka z lat 30., Jadwiga Jędrzejowska, w mniej markowej, ale równie eleganckiej długiej spódnicy.

SPORT NA TYCIE

Większe zmiany nadeszły w latach 70., kiedy cały system mody doznał potężnego tąpnięcia. Rewolucje młodzieżowe zmiotły z powierzchni nakazy i zakazy garderoby. Pojawiła się mini, spodnie dla kobiet weszły w masowe użycie, zmienił się garnitur, kapelusz przestał być obowiązkiem dla mężczyzn…

Rewolucyjny wiatr w sporcie zawiał jednak nie z Paryża, Londynu czy Mediolanu, tylko z Ameryki. Jak każdą zmianę w modzie tak i tę wywołała zmiana społeczna. W latach 70. Amerykanie zorientowali się, że dobrobyt, domek z ogródkiem za miastem i masowa motoryzacja poskutkowały masowym tyciem i pogorszeniem się stanu zdrowia społeczeństwa. Naukowcy zareagowali natychmiast: remedium na otyłość jest ruch. Na ulicach miast i na podmiejskich dróżkach pojawili się biegacze, zaczęto otwierać studia fitness. W latach 80. Jane Fonda poderwała kobiety z kanap: w rytm przebojów Madonny ćwiczył cały świat. Sport stał się modny, stał się częścią modnego, nowoczesnego stylu życia.

To otworzyło nową gałąź przemysłu: ubrania sportowe. Na letnią olimpiadę w Moskwie w roku 1980 Levi Strauss zaprojektował linię sportowych ubrań. Po raz pierwszy zawodnicy wystąpili w designerskich strojach – do tej pory każdy miał własne. Uważano, że na oficjalne otwarcie najodpowiedniejszym strojem będą biała koszula i ciemne spodnie – pochodna ubrania miejskiego. Teraz ujawnienie, kto będzie ubierał zawodników, stało się dla publiczności równie ważne jak zapowiedź, którzy zawodnicy pojadą. Olimpiada w Rio w roku 2016 była już prawdziwym wybiegiem mody. Rywalizowali nie tylko zawodnicy, lecz także ich stroje: odpowiednie na otwarcie, dostosowane do wymagań poszczególnych dyscyplin. Ekipę brytyjską ubrała Stella McCartney, francuską – Lacoste, szwedzką – H&M, o włoską zadbał Giorgio Armani. Amerykanów jak zwykle ubrał Ralph Lauren, Polaków ubrała firma 4F. Trudno powiedzieć, żebyśmy zabłysnęli tymi kreacjami.

DRESIARZ POZYTYWNY

Prawdziwą zmianę ubraniom sportowym przyniosły technologie. Lycrę opatentowano w roku 1958, do masowego użycia weszła jednak dopiero w latach 80. Pięć procent tego tworzywa, a właściwie jego pochodnej – spandeksu – wystarczało, żeby obwisłe gatki, wypchane na siedzeniu i kolanach, stały się dopasowane do sylwetki i takimi pozostały po wielu praniach. Zaraz potem pojawił się goreteks, którego dodatek do niesportowych, miejskich tkanin i obuwia zapewniał im nieprzemakalność.

Osobną kartę w historii dresu zapisały subkultury. Chłopcy popisujący się breakdance'em na chodnikach amerykańskich przedmieść porwali publiczność i pobudzili do naśladowania rówieśników. Hiphopowcy połyskiwali łańcuchami na szeleszczących, jaskrawych uniformach.

Swoją pogardę dla ustatkowanego świata starych i bogatych wyrażali nie tylko inkrustowanym wulgaryzmami językiem, lecz także ostentacyjnym, luzackim, kiczowatym ubraniem, które nadało im nazwę dresiarzy. „Słowem »dresiarze« określa się młodych mężczyzn, zamieszkujących osiedla z wielkiej płyty, noszących odzież sportową, spędzających czas »na osiedlu, pod klatką« i charakteryzujących się gwałtownym zachowaniem, brutalnością, brakiem kultury osobistej i skłonnością do przestępstw. Określenie to ma cechy stereotypu, gdyż sami dresiarze mają niewielkie poczucie wspólnoty w ramach subkultury i rzadko nazywają się tym określeniem".

Na lata 90. przypadł rozkwit „dresiarstwa". Temat objawił się na żywo na Stadionie Dziesięciolecia, jego wersją literacką stała się „Wojna polsko-ruska" Doroty Masłowskiej. Dres wystąpił w kabarecie, komiksach, sztukach teatralnych.

TALIZMAN WOLNOŚCI

„Żyjemy w czasach dresów i tego nie da się już cofnąć" – pisze amerykańska dziennikarka Tachel Tashjian. W Ameryce spodnie dresowe wyparły jej symbol narodowy – dżinsy.

Przez ponad 100 lat dżinsy były składnikiem amerykańskiej tożsamości. Talizmanem wolności, symbolem czegoś fajnego, czegoś cool. I za takie uznał je świat.

W katalogu do wystawy „Denim. Granica mody" Emma McClendon z nowojorskiego Fashion Institute of Technology napisała, że historia dżinsów jest opowieścią o tym, jak Ameryka pracuje, jak myśli, jak wydaje pieniądze. „Są rasą czysto amerykańską, nieskomplikowaną i niewinną".

Dziś jednak spodnie dresowe wyparły dżinsy. Czy można je uznać za spadkobierców „niebieskich spodni"?

Przecież nie służą tak jak tamte, do pracy. To jest ubranie odpoczynku, które dzięki pandemii nabrało przyspieszenia. Eleganckie restauracje kiedyś zabraniały wejścia w dżinsach, dzisiaj zabraniają dresów. Dżinsy były łącznikiem z człowiekiem ciężkiej pracy, dres jest ambasadorem luzu. Dzisiaj robotnik nie jest szanowany: szanuje się miliarderów i celebrytów.

I my przejęliśmy tę modę – wystarczy spojrzeć na ulice. W globalnym świecie to, co amerykańskie, staje się od razu wspólne.

Dżins był sztywny, dres jest miękki. Dres jest ambasadorem luzu. Spełnia potrzebę komfortu w skomplikowanym, pełnym obaw o przyszłość świecie. Jest hygge, można się do niego przytulić. I tego nam właśnie potrzeba.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8db3f1bd8

TEST „DO RZECZY": GŁOŚNIK FRESH 'N REBEL SOUL

Atrakcyjne wzornictwo, stojąca konstrukcja, fajny bas oraz niezła bateria – to największe zalety bezprzewodowego głośnika holenderskiej firmy Fresh 'n Rebel.

„Głośnik z duszą" o mocy 20 W jest lekki (675 g) i stosunkowo niewielki (jego wymiary to 170 x 169 x 86 mm). Gadżet wygląda bardzo nowocześnie i energicznie. Do wyboru jest siedem cieszących oko jaskrawych kolorów. Głośniki Soul można łączyć w pary, model pozwala błyskawicznie stworzyć atrakcyjnie wyglądający bezprzewodowy zestaw stereo, który można łatwo dopasować do wystroju domu czy mieszkania. Urządzenie sprawia również wrażenie solidnie wykonanego i jest odporne na deszcz, rozlane napoje czy zachlapanie wodą z basenu lub wanny (klasa wodoodporności IPX5).

Dzięki pojemnej baterii gadżet pozwala urządzić całonocną prywatkę pod gwiazdami. Na jednym ładowaniu głośniczek gra bowiem ok. 15 godzin. A co z dźwiękiem? Nie jest źle. Nie jest to, rzecz jasna, głośnik dla audiofilów, ale mocno faworyzujące niskie tony brzmienie bardzo dobrze nadaje się na imprezy na plaży lub nad basenem. Jak na głośnik nieco większy od męskiej dłoni urządzenie potrafi zagrać zaskakująco głośno. Wypełnienie dźwiękiem nawet dużego pomieszczenia ułatwia również stojąca konstrukcja i kąt nachylenia o 12 stopni w górę.

Chociaż testowanemu głośniczkowi – zwłaszcza po podkręceniu głośności powyżej 80 proc. – dość daleko jest do czystego brzmienia, to dźwięk jest wystarczająco wyraźny, aby dać użytkownikom sporo radości ze słuchania. Każdy utwór będzie miał jednak mocno podbity bas, więc miłośnicy muzyki klasycznej powinni raczej poszukać innego modelu. Urządzenie – zwłaszcza po połączeniu w parę – można też wykorzystać do oglądania filmów czy seriali. Dzięki wbudowanemu mikrofonowi głośnik może pełnić funkcję zestawu głośnomówiącego.

Gadżet jest również bajecznie prosty w obsłudze. Bezprzewodowe łączenie z komputerem czy ze smartfonem przebiega szybko i bezproblemowo. A wszystkie przyciski potrzebne do kontroli głośności czy przełączania utworów znajdują się na górze głośnika.

Wady? Niestety, ten model głośnika nie ma żadnych inteligentnych funkcji. Żadnego wi-fi. Ani pół asystenta głosowego i żadnej aplikacji z dostępem do stacji radiowych z całego świata. Urządzenie jest też stosunkowo drogie. Drugi minus: głośniczka nie da się podłączyć do smartfona za pomocą NFC.

Mimo tych minusów testowany głośnik może się przydać nie tylko miłośnikom głośnych imprez w plenerze, lecz także tym, którzy nie wyobrażają sobie długiej, relaksującej kąpieli lub gotowania w kuchni bez głośnika stojącego tuż obok. Za atrakcyjnie wyglądającą grającą „duszę" holenderskiej produkcji trzeba zapłacić 599 zł. ©℗

Jacek Przybylski

DRUKARKA DO... NAPOJÓW

Firma Cana One zaprezentowała molekularną drukarkę do napojów. Nowa drukarka 3D, korzystając ze specjalnego kartridża oraz dodatkowych akcesoriów – w tym z cylinderka z dwutlenkiem węgla – potrafi stworzyć praktycznie dowolny napój: od mrożonej kawy poprzez gazowane napoje smakowe aż do wina i koktajli alkoholowych. Aby dzieci pod nieobecność dorosłych nie mogły „drukować" sobie niedozwolonych napojów – wybranych drinków, w tym kawy – dostęp do wybranych napojów może być aktywny dopiero po podaniu kodu PIN. Urządzenie za 499 dol. (równowartość 2,2 tys. zł) ma trafić do pierwszych klientów na początku przyszłego roku. Producent informuje, że kartridż będzie wymieniał za darmo. Płacić trzeba będzie jednak za „drukowane" w domu napoje od trzech centów do trzech dolarów od sztuki.

SMARTWATCH DLA NURKÓW

Garmin Descent G1 to inteligentny zegarek przeznaczony dla miłośników podwodnego świata. Według amerykańskiego producenta nowy gadżet wyświetla informacje m.in. o głębokości, czasie nurkowania czy limicie bezdekompresyjnym. Gadżet potrafi także monitorować tempo dekompresji oraz podpowiedzieć najlepszy moment do zrobienia sobie tzw. przystanku bezpieczeństwa. Po wyjściu na powierzchnię zegarek można wykorzystywać m.in. do treningów biegowych. Model wyposażony jest też w moduł NFC, który umożliwia bezprzewodowe płatności nie tylko za płetwy. Zegarek kosztuje 549 dol., czyli 2,4 tys. zł. Droższy jest wariant z możliwością zasilania energią słoneczną – został wyceniony na 649 dol., czyli 2901 zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c8db3f1bd8

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Mimry z mamrami i mamałyga

Nasza mama urodziła się w Kamionce Strumiłowej, w dowodzie osobistym – tym zielonym – miała jako kraj urodzenia wpisany ZSRS, jeszcze cyrylicą, a kiedy pytałyśmy, dlaczego tam, to mama zawsze lekko podenerwowana odpowiadała, że wtedy to była Polska. Mama potrafiła przyrządzić posiłek z niczego, ale nie lubiła, gdy dopytywałyśmy, co będzie na obiad. Gdy marudziłyśmy, odpowiadała: „Mimry z mamrami". Początkowo sądziłyśmy, że owe „mimry z mamrami" to jakieś egzotyczne danie, i starałyśmy się zgadnąć, co też to może być. Ale kiedy na stole jako mimry z mamrami pojawiały się makaron z serem albo mielone z ziemniakami, to zrozumiałyśmy, że mimry z mamrami nie istnieją.

Jednak sztuka gotowania czegoś z niczego istnieje naprawdę. Mama zawsze powtarzała, że w domu muszą być biały ser, jajka i cebula. Zazwyczaj w domowej spiżarence jest także makaron. Dlatego dzisiaj zaproponujemy proste danie, smaczne i sycące, które przyrządzimy raz-dwa.

Gotujemy makaron, najlepiej świderki, żeby łatwo można było go nakładać. W tym czasie podsmażamy na złoto pokrojoną w kostkę cebulkę.

Ugotowany makaron posypujemy pokruszonym białym serem, a na to dajemy duszoną cebulkę, doprawiamy pieprzem i solą oraz dekorujemy zieloną pietruszką.

Inny pomysł na szybki obiad – tym razem naszej babci Małgorzaty – to mamałyga.

Pewnego razu byłyśmy u babci, były to chyba ferie zimowe, i babcia zaproponowała na kolację mamałygę. Na początku myślałyśmy, że to danie podobnie mityczne jak omówione już mimry, ale w końcu na stole w misie pojawiła się papka w słonecznie żółtym kolorze polana obficie masłem. „To mamałyga" – powiedziała babcia, a wymawiała „ł" na sposób kresowy, czyli przedniojęzykowo-zębowo, przez co nazwa brzmiała dość dziwnie.

Mamałyga to nic innego jak ugotowana na mleku lub wodzie na gęsto kaszka kukurydziana, którą można polać masłem i posolić. Może być dodatkiem do gulaszu mięsnego albo możemy zjeść ją z dodatkiem bryndzy lub innego ostrego sera. Potrawa ta wywodzi się z Rumunii, więc łatwo zawędrowała na Kresy Wschodnie, skąd dziadkowie przywieźli ją na Górny Śląsk.

Smacznego! ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Rosja

Józef Mackiewicz to pisarz, którego nawet moje, starsze już pokolenie późno odkrywało dla siebie. Odkrywamy go razem z kolejnymi połaciami historii, o których nie uczono nas ani w szkole, ani na studiach. Nasze było tylko to, czego dowiedzieliśmy się w domu. Braki staram się nadrabiać od dawna, ale gdy załatam jedną dziurę w wiedzy historycznej, zaraz wyłażą następne. Zaintrygowana wspaniale czytaną przez Mariusza Benoit w radiowej Dwójce powieścią Mackiewicza „Sprawa pułkownika Miasojedowa" sięgnęłam po książkę. I tak się w to wciągnęłam, jak kiedyś wessała mnie „Wojna i pokój". I podobnie jak tam z mniejszym entuzjazmem czytam opisy bitew... Przyznaję – sprawy wojskowe są najtrudniejsze do pokonania. Kolejny wstyd – damskie czytanie...

JÓZEF MACKIEWICZ „SPRAWA PUŁKOWNIKA MIASOJEDOWA"

To wielkiej klasy powieść, słusznie porównywana z Tołstojem. A czy może być lektura bardziej na czasie, zważywszy na okoliczności? Oto Rosja w przededniu rewolucji, pierwszej wojny światowej i w jej trakcie. Carska Rosja oplątana siecią urzędników (znamy z Gogola i Czechowa), których jedynym celem jest przetrwanie na urzędzie i wyciągnięcie z niego maksimum korzyści dla siebie. Pajęczyna powiązań, intryg, plotek, kumoterstwa. Rządzą donosy, które mogą w każdej chwili niewinnego człowieka skazać na zesłanie, wtrącić do tiurmy, usunąć z życia publicznego i okryć niesławą. A na górze nieodmienne wielkomocarstwowe ambicje cara.

Dwór w niego wpatrzony, salony wsłuchane w to, co on powie, co mu się spodoba, kogo aktualnie popiera. Eleganckie domy arystokracji i ważnych urzędników z pokorną służbą, wytwornymi obiadami, obsługiwane przez oddane państwu kucharki Praksedy i lokajów podających wizytówki na srebrnych tacach.

Mackiewicz znał to wszystko. Urodził się w Petersburgu, mieszkał w Wilnie. Polak, który jak wielu innych jego rówieśników dobrze znał przedrewolucyjną rzeczywistość, kiedy Polska zrośnięta była z Rosją niezliczonymi więzami połączeń – miejscem zamieszkania, nauką, interesami. Bohaterowie powieści Żeromskiego, Prusa, Dąbrowskiej, Orzeszkowej też zawieszeni byli między tymi dwoma rzeczywistościami.

Dzisiaj myślimy: tamto to była przedrewolucyjna Rosja. Tamto się skończyło. Ale nawet wtedy najwytworniejsze rezydencje carskie nie przypominały dzisiejszych groteskowych pałaców Putina. Tamtą Rosję można było przynajmniej szanować. Dzisiejszą Rosją można już tylko gardzić i bać się jej. ©℗

eprasa.pl c8db3f1bd8

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Konotop, zapomniane zwycięstwo Kozaków

Podpisanie 16 września 1658 r. ugody hadziackiej pomiędzy hetmanem Iwanem Wyhowskim reprezentującym Kozaczyznę a Rzecząpospolitą, na mocy której stworzono Księstwo Ruskie, wywołało wściekłość Moskwy. Kreml natychmiast spróbował spacyfikować Zaporożców, zarówno wysyłając oddziały wojskowe, jak i próbując wywołać bunt przeciwko jej przywódcy. 10 marca 1659 r. na Zadnieprze wkroczyła armia namiestnika kazańskiego Aleksego Trubeckiego, który zamierzał rozprawić się z Kozakami, łącząc się zarówno z pozostającą na Ukrainie częścią sił moskiewskich, jak i nielicznymi przeciwnikami Wyhowskiego.

Jako pierwszy cel wybrał miasto Konotop położone na Zadnieprzu, będące bazą, na której oparły się oddziały kozackie i tatarskie Hrehorego Hulanickiego. Załoga składała się z Kozaków wchodzących w skład trzech pułków – niżyńskiego, czernihowskiego i kalnickiego; liczyła ok. 4 tys. ludzi. Wspomagali ją mieszkańcy miasta. Dowódcą był wspomniany Hrehory Hulanicki, z pochodzenia szlachcic, uczestnik wojen kozackich za czasów Chmielnickiego, pułkownik korsuński i niżyński. Jako stronnik Wyhowskiego był zwolennikiem ugody hadziackiej, którą zresztą osobiście podpisał.

Trubecki, podobnie jak dzisiejsi dowódcy moskiewscy, nie przywiązywał wielkiej wagi do umocnień Konotopu i sądził początkowo, że zdobędzie miasto jednym szturmem. Jednak atak przeprowadzony 9 maja został odparty. Wówczas Moskale rozpoczęli

FOT. DOMENA PUBLICZNA

oblężenie, w czasie którego niepokoiły ich wypady kozacko-tatarskich zagonów z Borzny, spalonej ostatecznie 22 maja. Konotop bronił się twardo, mimo że Trubecki otrzymał posiłki, które zwiększyły liczebność jego armii do 27 tys. ludzi. Moskale nie zdobyli nawet pobliskiego Niżyna.

Tymczasem hetman rozpoczął gromadzenie odsieczy. Nie przyszły mu z pomocą wojska koronne, ponieważ dywizja Stanisława Potockiego znajdowała się pod Lwowem, jedynie kilka pojedynczych oddziałów polskich brało udział w bitwie. Wsparcia udzielili jednak Tatarzy, tradycyjnie wrodzy Moskwie. Z tymi siłami Wyhowski zaskoczył wojska moskiewskie i wspierające je oddziały kozackie Iwana Bezpałego, pojawiając się niespodziewanie pod Sosnówką, ok. 10 km na południowy zachód od Konotopu, gdzie znajdowała się przeprawa przez rzekę Kukułkę.

Trubecki nie wysłał przeciwko niemu całej armii, obawiał się bowiem podstępu, poza tym musiał pozostawić część sił przeciwko obleganemu Konotopowi. Skierował więc w bój jazdę pod wodzą Siemiona Pożarskiego i Siemiona Lwowa, a także Kozaków Iwana Bezpałego. Moskale po przekroczeniu rzeki uderzyli na oddziały dragonii i część ordy pod wodzą Aadila Gereja, która rozpoczęła pozorowany odwrót na wschód – w rejon wsi Pusta Targowica. Tu pojawiły się główne siły tatarskie – chana Mehmeda Gereja – które oskrzydliły i rozbiły przeciwnika, wpędzając część Moskali w bagna, a wielu biorąc do niewoli. W tatarskie łyka poszli Pożarski i Lwow, zginęła większość Kozaków Bezpałego.

Trubecki, który zorientował się, że stało się coś złego, posłał do Sosnówki kolejny oddział – Grigorija Romodanowskiego – który zatrzymał się po północnej stronie rzeczki. Od razu został zaatakowany przez pułki Wyhowskiego, które w tym czasie wkroczyły na pole bitwy. Nie mogąc złamać przeciwnika atakiem przez bród, hetman wysłał część wojsk kozackich, aby obeszły szyk moskiewski od ich prawego skrzydła – Tatarzy zaś uczynili to samo z drugiej strony. Obydwa niespodziewane uderzenia złamały szeregi przeciwnika – jazda Romodanowskiego rzuciła się do ucieczki, docierając do głównego obozu Trubeckiego i szerząc panikę. Dowódca moskiewski nie ryzykował już kolejnych starć, ale kilka dni później rozpoczął odwrót, uchodząc pod osłoną taboru na północ.

Zwycięstwo pod Konotopem było jednym z większych triumfów Kozaczyzny i wspierających ją Tatarów. Niestety, podobnie jak wiele polskich wiktorii pozostało niewykorzystane. Armia Wyhowskiego nie mogła zdobyć Hadziacza, a na Zadnieprzu wybuchł bunt Cieciury i Zołotarenki, w wyniku którego Wyhowski utracił buławę. Na nowego hetmana wybrano Jerzego Chmielnickiego, ten zaś na powrót podporządkował Kozaczyznę carowi. Rozpoczął się okres zwany przez historyków „ruiną". ©℗

RYS. PEGAZ

eprasa.pl c8db3f1bd8

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Organizacja Narodów Zniewolonych

Myślimy, że kwestia federalizacji Europy to pomysły naszej europejskiej lewicy. Skądże! Pomysł na zglobalizowanie świata, głównie poprzez odebranie państwom prerogatyw, dotyczy już wszystkich. Widać to na przykładzie pandemii, w której – okazało się – państwa sobie nie poradziły, a więc trzeba powołać coś na kształt Światowego Ministerstwa Zdrowia. Prace nad tym trwają już od dawna. We wrześniu 2021 r. sekretarz generalny ONZ, Antonio Guterres, opracował raport pt. „Nasz wspólny program". Wymieniono tam wiele „globalnych dóbr publicznych", których zbyt słabym strażnikiem są państwa narodowe.

Jednym z takich dóbr była (jest!) kwestia pandemii, bo wprowadzono do raportu kategorię „globalnego systemu medycznego". I rozpoczął się cały proces podejścia do realizacji postulatów jednolitego, globalnego zarządzania światem na wypadek pandemii. Na początku grudnia 2021 r. rozpoczęto w ONZ negocjacje nad traktatem pandemicznym, które zainicjowała zgoda 194 państw należących do WHO (w 80 proc. finansowanej z kapitałów prywatnych). Polska oczywiście przyklepała tę „mapę drogową" przekazania kolejnych resztek naszej suwerenności. Dalsze etapy to 1 marca („klepnięto" postępy), potem sesja ONZ na 1 sierpnia, wreszcie przyjęcie rezolucji przez wszystkie kraje podczas 76. sesji Światowego Zgromadzenia Zdrowia pod auspicjami ONZ. Wprowadzenie w życie – do 2024 r.

Co to oznacza? To taka Lizbona 2.0. Kolejne uprawnienia państwa polskiego zostaną przekazane zewnętrznej instytucji, bez mandatu demokratycznego, bez kontroli innej niż komercyjna. Teraz zestaw obostrzeń czy represji wobec niezaszczepionych będzie miał pieczątkę ONZ.

Ku czemu będzie wiodła taka akcja, mogliśmy już zobaczyć 25 lutego na sesji ONZ zatytułowanej „Pobudzający impuls dla powszechnych szczepień". Wystąpiła tam nasza duma covidowa, minister Niedzielski, który skupiał się na promocji szczepień i walce ze zorganizowanymi zastępami foliarzy. Chodzi tu przede wszystkim o kontrolę, nie o wirusa, a biorąc pod uwagę najnowszą definicję pandemii, wystarczy dobra grypa, byśmy wrócili na sanitarystyczne tory.

Tym razem nie będą to wzbudzające trwogę wśród narodu konferencje beztroskiej uznaniowości Ministerstwa Zdrowia. Zdrowie pójdzie na pierwszy ogień. A ileż to kłopotów robią na świecie np. finanse i czego można by uniknąć, przekazując zarządzanie finansami (najlepiej cyfrowymi) jakiemuś światowemu ministerstwu finansów? O tym, w jakim świecie dziś żyjemy, dowiemy się z konferencji w budynku w Nowym Jorku, którego logo jest podobne do jeszcze innego uzurpatora władzy nad światem. Też jest globus, też kłosy, brakuje tylko sierpa i młota. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Bezbronność Plus

Tym, co pomieszało plany Putina, są wola walki, morale ukraińskich żołnierzy, a także budzący powszechny podziw, niezwykły opór społeczeństwa. Jeśli Rosja tej wojny nie wygra, to przede wszystkim dzięki bohaterskiej postawie narodu ukraińskiego. Ukraińcy odrobili lekcję Krymu. Waleczność nie spadła im z nieba. Skuteczna obrona to nie tylko nowoczesny sprzęt z Zachodu, lecz także wyszkolenie, umiejętność posługiwania się bronią, czyli ogromna praca instytucji państwa i obywateli.

Polska powinna się liczyć z groźbą rozlania się wojny na nasze terytorium, bo przecież – jak twierdzi wielu analityków – jest to wojna Putina z NATO, zastępczo tylko prowadzona na terytorium Ukrainy. Tymczasem, granicząc bezpośrednio z frontem, jesteśmy najbardziej rozbrojonym społeczeństwem w Europie. Ułuda wiecznego pokoju, przynależność do sojuszu północnoatlantyckiego, likwidacja powszechnej służby wojskowej i oporne reformowanie sił zbrojnych sprawiły, że w sytuacji rosyjskiej napaści nie będziemy w stanie zapewnić im takiego przywitania, jakie mu zgotowali im Ukraińcy.

Nie będę pisał o stanie armii, chodzi mi o kompletne nieprzygotowanie społeczeństwa. Ustawa o dostępie do broni napisana w latach komuny powinna właściwie nazywać się ustawą o zakazie posiadania broni. Politycy różnych opcji przez 30 lat konserwowali ten patologiczny stan. Jednocześnie utrwalano stereotyp, że chęć posiadania broni w domu i umiejętność posługiwania się nią to groźna aberracja. Po napaści Rosji na Krym wiele środowisk proobronnych uznało, że należy się szkolić. Sami zadbali o broń i pod pretekstem strzelectwa sportowego uzyskali uprawnienia. To również oni stanowili zalążek Wojsk Obrony Terytorialnej. Jednak brak powszechnego szkolenia rezerwy (a jest trochę mężczyzn przed sześćdziesiątką, którzy byli w wojsku), brak szkoleń, już nie tylko ze strzelania, lecz także nawet z ratownictwa pola walki, w szkołach sprawiają, że jako społeczeństwo jesteśmy bezbronni.

Agencja Mienia Wojskowego za rządów Donalda Tuska wyprzedała całe magazyny z karabinami. Prawie nieużywane kałasznikowy za bezcen kupowały od nas m.in. Norwegia i kraje afrykańskie. Dziś władze Norwegii chlubią się tym, że mogą z tych zasobów uzbroić wszystkich obywateli ze starcami i niemowlętami włącznie. A ile my mamy w Polsce karabinów? Organizacje proobronne zapytały resort, czy w sytuacji zagrożenia każdy rezerwista (tak jak widzimy to na Ukrainie) otrzyma karabin? Do dziś brak odpowiedzi. Natomiast pierwsze od dwóch lat szkolenia dla 48 tys. rezerwistów zaplanowano na kwiecień, ale najpierw 44 godziny będą w systemie e-learningu. Co się musi wydarzyć, żeby MON potraktowało zagrożenie poważnie? ©℗

eprasa.pl c8db3f1bd8

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Szalenie podły jestem przed południem

Tak, tak. Bardzo dobrze Państwo rozszyfrowali inspirację. Słuchało mi się przed południem Marcina Świetlickiego „Delikatnienie" i tych słów jego nostalgicznych, pieśni nieco smutnej, ale dającej nadzieję: „Szalenie delikatny jestem na kacu". Ponieważ akurat nie byłem na kacu (nikt nie jest doskonały) i ponieważ przeglądałem media społecznościowe, w tym oczywiście Twitter, to od tego „słuchało mi się" „zrobiło mi się" właśnie: „Szalenie podły jestem przed południem".

Ten proces „zrobiło mi się" w skrócie wyglądał tak: jedna agencja ruska podała, że karty Visa i MasterCard przestaną działać w Rosji w związku z „sytuacją na Ukrainie". Ruscy nie mogą pisać „w związku z wojną", gdyż ustalili sobie, że za nazywanie wojny wojną będzie grozić 15 lat więzienia. Orwell wszystko to przeczuwał... Ale, ale ja to przeczytałem i z tego kartowego nieszczęścia Ruskich zrobiło mi się przyjemnie. Potem zacząłem szukać jeszcze innych informacji wyzwalających w mojej głowie jakieś substancje, może dopaminę, od których robiło się przyjemnie w tej bardzo nieprzyjemnej sytuacji, jaką jest wojna. Znalazłem więc aktualny kurs rubla (oooch), potem zacząłem sobie dogadzać listą zachodnich firm, które opuszczają Kraj Zgredka (kto nie wie, o co chodzi z tym Zgredkiem, niech sobie zdjęcia poszuka rzeczonego). Przy Ikei uśmiechnąłem się wrednie, a na przykład przy połączeniu McDonald's i Coca-Coli uruchomił mi się samozadowalacz spazmami (nie porównujmy tego do seksu, ja tu mówię o duchowości). Taki byłem podły do południa, bo potem zaczynałem spotkania. Polecam Państwu, spotkania też, dobrze jest się spotkać.

Jeszcze tylko nadmienię, że według mnie profesor szef NBP Adam Glapiński jest coraz lepszy w przemówieniach. Podczas konferencji prasowej zaczął: „Jestem jastrzębiem", co oczywiście musiało się spodobać i budzić szacunek. Tu profesor wykorzystał z zyskiem asocjację, która wiąże się ze słowem „jastrząb". Pierwsze skojarzenia to siła, szacunek, bezkompromisowość, szybkość, potęga, działanie i osiągnięcie celu. Z tym zawsze kojarzy się słowo „jastrząb", nawet jeśli jest ono jakoś tam odmieniane czy dodaje się na przykład końcówkę jakąś.

Oczywiście słowa prezesa profesora nie wszystkim się spodobały, ależ tu chyba nie ma zdziwienia. Piszczały więc myszki oburzeniem, jak to myszki. Aż ze słodką podłością słuchałem tych popiskiwań. Czy jastrząb mógł sobie coś z tych pisków robić? Po co te żarty? Szalenie podły jestem przed południem. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Rozciągając mięśnie serca

Małgośka – mówią mi – innego świata nie będzie, narody i jednostki będą się pożerać wzajemnie, jak przystało na darwinizm z ludzką twarzą. To nieprawda – odpowiadam. Mylą się ci, którzy wieszczą triumf brutalnej siły, bo obrazy, które płyną do nas strumieniami, dowodzą, że duch ludzki jest silniejszy od dywizji. I dlatego w tej mozaice świata dwa narody z pogardzanej części Europy skupiły nagle uwagę globu.

Tak, ja wiem, że nic nie jest przesądzone, a nasz zryw z pomocą dla ofiar wojny może okazać się nietrwały. I my, i Ukraińcy jesteśmy wciąż w szoku, jedziemy trochę na autopilocie, więc gdy adrenalina się skończy, to zapuka natura ludzka i zaczną się konflikty podsycane przez szemraczy i siewców nienawiści. Na razie jednak warto raportować o tym, ile dobra w ludziach pomimo oceanu zła, który wylał się za sprawą Kremla.

Po raz pierwszy od lat nie poleciałam na zlot czarownic z okazji 8 marca do Madrytu, choć bilet dawno już kupiony, a wywiady umówione. Tak jak tysiące rodaków wybrałam właściwy teraz kierunek, czyli na granicę. Mój rodzinny Krasnystaw stał się również przystankiem dla uchodźców. W ośrodku dla matek ocean darów ofiarowany przez miejscowych przytłacza nawet koordynatorów. Drzwi się nie zamykają od przepływu wolontariuszy i ofiar wojny. Pociągi jednych przywożą, innych odwożą, w zmęczonych oczach dzieci odbija się udręka nagle przerwanego dzieciństwa. Ukraince, która straciła głos, robiąc za tłumacza 24 godziny na dobę, oferujemy parę dni odpoczynku pod naszym dachem w Warszawie. Mając jedno wolne miejsce w aucie, proponujemy podróż innej młodziutkiej Ukraince, która na wieść o Warszawie aż podskakuje z radości. Po chwili zbiega z torbami i malutką dziewczynką. „To twoja córka?" – pytam zszokowana, zważywszy na jej wiek i to, że samochód trudno będzie rozciągnąć na sześć osób i kota (który udaje tygrysa). „Ona i ja to jedno" – odpowiada mi dziewczyna głosem, który sprawia, że nasze auto posłusznie staje się nagle busem.

Szosa lubelska zamienia się w pas transmisyjny pomocy i konwojów. Sznur samochodów wyładowanych po sufit tobołkami zatrzymuje się czasem przy darmowych punktach z jedzeniem, jak ten w Markuszowie. W myślach dziękuję Bogu, że jestem właśnie z tego narodu i że zamiast siedzieć w Madrycie, stoję w korku do Warszawy z Kowalskimi i Nowakami, którzy tak jak ja uczą się pośpiesznie ukraińskiego od swoich współpasażerów. W tym roku 8 marca ma twarz ukraińskiej matki frasobliwej. W tym roku nasze samochody, domy i serca muszą się dla nich rozciągnąć. ©℗

eprasa.pl c8db3f1bd8

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Linia Millera-Tuska-Dmowskiego

ANDRZEJ NOWAK

„Do Rzeczy" dostaje felieton tydzień przed publikacją – ze względu na cykl wydawniczy. Cykl wojny kręci się jednak szybciej. Miażdży tysiące ludzkich istnień, niweczy plany i przewidywania. Co robić? Zacytuję najpierw fragment tekstu, który opublikowałem w końcu roku 2009: „Od Polski do post-polityki" („Arcana" nr 90). Zaczyna się tak: „»Tezę Jerzego Giedroycia, że «bez niezależnej Ukrainy nie będzie wolnej Polski», trzeba zweryfikować. […]«. Te słowa przeczytałem 21 września w »Gazecie Wyborczej«. Wypowiedział je były premier, Leszek Miller, który przecież – tak jak wszyscy inni premierzy w dwudziestoletniej historii III RP – bił wcześniej, w czasie swych rządów, rytualne pokłony przed koncepcją ukutą w kręgu paryskiej »Kultury«. Premier Miller wrócił właśnie ze spotkania tzw. grupy wałdajskiej – nieformalnego gremium ekspertów zajmujących się Rosją, zapraszanego przez prezydenta Rosji raz do roku na prywatne spotkanie. Z dumą podkreślił, że jest pierwszym Polakiem, który dostąpił tego zaszczytu [po nim zostało przez Putina zaproszonych jeszcze dwóch rodaków Millera: Adam Michnik i Andrzej Rozenek]. […]. Słowa o tym, że niepodległa Ukraina nie jest Polsce potrzebna, warto jednak rozważyć nie jako cenę wejściówki dla byłego premiera na luksusowy statek wożący gości Putina. Warto zastanowić się nad nimi, ponieważ wyrażają one najdobitniej istotę zwrotu, jaki dokonał się w polskiej polityce – nie tylko wschodniej. Tego zwrotu nie dokonał Miller, ale rząd Donalda Tuska".

Już wcześniej przyszły strateg tego rządu, Bartłomiej Sienkiewicz, uczynił swym znakiem firmowym odrzucenie „dogmatu Giedroycia" i „chłodny realizm" w stosunkach z Ukrainą (czyli ostentacyjny brak poparcia dla jej zagrożonej przez Moskwę niepodległości). Solidny gwóźdź do trumny z koncepcją polityki wschodniej symbolizowaną przez paryską „Kulturę" wbił w uroczystym geście minister Radosław Sikorski. Uczynił to kilka tygodni przed wystąpieniem Millera, w tekście opublikowanym na łamach „Gazety Wyborczej" (29 sierpnia 2009 r.). Był to artykuł-manifest („1 września – lekcja historii"), hołd na przywitanie Putina na Westerplatte. Sedno tego manifestu wyraża fragment, w którym Sikorski stwierdził, że „właściwej odpowiedzi na dylematy geostrategiczne i tożsamościowe Polski nie oferują jagiellońskie ambicje mocarstwowe". W tekście, w którym nie było najmniejszej wzmianki o Litwie, Ukrainie czy Białorusi, jako jedyny wschodni sąsiad Polski – naturalny partner jej polityki wschodniej – wymieniona została Rosja. Jedyną aluzją do aktywnej polityki polskiej wobec niewymienionych z nazwy krajów pozostała bezlitosna krytyka marzeń o „statusie »jagiellońskiego« mocarstwa regionalnego".

Cały wachlarz działań rządu Tuska, opartych na tym założeniu, a stanowiących w latach 2007–2014 jedną wielką zachętę dla agresywnego imperializmu Moskwy, przypomniałem niedawno w innym miejscu („Najlepsi pomocnicy Putina", „Sieci", 7 marca 2022 r.). Nie będę do nich wracał, choć trudno zdzierżyć, kiedy współtwórcy tego fatalnego – dla Ukrainy, dla Polski, dla Europy – „resetu" z Putinem mają czelność dziś wypowiadać się jako moralne niemal „autorytety" w sprawie kolejnej agresji (wcześniejsze, np. tę na Gruzję z 2008 r., jakoś „przegapili", byle tylko dopiec prezydentowi Kaczyńskiemu…).

Przypomniałem tę historię naszej współczesności, by zadać dziś pytanie zwolennikom wspomnianej linii Millera, Sikorskiego i Rozenka, w tym goszczącym na łamach „Do Rzeczy" kontynuatorom dziedzictwa Pana Romana (nie mam na myśli mec. Giertycha, tylko samego Dmowskiego). Właściwie dwa pytania z komentarzem.

1. Czy bohaterski i dobrze zorganizowany opór Ukraińców w obronie własnego państwa ostatecznie nie przekreśla starej i błędnej tezy Dmowskiego, że nasi wschodni sąsiedzi nie są „w pełni" narodem? Nie ma chyba w tej chwili w Europie drugiego tak „pełnego narodu" jak Ukraińcy. I z powrotem do statusu „Małorossów", mniejszej gałęzi narodu Wielkich Rosjan, młodszych braci „Wielkorusów", już się na pewno nie pogodzą.

2. Czy zbrodniczo szkodliwą mrzonką nie okazuje się, po raz kolejny, stawka na zgodę „piastowskiej" i „europejskiej" Polski z Moskwą, zwłaszcza ugodę dokonywaną kosztem Ukrainy? W wyobraźni politycznej gospodarzy Kremla każda Polska, nawet „piastowska", należy także do koniecznej sfery „bezpieczeństwa" (czytaj: dominacji) Rosji. Jeśli Polska tego nie akceptuje, to wówczas Moskwa sięga nieodmiennie po zgodę z Niemcami. Tak jak uczyniła to, z tragicznymi skutkami, dwa razy w naszej historii: w wieku XVIII i w roku 1939. Teraz Ukraina odsunęła ten najczarniejszy dla nas scenariusz, tak troskliwie przygotowywany przez Nord Stream i jego udziałowców, co najmniej na kilkanaście miesięcy, może nawet kilka lat. Nie zmarnujmy go na kolejną mrzonkę „resetu" z Moskwą, nie próbujmy mówić językiem Schrödera i Merkel, jak robili to Miller i Tusk, mówmy swoim, w zgodzie z interesami Polski. W naszym interesie było i jest pomagać Ukrainie powstrzymywać imperium. Bo my będziemy następni. Na tym polega linia Giedroycia. ©℗

eprasa.pl c8db3f1bd8

BEZ PARDONU

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Polska jest w stanie wojny z Rosją. Putin uznał kolejne ruchy Zachodu, NATO, USA i Polski za akty wojenne, więc nie ma się co upierać, że my nie jesteśmy w stanie wojny z nim, skoro on z nami owszem. Zabawa w słówka nie zmieni rzeczywistości.

Cokolwiek było wcześniej, już się nie liczy – zostawmy to historykom. Mamy wojnę z Rosją i na tym się skupmy. Front ukraiński to nasz front, tyle że na razie poza granicami RP. Należy działać tak, aby zatrzymać Ruskich tam, gdzie są teraz, i odepchnąć z powrotem do Rosji. Należy przejść do czynów, które zatrzymają bomby i rakiety, a nie tylko przelewy bankowe.

***

Przyjęcie Ukrainy do UE nie zatrzyma bombardowań – pomoc wojskowa lub wcielenie do NATO owszem. Wcześniej obiecywaliśmy Ukrainie, że ma prawo kandydować do NATO, teraz w takim razie mleko się rozlało i najlepiej byłoby z dnia na dzień Ukrainę do NATO przyjąć na podobnych zasadach jak Turcję (która nie należy do UE, ale jest w NATO).

Gadanie o tym, że taki krok byłby wypowiedzeniem wojny Rosji, jest głupie w sytuacji, gdy druga strona uważa, żeśmy już wojnę wypowiedzieli. Gorzej nie będzie, a może być lepiej.

***

Wysyłamy na Ukrainę broń. Udostępniamy NATO-wskie zdjęcia satelitarne i informacje o ruchach przeciwnika. Nie ograniczamy się do wysyłania koców i przyjmowania uchodźców. Czy wysyłanie pocisków przeciwlotniczych, dzięki którym ludność cywilna może się bronić przed bombardowaniem, to pomoc militarna czy humanitarna? Nie da się stwierdzić, więc nie ma się co pieścić i bawić słówkami. Co było wczoraj, niech sobie roztrząsają historycy, a my – skoro weszliśmy w tę wojnę jedną nogą – powinniśmy wejść całym ciałem choćby dlatego, że nie mamy innego wyjścia.

Putin doprowadził do takiej sytuacji, że nie może się już cofnąć. Jeżeli pokona Ukrainę, to pójdzie dalej, więc musimy się bronić na terenie Ukrainy, bo tam jest front. Doktryna Putina mówi o odbudowie Rosji w dawnych granicach Związku Sowieckiego. A gdzie one były? Litwa, Łotwa i Estonia były wewnątrz, Białoruś, Ukraina i Mołdawia także. Polska nie była oficjalnie republiką sowiecką, ale skoro jesteśmy krajem najbardziej zaangażowanym w pomoc Ukrainie, to jest wysokie prawdopodobieństwo, że nas Putin najedzie i odbuduje swoją upragnioną granicę z Niemcami. Będzie jak car w czasach zaborów.

W tej sytuacji nie ma co grać dziewicy, która nie jest zaangażowana w wojnę, a „jedynie w działania pomocowe".

***

Zełenski chce, by przekazać Ukrainie ruskie myśliwce MiG z państw byłego Układu Warszawskiego, bo ukraińscy piloci potrafią na tym latać. Polska ma trochę tego sprzętu i powinna go natychmiast wysłać. Jest w naszym interesie, by ruski front zatrzymać na Ukrainie i stamtąd odepchnąć precz do Rosji. Jest więc w naszym interesie militarne wspomaganie Ukrainy.

Po oddaniu migów Polska zostanie bez gaci. Dlatego NATO lub Amerykanie powinni zasilić nas samolotami zachodnimi, na których z kolei my potrafimy latać. Czemu takie decyzje nie zapadają z dnia na dzień? Na co czekamy? Na zwycięstwo Putina?

Nie chcemy, by milion uchodźców, których przyjęliśmy, pozostał u nas na lata lub na zawsze – Polska tego nie udźwignie – to kolejny powód, by udzielić aktywnej pomocy militarnej i wymuszać na innych krajach, by tej pomocy udzielała nie tylko Polska.

***

Czy Ameryka lub NATO nas obronią? Bezpieczniej jest przygotować się na opcję, że nie. Ekipa Bidena uzależniła się od Rosji i kupuje od Putina ropę i gaz. Gdyby przestała kupować, w USA z dnia na dzień zabraknie paliw. Gdy Państwo słyszą o uruchomieniu rezerw strategicznych, warto sprawdzić, na ile one starczą – to, co Biden uwolnił z zapasów, wystarcza na trzy dni zużycia. Ameryka wpłaca więc codziennie do ruskich banków miliardy dolarów, kupując krwawą ropę i krwawy gaz. Z jednej strony pomagają Ukrainie, z drugiej finansują zbrodnie Putina.

Biden mógłby rozwiązać problem w jeden dzień – odblokować wydobycie, które zablokował „po złości" pierwszego dnia urzędowania. Tu nie chodzi o nowe inwestycje, które dadzą efekt za pół roku – chodzi o istniejącą infrastrukturę; gotowe i działające instalacje, które można po prostu włączyć, tak jak zostały jednego dnia wyłączone z powodów „klimatycznych". Pierwszego dnia urzędowania Biden podpisał dekrety likwidujące wszystko jak leci, co ustanowił Trump.

Gdyby teraz Śpiący Joe odwołał własne głupie decyzje, wówczas z dnia na dzień Ameryka przestałaby kupować ropę i gaz od Putina. Cena na światowym rynku spadłaby do normalnego poziomu w ciągu tygodnia. To kwestia jednej decyzji politycznej.

Gdy widzę, jak USA wpłacają Putinowi miliardy na wojnę, jestem sceptyczny w myśleniu o tym, czy nas Ameryka osłoni w razie ataku na Polskę.

***

Świat cywilizowany zachowuje się bardzo solidarnie, ale raczej na poziomie zwykłych ludzi niż na najwyższym szczeblu politycznym. Zablokowano Ruskim banki i karty kredytowe – hurra. No ale tylko niektóre, bo inne banki handlują ropą i gazem bez blokady.

Sam Putin w niektórych sprawach jest nadal traktowany jak normalny facet, a nie jak zbrodniarz. USA negocjuje właśnie z Iranem umowę o broni atomowej, a mediatorem w negocjacjach jest… Rosja. Biden poprosił Putina o pomoc w trudnych rozmowach. Z jednej strony wojna na Ukrainie i Putin jest zbrodniarzem, a z drugiej strony ten sam Putin jest negocjatorem pokojowym w Iranie. Dlatego jestem sceptyczny, jeżeli chodzi o ewentualne pomaganie Polsce na wypadek ataku.

***

Nie jestem obiektywny w tym, co piszę. Proszę sobie zastosować własną poprawkę. Od dziecka jestem rusofobem – nie lubię Ruskich ani prywatnie, ani publicznie. Rosja to wróg RP zawsze, w każdej sprawie – tak uważam. A Putin to bandyta i morderca z KGB.

Z bandytami nie należy robić interesów; żadnych nigdy. Od lat protestuję przeciwko kupowaniu ruskiego węgla, ropy, gazu – czegokolwiek. Identyczne zdanie mam w sprawie Chin. ©℗

eprasa.pl c8db3f1bd8

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

TERESA KOWALIK
I PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI
„WIELKIE DZIEDZICTWO POLAKÓW"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~577 ZŁ~~

233,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 344 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl c8db3f1bd8

Narodowy Bank Polski

informuje, że w Polsce nie zabraknie gotówki.

Z uwagi na zwiększoną skalę transakcji, w niektórych lokalizacjach, mogą występować pewne opóźnienia w dostawie gotówki do bankomatów z centrów logistycznych banków komercyjnych i firm obsługujących gotówkę.

Są to jednak chwilowe niedogodności, a Narodowy Bank Polski posiada wystarczające zapasy gotówki.

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

eprasa.pl c8db3f1bd8